

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIII.

ROK XIV.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

—

1889.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 5 Stycznia 1889 r.

WYKOLEJENI.

Trafna i plastyczna to nazwa ludzi nietylko takich, którzy musieli porzucić służbę na drogach żelaznych skutkiem nieocenionéj cnoty ekonomicznéj, zwanéj oszczędnością lub profitem kapitalistów; lecz także i tych, którzy stracili dyszel w głowie i nie mogą się nagiąć do warunków życia coraz trudniejszych, oraz do jakiegokolwiek porządku towarzyskiego. Nie zagrzeją oni miejsca nigdzie; co robią, niedbale robią; są utrapieniem dla wszystkich, z którymi wiążą ich jakiekolwiek stosunki; zdeprawowani fizycznie i moralnie, stają się niezdatni do żadnéj systematycznéj pracy, poczém szpital lub więzienie przyjmują ich na opiekę, póki się nie zerwie nić nędznego żywota. Jest-to proletaryat w najniższym gatunku, plaga społeczna, gorsza od szarańczy.

Jest tego dobrego niemały legion w społeczeństwach cywilizowanych nowożytnych, zwłaszcza po wielkich miastach, dokąd się zléwają wszelkie fusy społeczne. Łatwiéj się tam ukryć, łatwiéj żebrać i kraść, gdyż kontrola nad wielkiém mrowiskiem ludzi trudna, a litość i pobłażliwość bezmierna. Rekrutuje się ta warstwa ludzi, szczególniéj wśród młodzieży, gdy wrą namiętności, a żądza użycia bez pracy wszelkich przyjemności zajmuje umysł dniem i nocą. Raz poraz czytamy w dziennikach doniesienia, że ten sobie w łeb palnął, inny się otruł, a tamten znów powiesił. Od takich jednostek nie są wolne żadne powołania i zawody życia, zwłaszcza w naszych czasach, gdy tak zwany wielki przemysł zagarnął w swoje kleszcze miliony ludzi wszelkich stanów i wieku. Mamy i u siebie takich wykolejonych nie mało; przyjrzéć się temu zjawisku, poszukać jego przyczyn i środków zaradczych, warto: przecież to nasi bliźni, często bliscy, a zawsze niebezpieczni straceńcy.

Wartoż się tém zajmować, powié może jaki statystyk i determinista: co być musiało, to nastąpiło. Tylu a tylu, na tyle a tyle ludzi, musiało być złodziei, oszustów, morderców i innych złoczyńców; czy się nimi będziemy zajmowali, czy nie, sama natura dostarczy potrzebnego kontyngensu.

Nie wdając się w téj chwili w roztrząsanie pytania, o ile ten łatwy determinizm ma lub nie ma słuszności, rozważanie przedmiotu, to jest zjawiska społecznego nie może być obojętne dla tych, co pragną sprawy ludzkie rozumiéć i nie zadawalniają się statystyką.

Pierwszą rzeczą jest ustalenie faktu: otóż faktem jest, że wykolejonych mamy w Warszawie, nie mówiąc nic o reszcie kraju, mnóstwo. Ile naprzykład? Nie podejmujemy się nawet w przybliżeniu podawać ich cyfry, bo żadna statystyka ich nie skontroluje, póki się nie dostaną przed sądy karzące. Nie mniéj jednak jest ich mnóstwo płci obojéj, wieku młodzieńczego lub średniego. O niektórych mamy wiadomości od znajomych, innych spotykamy na ulicy, jak zimą dzwonią zębami, a latem obsiadają place i skwery; kiedyindziéj zgadawszy się z żebrakiem, widzisz, iż to odprawiony czeladnik, wydalony z traktyerni posługacz lub lokaj. A cóż dopiéro powiedziéć o hotelach, albo cukierniach, przy grze bilardowéj i karcianéj, po najrozmaitszych norach, gdzie ten naród zwykle koczuje! Dodajmy, że rzadko są to ludzie nieoświeceni; przeciwnie, umieją czytać i pisać, nie jeden parę i więcéj klas skończył, inny manierami przypomina otarcie się o tak zwane lepsze towarzystwo. Historya życia każdego z nich dostarczyłaby wątku do nie jednéj prawdziwéj powieści, odkryłaby nie jedną ranę społeczną pod tą pozłotą cywilizacyi.

Ażeby jednak nie zgubić się w wielkiém morzu nędzy ludzkiéj, należy wykolejonych uważać jako jeden z jéj gatunków. Nie stanowią oni proletaryatu roboczego, chociaż w klasie robotniczéj, jak i w innych niemało się ich znajduje; nie należą jeszcze do złoczyńców, których kodeks karny wylicza; ale bardzo wąziuchna miedza dzieli ich od tych ostatnich; są to ludzie wyszli z kolei, z karbów moralnych, próżniacy, szlifibruki, zmyślający nieszczęścia dla obudzenia litości, czasami pokorni aż do wstrętu, kiedyindziéj zuchwali i bezczelni.

Dostarczają ich społeczeństwu, jak powiedziano, wszystkie stany, a gnieżdżą się więcéj po wielkich miastach, niż po wsiach, gdzie dla tych ptaków mniéj rośnie pszenicy. Stosownie do stanu, z jakiego pochodzą i do ukształcenia, jakie odebrali, uprawiają sport rozmaity: jedni siedzą jako rezydenci u krewnych, drudzy wędrują po jarmarkach, inni konkurują o posażne panny, tamci

fabrykują piorunujące odezwy przeciw wyzyskiwaczom, lub snują polityczne galimatiasy — to wyższe piętro; na niższém mieszkają zwyczajni wydrwigrosze i urwisze. Cechującém ich znamieniem jest gra, a szczególniej szulerka; sypiają długo i we dnie, a dopiéro w nocy ptastwo to żeruje. Niechajby kto obszedł w téj porze wszystkie „górki“ po cukierniach, wszystkie, lub choćby połowę szynków, hoteli, ogródków, bawaryi; albo niechby się latem przyjrzał skwerom, placom, jak się to hultajstwo ziéwając z nudów wygrzéwa na słońcu: przekonałby się, że Warszawa także ma swoich lazzaronów, i to pokaźną liczbę. Czém się te lilie odziewają, co te wróble jedzą? Jest-to zagadka tylko im znana: dość, że nie sieją, ani orzą, a przecież żyją.

Odróżniwszy tym sposobem wykolejonych z własnéj winy od pozbawionych pracy skutkiem nieszczęśliwych okoliczności; można się pytać o przyczyny zjawiska, które tych straceńców wypchnęły z utartéj drogi obowiązku.

Zagadnięci sami, zmyślają oni zwykle przyczyny swoich niepowodzeń w życiu. Jeden opowiada, że go wyrugowało prawo banicyjne z Prus, drugi, że wrócił z odległego wschodu, trzeci, że przybył do Warszawy po zarobek, a nie znalazłszy go, chce wrócić w rodzinne strony, ale nie ma o czém i t. d. Okazują przytém listy rekomendacyjne od doktorów, duchownych i więcéj znanych osób, które tyle a tyle ofiarowały nieszczęśliwemu. Inni wysyłają dzieci, bo sami wstydzą się żebrać, jako lepiéj urodzeni i wychowani. Tamci trudnią się poradą prawną, pisują skargi, udają adwokatów i t. p. Rzadki chyba uwierzy tym wydrwigroszom, ale przecież muszą być i tacy, skoro koczujący ten proletaryat umié całe lata utrzymywać się z niczego. Przyczyny ich wykolejenia się, jak je sami podają, są prawie zawsze zmyślone; ale jakie mogą być rzeczywiste? Nie mówimy, jakie są napewno, ale jakie być mogą, gdyż zaledwie kiedy niekiedy uda się wykryć istotne.

Na pierwszém miejscu, wśród przyczyn powodujących wykolejenie się ludzi, położylibyśmy d z i e d z i c z n o ś ć. Uderza to bowiem, że między wykolejonymi spotykamy często ludzi z pewną ogładą i szkolną i towarzyską, że tém samém zjawiska nie można objaśniać brakiem edukacyi i wykształcenia, chociaż czasami i ta okoliczność może być przyczyną.

Skorośmy zaczepili o dziedziczność, należy się porozumiéć o znaczenie wyrazu, albowiem dzisiaj mnóstwo zjawisk spotykanych w gromadzie ludzkiéj tłómaczą uczeni za pomocą dziedziczności. Więc najprzód zauważmy, iż człowiek nie odziedzicza po rodzicach ani gotowych cnót lub występków, ani wiadomości i prawd

naukowych, lecz że każdy z nas musi powtarzać doświadczenie rodziców, musi sam się uczyć, sam do cnoty wdrażać. Jednakże obserwując długie czasy, zwłaszcza w domu i szkole dzieci i młodzież, przekonywamy się, iż jednym i nauka i cnota przychodzą taniéj, a drugim drożéj; że jedni przyswajają sobie mocno wiadomości naukowe i maksymy moralne, a drudzy tak powierzchownie, iż za lada niepowodzeniem, a nawet i bez niepowodzenia, zapominają wszystkiego. Jakaś zła natura przebija pokost cywilizacyjny i zjawia się ku zdumieniu rodziny i nauczycieli, jakby demon *ex nihilo.*

Że jednak z niczego nic się nie urodzi, więc i w tém zjawisku musi tkwić przyczyna; nie było nią zaniedbane wychowanie, złe otoczenie i wpływy demoralizujące, nie był przypadek, który także wyłączamy z pośród przyczyn. Było zatém coś nieznanego, co między dziećmi jednéj rodziny, mniéj więcéj jednakowo wychowanemi, uczyniło z jednych pociechę rodzicom i pożytek społeczeństwu, a z drugich smutek i utrapienie dla bliższych i dalszych. To coś nieznanego nazywamy dziedzicznością, t. j. odziedziczoném usposobieniem po rodzicach lub odleglejszych wstępnych. Że to usposobienie także nie jest bez przyczyny, wiemy napewno; ale nie umiemy powiedzieć, czy ono leżało w anatomicznéj budowie organizmu, a tém samém w zboczeniu funkcyi fizyologicznych, czy skądinąd pochodzi: dość, że wszystkie zachody, cała kultura umysłowa i moralna nie przyjęły się na tym gruncie, że z téj gliny nie można było nic zrobić. Ogarnia nas wtedy rozpacz i zaczynamy wątpić o wszechpotędze pedagogii; przychodzi nam do głowy trafne postrzeżenie starożytnego pisarza, że naturę, choćbyś kijem wyganiał, zjawi się ona, gdyś się najmniéj spodziewał. Tą naturą, według nas, jest naturalne, przyrodzone usposobienie, predyspozycya zarówno psychiczna jak i somatyczna, którą ludzie na świat z sobą przynoszą.

Jeżeli ta predyspozycya w kierunku dodatnim lub ujemnym jest przyrodzona, czyli odziedziczana, powstaje pytanie o poczytalności człowieka, a tém samém o ile moralne jego czyny zasługują na nagrodę, a niemoralne na karę. Pytanie to zaledwie mimochodem może być w krótkim artykule traktowane. Odpowiadamy na nie tak: Społeczeństwo, albo lepiéj mówiąc władze, które je reprezentują, mają prawo bronić się od występnych bez względu na to, jak teoretycy roztrzygają zagadnienie o dziedziczności usposobień ludzkich. Podobne prawo mają i do nagradzania w téj lub innéj formie członków społeczeństwa, gdy czyny ich płużą dobru indywidualnemu i pospolitemu. Można bowiem na występek patrzyć, jako na chorobę moralną i od jednostkowéj woli niezależną, nie

mniéj jednakże bronić od niéj większość obywateli środkami, jakie pojęcie sprawiedliwości wskazuje, chociażby ta sprawiedliwość nie była absolutnie doskonałą, gdyż taką jako ludzka być nie może. Stosując zaś to rozumowanie do wykolejonych z własnéj winy, możnaby powiedziéć, że i takich prawo powinno ścigać, albowiem życie próżniacze, lekkomyślne lubo nie jest do występków przez kodeks zaliczane, jednakże w gruncie stanowi istotny występek w oczach każdego społeczeństwa, które pracę wszystkich zdrowych swoich członków uważa za najpierwszy obowiązek, mogący być nietylko zalecanym, lecz i wymuszonym.

Gdy się grunt odpowiedni znajdzie, wyrośnie na nim posiew, znajdujący w pierwiastkach przyrodzonych oparcie i pokarm; reszty dokona otoczenie, zawierające podobne pierwiastki. Innemi słowy, jeżeli człowiek przyniósł z sobą na świat pewne ujemne skłonności, otoczenie je rozwinie i spotęguje; co było ladaco w zarodku, stanie się w sprzyjających okolicznościach wielkim nicponiem. Tak sobie tłómaczymy dziedziczność w porządku moralnym.

Jednakże i o t o c z e n i u przypada niemała część w wychowaniu typów ludzkich ujemnych. Przez otoczenie zaś rozumiemy dom, szkołę, prawa i instytucye, literaturę i sztukę, nareszcie społeczeństwo na wielką skalę, w którém przykłady żywe wywierają wpływ magiczny silniejszy w złym, niż w dobrym kierunku: wytwarza się atmosfera niezdrowa, pełna tych miazmatów demoralizujących, które znajdują grunt do rozwoju w jednostkach odpowiednio z natury przygotowanych. I oto są wykolejeni.

Sprobójmy pokrótce rozważyć elementa składające otoczenie jednostki. Na pierwszém miejscu stoi dom, rodzina. Jeżeli w rodzinie panuje pracowitość, ład, sumienność i inne cnoty towarzyskie, będą one oddziaływały na indywiduum z odziedziczonemi złemi skłonnościami dodatnio; przypuszczamy, że wówczas zły zarodek nie rozwinie się do pełni, zostanie przytłumiony, chociaż, jak szydło z worka, będzie przy zdarzonéj sposobności przebijało warstwę kultury domowéj. Gdy zaś w rodzinie brakuje wspomnianych cnót towarzyskich, tedy zła przyrodzona skłonność bardzo wcześnie przynosi owoce. Zwykle w takich razach mówią ludzie, że nie urodzi sowa sokoła i z ciernia smacznych jagód nie zbierzemy. Ale bywają i takie przykłady, że złożone zarodkiem w jednostce dobre skłonności nawet w złém otoczeniu nie marnieją i jakby pewną nieświadomą reakcyą kierowane, rozwijają się dodatnio. Mamy w takich zjawiskach dowód, że nie samo otoczenie wyrabia typy dodatnie lub ujemne; lecz że i ów grunt przyrodzony bierze niepośledni udział w zebranym plonie. Ile odliczyć na jeden i na drugi

czynnik osiągnionego iloczynu, tego oczywiście nikt ściśle oznaczyć nie zdoła; wszakże nie ulega wątpliwości, że obadwa one są w nim zawarte.

Do otoczenia zaliczamy słusznie, jak sądzę, szkołę w najobszerniejszém znaczeniu, a więc nietylko taką, gdzie uczą greki i łaciny, ale i ochronkę i warsztat, w którym uczą na chléb zarabiać. Tysiące, jak wiadomo, młodzieży przepędza w tych warunkach po kilka i kilkanaście lat wieku najwrażliwszego. Kto na większą skalę obserwował tę młodzież, dostrzegł zapewne, że dzieje się wśród niéj to, co i w społeczeństwie dojrzałém. Zachodzi tam coś podobnego do kombinacyi chemicznéj: pierwiastki powinowate przystają do siebie, a różnorodne wzajem się odpychają. Tych wstrętów i upodobań, tego pociągu mimowiednego między jednostkami ludzkiemi, nie umiemy sobie na razie objaśnić; dopiéro, jeżeli okoliczności pozwolą na bliższe poznanie indywiduów przystających do siebie, przekonywamy się, iż zachodzi między nimi podobieństwo usposobień, o czém już dawno wiedziano powtarzając w takich razach: *similis simili gaudet.* I tu, zdają się decydować odziedziczone skłonności. Mimo zachęty do przestawania z dobrymi towarzyszami, i mimo kary za obcowanie ze złymi—natura wilka ciągnie do lasu. Szkoła, czy warstat, będące miniaturą społeczeństwa i kością z jego kości, wpływają niewątpliwie na wyrabianie się typów, zarówno dobrych jak i złych. Tu się zawiązują bliższe stosunki, znajomości, które następnie w dojrzalszym wieku, zwłaszcza gdy młodzież zostaje na miejscu, odnawiają się i znowu swój swego znajdzie. Fakt ten tłómaczymy sobie łatwą maksymą, że przykłady pociągają, ale rzadki się pyta, dlaczego dobre przykłady złych nie pociągają a złe dobrych nie psują. Ta atrakcya i repulsya moralna musi polegać na leżącém głęboko w naturze indywiduów podobieństwie usposobień odziedziczonych: straceńcy zawsze się zwąchają.

W rzędzie przyczyn drugorzędnych, które przysposabiają wykolejanie się ludzi, można, bezwątpienia, znaleźć wychowanie nad stan i nad przewidywane zajęcie chlebodajne jednostki. Nie chodzi tu o wykształcenie teoretyczne, o czém wyżéj była mowa, lecz o skalę życia wyciągnioną ponad środki egzystencyi domowéj. Urzędnik, średni kupiec, nauczyciel, właściciel wioskowy, nieco zamożniejszy rzemieślnik dostrajają prowadzenie domu do wyższego tonu, niżby na to pozwalała roztropność i przewidywanie przyszłości. I edukacya, i odzież i zabawy, wszystko to nosi cechę niejakiéj pańskości. Rodzice dorobili się kawałeczka chleba, który pozwala na małe wygody; ale dzieciom już nie do gustu biurowy stolik, pług i gęsi, hebel lub młot: chcą one być panami i paniami. Tymczasem na pań-

skie, tj. próżniacze życie potrzeba dużo; nie mogąc do téj skali dociągnąć, idą na stracenie. W takich warunkach życia domowego budzą się w naturach lepszych pragnienia nieokreślone, ideały mgliste, bezbrzeżny smutek niewiadomo zkąd i po co, żal do wszystkich, opuszczenie rąk i treny bez żadnéj wartości—jest to także wykolejenie jednostki z warunków normalnych, mogące budzić na chwilę spółczucie, a po lepszém poznaniu całéj czczości tego sentymentalizmu, politowanie i lekceważenie natur ślamazarnych. Taki „*Weltschmerz*“, modny jeszcze na początku bieżącego wieku, dzisiaj stał się okropnie nudnym. Spotkać go można dość często i obecnie, szczególniéj między młodzieżą żeńską stanu średniego. Zamiast rękawy zawinąć i brać się do pomocy ojcu i matce w domowéj pracy, bajronistki te nowego stylu grają na fortepianie, nudzą siebie i innych, oblewają łzami bohatérów i bohaterki wynalezione w powieściach. Takich wykolejonych panien są jeszcze tysiące i po dużych i małych miastach, po dworach i zagrodach szlacheckich.

Natury gorsze, zasmakowawszy w pewnych wygodach domowych, w pewnéj miękkości obejścia, w pewnych manierach, gdy poźniéj nie mogą osiągnąć takich albo lepszych warunków egzystencyi, puszczają się szerokim gościńcem, po którego jednéj stronie leży upodlenie, a po drugiéj kryminał.

Niemniéj ważnym i wpływowym czynnikiem otoczenia, wyrabiającym indywidua wykolejone są: literatura, teatr i dzienniki. A najprzód dzienniki. Czytamy ciągle korespondencye o sensacyjnych procesach, w których złodzieje, mordercy, truciciele figurują jako bohaterowie chwili. Sensacyjność tym brudom nadaje zwykle pierwiastek romansowy, cuchnący kanałem. Im zbrodnia ohydniejsza, tém proces ciekawszy, otrąbiony przez setki dzienników, a skoro się nim Paryż zajmuje, jakże tu poskąpić emocyi warszawianom! Niechaj zbrodnia i kara odstraszają ludzi od podobnych czynów, niechaj prawda płomiennym blaskiem oświeca umysły zbłąkane, niech się kają skłonni do występku. Tak rezonują korespondenci i redaktorowie, dostarczający czytelnikom pieprznych wiadomości. Jest-to etyka osobliwego rodzaju! Jakby ci moralizatorowie nie mieli najmniejszego wyobrażenia o psychicznéj stronie człowieka. Rozumowanie bowiem skłonnego z natury do zepsucia człowieka jest krótkie: kradł, mordował, fałszował jakiś *Monsieur*, dajmy na to Chambige, uchodziło mu to długo bezkarnie; czemużby się podobną drogą nie puścić? I tak nie mam nic do stracenia. Jeżeli natura czytelnika jest dobra, przeczyta i ze wstrętem odłoży na bok obraz nędzy i upodlenia swojego bliźniego; jeżeli skłonna do występku—zacznie przeżuwać i esencyą wysysać. Reszta pójdzie z fatalną konsekwencyą zaraz lub przy zdarzonéj okoliczności.

Więc cóż? zakazać ogłaszania spraw kryminalnych? Alboż mało istnieje zakazów? Bynajmniéj; niech je ogłaszają gazety sądowe; znajdzie w nich materyał do swoich wniosków moralista, socyolog, prawnik i stanie się zadość jawności. Coby z czytania podobnych wiadomości odnieśli dodatniego lokaj, pokojówka, dorożkarz, czeladnik, szwaczka, a nadewszystko próżniacza zgraja już wykolejonych lub bliskich wykolejenia, trudno zgadnąć. Jedyna racya, to ta, że zbrodnię spełniono w Paryżu czy Londynie, a co tam się stało, nie powinno być pod korcem chowane przez niewczesną pruderyą. O tém, co się dzieje w umysłach czytelników, o podsycaniu zdenerwowanéj wyobraźni, o potęgowaniu gotowych już usposobień podobnych—ani korespondenci, ani redaktorowie nie myślą.

Ażeby nie przesadzić w ocenianiu ujemnego wpływu spraw kryminalnych na przygotowywanie wykolejonych, przypomnijmy, iż nie twierdzimy jakoby one wytwarzały tę klasę ludzi, lecz tylko, że pomagają do jéj rozwoju, padają jak miazmat na grunt przygotowany; gruntu zaś takiego jest dosyć, czeka on tylko na ziarno.

Zauważono już dawno, że nie tak głęboko przenika do duszy to, co słyszymy lub czytamy, jak to, co oczy widzą; otóż na scenie teatralnéj oczy przedewszystkiém są zajęte gestami, postawą, mimiką: umysł nie wiele tu zajęty, a często płytkie lub tłuste utwory nie wiele dają materyału dla refleksyi, a daleko więcéj dla namiętności. Na takie sztuki chętniéj uczęszcza próżniacza młodzież, niż na dzieła wyższego talentu, albowiem w pierwszych znajduje pierwiastki pokrewne ze swojemi skłonnościami przyrodzonemi. Dlatego widowiska takie stanowią jeden z czynników demoralizacyi publicznéj, działając na zmysły głównie i namiętności. Niepodobna przypuścić, ażeby widoki niewiary małżeńskiéj, fałszerstw, intryg, szulerstwa, rozwodów, kradzieży, wyzysku niewinności, nie zostawiały w lekkomyślnych indywiduach pewnych resztek, które potém imaginacya przeżuwa, urozmaica, upiększa i przez to popycha słabą wolę do uczynku. Im zaś aktor lepiéj się przejął odgrywanym charakterem, tém więcéj bywa chwalony, ale i widz tém mocniéj zapamięta widziane sytuacye. Ten ujemny wpływ teatru nie przeszkadza i dodatnim jego stronom; tylko że wtenczas, gdy grają sztuki dobre, lekkoduchy unikają ich, bo albo nie rozumieją przewodniéj myśli i nudzą się, albo dla braku scen drażniących zmysły nie mogą odczuć piękna. Rozumiemy, że dzieła teatralne nie są pisane dla klasztorów, że w nich pierwiastek erotyczny jest niezbędny—ale nie wszystko przecież winno mu być poświęcane. Tymczasem w utworach niskich, płaskich i tłustych Wenus *vaga* i Bachus hołd odbierają. Zdaje nam się tedy, że zły teatr mieści w sobie ważne

czynniki, wpływające na zdenerwowanie organizmu ludzkiego, przyćmienie rozsądku i osłabienie woli: bierze on niemały udział w zwyrodnieniu moralném i razem z innemi miazmatami zatruwa atmosferę. Czy dodatnie wpływy teatru mogą zrównoważyć ujemny skutek, nie poważamy się rozstrzygać; wątpimy nawet, czyby kto taki bilans zdołał przeprowadzić.

Do czynników, wpływających na pomnożenie liczby wykolejonych, zaliczyliśmy i literaturę, oczywiście nie całą lecz pewne jéj gatunki, mianowicie tłuste romanse, rozmaite s k a n d a l e Londynu, Paryża, broszury podżegające nizkie namiętności itp. Dowiadują się z nich półgłówki, że nie są wyjątkami na świecie; drzémiące w nich zarodkiem złe skłonności spotykają się z takiemiż usposobieniami w sensacyjnych obrazach czytanych powieści i pamfletów; pochop do czynu wzrasta. A czemuby nie sprobować? tego i owego przyłapano, ztąd jednak nie wynika, żeby taki sam los miał spotkać wszystkich śmiałków. Ktoby chciał przeczyć, że tak sobie rozumuje straceniec, musiałby być albo z innéj gliny ulepiony, albo zapomniéć jak na niego w pewnéj epoce życia podobne obrazy oddziaływały: występek, nawet czytany, jest zaraźliwy, zwłaszcza dla jednostek dotkniętych predyspozycyą do niego. Jeżeli nadto utwory, o jakich mowa, podnosi talent pisarski, pewna jaskrawość słowa, argumentacya chociażby sofistyczna; wówczas czytelnicy przyswajają sobie owe argumenta i powtarzają je z niezachwianą wiarą. Czytanie podobnych piśmideł nie jest pracą umysłową, lecz niepróżnującém próżnowaniem. Pochłaniają je warstwy publiczności niewybrednéj w pokarmie, a niezadowolonéj z życia, które w jéj mniemaniu powinno być ciągłą przyjemnością. W jednéj powieści zachęca się do rozwodów małżeńskich, w drugiéj idealizuje złoczyńców, zachowując w błahych drobiazgach zgodność z naturą; gdzieindziéj radzą wolną miłość i dowodzą, że małżeństwo dzisiejsze stało się, czyli może wróciło do dawnéj formy kupna i sprzedaży. Powstaje w umysłach zamęt, zwątpienie i rozpasanie, a głębocy socyologowie przyklaskują, że im gorzéj, tém lepiéj, tém prędzéj się rozpadnie zgniła budowa społeczna, oparta na wyzysku jednych przez drugich. Następują proroctwa. Oto jeden z proroków zwiastujących nowe niebiosa i nową ziemię, powiada: „Każdy to czuje, że stoimy już na zwrotnym punkcie historyi, że się zbliżamy do zmian sięgających głębiéj niż wszelkie dotychczasowe przewroty; stare drogi zarastają, półśrodki nie skutkują i nie wystarczają dla nowych wieków.“ Godziłoby się wszakże nie opuszczać starych dróg póty przynajmniéj, póki nowe nie są zbudowane.

Należy tu jednak zrobić uwagę dla uniknienia nieporozumień: oto nie myśleliśmy, pisząc powyższe słowa, składać winy za wykolejanie się ludzi wyłącznie na korespondencye kryminalne, na teatr i literaturę; wiemy, że ludzie wychodzą z karbów nawet i wtenczas, gdy czytać nie umieją; mamy wszakże za pewne, iż wszędzie gdzie jest gnijący teatr i cuchnąca literatura, nie przyczynią się one do utworzenia zdrowéj atmosfery moralnéj.

Po dyagnozie (prawda—niezupełnéj) choroby i okoliczności, które sprzyjają jéj rozwojowi, każdy ma prawo zapytać, jakie na nią lekarstwa? Jeżeli dyagnoza choroby trafnie była zrobiona, łatwiéj o środki lekarskie. Tak ono bywa w medycynie. Ale w sprawach społecznych trudniéj i o dobrą dyagnozę i o trafne środki przeciw niemocy. Wykolejeni są chorzy moralnie, a przeciw podobnéj chorobie leczenie powinnoby się odbywać również moralnemi środkami. Wskazać je łatwo, ale zastosować trudno. Usuwając okoliczności sprzyjające rozwojowi pierwiastka chorobotwórczego, usuwamy lub przynajmniéj zmniejszamy groźne objawy choroby.

A zatém możnaby powiedziéć, usuńcie ze społeczeństwa demoralizujące przykłady, skażoną sztukę, literaturę pornograficzną, a nadewszystko zmuście do pracy wszystkich do niéj zdolnych — liczba wykolejonych zmniejszy się niezawodnie. Działajcie daléj nie przez same zakazy, czyli negatywnie, lecz także przez wdrażanie od młodu do surowego pełnienia obowiązku, do miarkowania żądz i namiętności; rozbudzajcie poczucie honoru i pragnienie sławy; stawcie przed oczy cele ogólniejsze, idealniejsze, a i to nie przejdzie bez pewnego wpływu na indywidua skłonne z natury do wychodzenia z karbów prawnych i obyczajowych.

Doskonale. Ale kto się podejmie stosowania téj hygieny moralnéj? Powiadają: społeczeństwo. A co jest społeczeństwo? Wszyscy ludzie pewnego kraju. Czyliż to rzecz wykonalna, ażeby każdy człowiek pewnego kraju myślał najprzód o innych, a potém o sobie? Albo, jakim sposobem może społeczeństwo zmusić wszystkich zdolnych ludzi do pracy? Taki środek trąci, jak mówią, komunizmem. Przecież daleko lepiéj, że są bogaci i marnotrawcy: żyją z nich ubodzy pracowici; gdyby ich nie było, bogaci nie mogliby swoich cnotliwych (a zawsze tylko cnotliwych) pragnień i popędów urzeczywistnić. I tak w ten sens bez końca.

Gdy się zatém mówi, że społeczeństwo winno zapobiegać okolicznościom sprzyjającym wzrostowi wykolejonych, używa się wytartego frazesu dla zepchnięcia z siebie odpowiedzialności. Nie społeczeństwo, ale uczciwsze, rozumniejsze jednostki i towarzystwa, wreszcie opinia muszą stosować do zwyrodniałych członków

społeczeństwa środki hygieniczne. Możnaby się nakoniec odwoływać do beletrystów, prasy, teatru, by nie szerzyły zepsucia.

Doświadczenie uczy, że takie odezwy i jeremiady rozchodzą się bez echa i u nas i w innych krajach. albo my to bociany do wyciągania żab z bagniska? w błocie wszystkim nam jako-tako; reformatorskie zakusy—dla poczynających ideologów! Był las, nie było nas i będzie las, póki go Herszki nie spławią do Gdańska.

Jest w tych leniwych niby-argumentach szczypta prawdy. Jeżeli jednostki przynoszą z sobą na świat pewne skłonności do złego, to ani morały, ani hygieniczne środki wyrwać ich nie zdołają; dlatego też optymiści, widzący nieskończony postęp ku lepszemu w przyszłości, mylą się w swoich nadziejach; człowiek nosi w sobie zarodek wszelakich niedoli, które go trapią. Można i należy tłumić rozwój owego zarazka w domu, w szkole, w książce, na scenie, w towarzystwie; zupełnie go usunąć nie w naszéj mocy. Czego nie uleczą proszki moralne, uleczy ogień i żelazo; bez tych środków kaustycznych prawdopodobnie medycy by nie wiele wskórali.

K.

JULIUSZ LEMAITRE.

KRYTYK-IMPRESYONISTA (*).

I.

Kiedy w roku 1884 przybyłem do Paryża Juliusz Lemaitre był pisarzem zupełnie jeszcze nieznanym, ginął w tłumie—dziś jest najwybitniejszym bez zaprzeczenia krytykiem literackim i teatralnym we Francyi.

Współczesna literatura francuska nie miała dotąd swego arystarcha. Ferdynand Brunetière, krytyk „*Revue des deux Mondes*“ upodobaniami swemi i erudycyą należy do przeszłości. Taine, wytknąwszy kierunek sztuce i krytyce ostatniéj doby, przestał się zajmować literaturą spółczesną i zwrócił się całkowicie do historyi. O Pawle Bourget powiada Lemaitre, że wynalazł nowy zupełnie rodzaj krytyki, krytykę e g o t y c z n ą, odtwarzając w niéj historyą własnego kształtowania się umysłowego i moralnego. Aczkolwiek w zdaniu tém jest wiele przesady, prawdą jest atoli niewątpliwą, że Bourget, potrąciwszy o „stany duszy“ wybitniejszych pisarzy spółczesnych w swych „Studyach Psychologii spółczesnéj“, zamknął się wyłącznie w powieściopisarstwie i stworzył niedawno w tym kierunku rzecz artystycznie wykończoną, *Mensonges*. Renard (2) okazuje skłonność ku szerszym uogólnianiom nie jest jednak właściwie krytykiem literackim. Melchior de Vogüé ujawnił wybitne zdolności w tym kierunku, dotąd przecież zastosował je tylko do literatury rosyjskiéj.

Pozostaje więc Lemaitre. Życiorys jego da się zawrzéć w kilku słowach. Urodził się w dawnéj prowincyi Beauce, z rodziny chłopskiéj, po ukończeniu zaś wyższéj szkoły normalnéj, która przygoto-

(1) *Les Contemporains*, études et portraits littéraires. 3 tomy Paryż 1886—87.

(2) *Etudes sur la France contemporaine*. La Naturalisme... Paris 1888.

wuje profesorów dla średnich szkół francuskich, wykładał przez czas krótki retorykę w Havrze, następnie w Algierze, gdzie zawarł niefortunny związek małżeński; z kolei był nauczycielem w Grenoble—wreszcie porzucił zawód profesorski i wziął się do pióra. Wydał naprzód dwa tomy poezyi p. t. *Les Médaillons, Petites Orientales*, tom nowel p. t. *Sérénus*, w roku zaś zeszłym i obecnym dwa tomy o teatrze p. t. *Impressions de théatre*, zbiór szkiców i sprawozdań, pomieszczanych co tydzień w „*Journal des Debats*.“

Studya i portrety literackie Lemaitre'a zaczęły się ukazywać przed kilku laty w tygodniku *Revue bleue*, zwanym inaczéj „*Revue politique et littéraire*“. Przegląd ten nosił dawniéj inny jeszcze tytuł: „*Revue des Cours*“ i drukował przeważnie wstępne wykłady profesorów uniwersytetu francuskiego, nosząc charakter organu raczéj szkolnego niż literackiego, którego i dziś nie stracił. Pismo to, lubo upowszechnione i poczytne, nie celuje bynajmniéj ani staranną redakcyą, ani doborem artykułów; znajdują się tam częściéj rzeczy bezbarwne i szkolarskie nieokreślonego kierunku, niż studya nacechowane znamieniem istotnego talentu. Pióra wyrobione i znane, o ile nie należą do świata profesorskiego, trzymają się zdala od tego szacownego organu; pismo żadnéj wybitnéj i samodzielnéj roli nie odgrywa—i artykuły więc Lemaitre'a gubiły się w potoku bezdarnéj szarzyzny, i, wyznaję, nie nęciły mnie zbytnio. Szły jednak kolejno, gęstym szeregiem i poczęły wreszcie zwracać na siebie uwagę. W ten sposób zebrało się czterdzieści z górą studyów i portretów literackich, które wydane osobno utworzyły trzy tomy, niebawem zaś zapewne ukaże się i czwarty, artykuły bowiem nie przestały się pojawiać w rzeczonym „Przeglądzie niebieskim“ (z powodu okładek téj barwy).... W wydanych dotychczas tomach przesuwa się przed nami cała prawie spółczesna literatura francuska, odbita w wrażliwym umyśle krytyka, niepospolitego znawcy i bystrego spostrzegacza. Nie będziemy się przyglądali literaturze, załamującéj swe promienie w krytycznym przyzmacie, który nosi imię Juliusza Lemaitre'a, lecz przyjrzemy się saméj osobistości krytyka, jego umysłowi, wrażliwości literackiéj i artystycznéj, metodzie krytycznéj, sposobowi wykładu, jego poglądom, ocenom, stylowi. Charakteryzując innych, Lemaitre wypowiada niejednokrotnie własne swe zapatrywania i wrażenia, z poza mazajki rozrzuconych tu i owdzie zdań przegląda fizyonomia krytyka. Co autor zrobił dla innych, postaramy się zrobić dla niego: pochwycić zmieniający się jak w kalejdoskopie portret autora portretów literackich.

Lemaitre krytykę literacką zasadza głównie na wrażliwości krytyka—jest impresyonistą. Posłuchajmy jednak raczéj własnych

jego słów. „Nie sądzę, powiada we wstępie do pierwszego tomu *Contemporains*, ażeby z artykułów te zebranych wyłaniała się już jakaś doktryna literacka, jakaś filozofia, jakiś pogląd ogólny na literaturę spółczesną. Są to tylko szczere wrażenia (*impressions*), notowane starannie. Będzie zawsze dość czasu, gdy się praca znacznie pomnoży, wyciągnąć z niéj wnioski...“ Po tym pierwszym wyszły następnie dalsze dwa tomy, materyał więc do uogólnień zwiększył się pokaźnie; jednocześnie zaś zarysowało się wyraźniéj i oblicze krytyka, o co tym razem przedewszystkiém mi chodzi.

Juliusz Lemaitre pochodzi w prostéj linii od Sainte-Beuve'a i staje się tém dla francuskiéj literatury spółczesnéj, czém tamten był dla literatury okresu romantycznego. Lemaitre nie jest naturalistą w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, w znaczeniu należenia do „szkoły“, jak Sainte Beuve nie był właściwie romantykiem. To niezależne poniekąd stanowisko względem spółczesnéj literatury pozwala obu im lepiéj ją nietylko rozumiéć, lecz i oceniać; literatura ta jednak jest obu im bliską, drogą a przez to zrozumiałą. Sainte-Beuve jest założycielem nowoczesnéj krytyki literackiéj (1), Lemaitre godnym jego następcą. Na czele téż pierwszego tomu swych krytyk wypisał następujące określenie mistrza: „Umysł krytyczny, pisał Sainte-Beuve, jest z natury swéj łatwym, wtajemniczającym się, ruchliwym i pojętnym. Jest-to wielka i pełna rzeka, która wije się i roztacza około dzieł i pomników poezyi, jak około skał, twierdz, stoków utkanych winogradem i dolin bujnie zarosłych, które okalają jéj brzegi. Gdy każdy z przedmiotów krajobrazu pozostaje nieporuszenie na swém miejscu i o drugie się nie troszczy, kiedy baszta feodalna pogardza równiną, równina zaś nic nie wie o nadbrzeżnéj spadzistości, rzeka idzie od jednéj do drugiéj, zrasza je, nie czyniąc szkody, oblewa wodą żywą i bieżącą, obejmuje (*comprénd*), odbija (*réfléchit*), gdy zaś wędrowiec ciekaw poznać i zwiedzić te urozmaicone okolice, bierze go do swéj łodzi, niesie po gładkiéj powierzchni i roztacza przed jego oczami cały zmienny obraz swego biegu.“

II.

Dla zapoznania się z poglądami i krytycznem obliczem Lemaitre'a, przypatrzmy się nakreślonemu przezeń portretowi innego

---

(1) Czytelnicy nasi znają charakterystykę Sainte-Beuve'a z V tomu Brandesa „Głównych prądów literatury XIX stulecia“ — Szkoła romantyczna we Francyi str. 306—339. (Warszawa 1885).

krytyka, Brunetière'a (1). Przedstawia on typ, który jest prostém przeciwstawieniem naszego autora. Lemaitre tłómaczy nam właściwości umysłu metody krytycznéj i erudycyi Brunetière'a; z właściwym sobie eklektyzmem pojmuje go doskonale, podnosi zalety jego metody, obraz ten jednak osłonięty lekką gazą chwalczéj ironii, zdaje się nam mówić, jakim nie jest on sam, Lemaitre. Posłuchajmy. „P. Brunetière—mówi krytyk—jest bardzo uczonym; ma on coś więcéj niż zwierzchni pokost wszystkiego. W rzeczach wieku XVII i XVIII erudycya jego jest niezachwiana. Widocznėm jest, że czytał wszystkich klasyków i czytał w całości. To zdaje się nic: iluż bowiem, nawet ludzi „rzemiosła“ robiło to samo? Historyą, filozofią, powieści, poezyą, sztuki piękne i ze wszystkich krajów, wszystko to wié; wydaje się, że wszystko wyczytał i wszystko obejrzał. Czuć zawsze pod jego krytyką podstawę gruntowną i rozległą. wiadomości liczne i ścisłe, umieszczone w dobrym porządku. Ma więc tę ważną zaletę, równie rzadką jak zrozumiałą, iż zna zawsze dokładnie rzeczy, o których pisze, a nawet ich okolice. Brunetière ma umysł z natury filozoficzny. Wielka jego wiedza książek i historyi, pozwalając na ustawiczne porównania, wyrobiła w nim ten umysł. Nie ma książki, którąby mu nie przypomniała innych, łatwo więc pojęcie ogólne wydziela się z tych zestawień: dzieło nie jest oderwaném, lecz ma właściwe swe miejsce w danéj seryi, powiązane z innemi dziełami jakimś punktem osobliwym. Nie zobaczycie też nigdy p. Brunetière'a zamykającego się w jednéj książce, dla wystudyowania jej saméj i określenia właściwego jéj powabu. Jest ona dlań tylko punktem wyjścia lub przykładem dla poparcia pewnéj teoryi, sposobnością do napisania rozdziału historyi literatury lub poruszenia jakiéj kwestyi z dziedziny estetyki...“ I daléj w tymże tonie: „Brunetière jest doktrynerem. W swych studyach historycznych i rozprawach nie daje się on powodować jedynie ciekawości, nie rozbiera dla przyjemności poszukiwań. Lubi sądzić. Mniema, że dzieła umysłu mają wartość bezwzględną i stałą niezależnie od tych, co je czytują, i usiluje ją oznaczyć z całą ścisłością. Wierzy w hierarchią przyjemności estetycznych. Utrwalony w swych teoryach, nigdy nie waha się w ich zastosowaniu, ulega zresztą łacniéj przyjemności porównywania, ważenia, klasyfikowania, niż zadowoleniu, wypływającemu z rozkoszowania się utworami najmilszych swych autorów i dzielenia się tém z innymi.... Otóż wiara ta i pewność siebie imponują: jest to wielka siła. Z drugiéj znowu strony, jednolitość doktryny, nawyknienie do sądzenia

(1) *Les Contemporains*, tom I, str. 238—248.

wszystkiego (nawet gdy się tego nie wypowiada) według jednych i tych samych zasad, lub według pewnych wzorów doskonałości, nadaje krytykowi pewną majestatyczność, gruntowność i pewność."

Skądże jednak wziął Brunetière owe wzory absolutnéj doskonałości, według których mierzy i sądzi? Krytyk zaraz nam powié z pewną dozą ukrytéj złośliwości. „Wiek XVII — powiada — nadzwyczaj mu się podoba. Wydaje mu się, iż zachowuje wobec owych wielkich pisarzy niepodległość umysłu, jaką stara się okazywać wobec innych; jest to jednak, mimowolne choćby, udawanie tylko. W gruncie wybacza im wszystko, ponieważ ich lubi; ulubieńców tych uważa za lepszych od nas, bardziéj oryginalnych i wyznać nie ma ochoty, choć sumienność zmusza go nieraz do tego, iż wynaleziono cokolwiekbądź po nich... W rezultacie więc — ciągnie daléj krytyk — niezmienne owe i absolutne zasady nie są czém inném, jak podniesionemi do godności zasad i praw upodobaniami krytyka. Gani on lub chwali książki stosownie do tego, czy odbiegły one mniéj lub więcéj od jego modeli, tak, że w gruncie rzeczy pięknem jest to, co mu się podoba...."

Na przykładzie Brunetière'a opiéra Lemaitre całą swą teoryą krytyki literackiéj. Krytyk mierzy rozpatrywane dzieła sztuki własnemi upodobaniami i gustami, które zazwyczaj naiwnie lub zarozumiale podaje za coś niewzruszonego i bezwzględnego. Zasadę tę Lemaitre wypowiada niejednokrotnie. Zdaniem jego, krytyka literacka nie może ukonstytuować się w doktrynę (1). Dzieła sztuki przesuwają się przed zwierciadłem naszego umysłu, a ponieważ korowód jest długi, zwierciadło samo ulega w przerwach zmianom; gdy zaś przypadkiem dzieło odbija się w niém ponownie daje wtedy inny już obraz. „Każdy—powiada—może zrobić doświadczenie na sobie. Ja uwielbiałem ongi Corneille'a i prawie pogardzałem Racine'm; dziś uwielbiam Racine'a, zaś Corneille jest mi prawie obojętny. Zachwyty, w które mnie wprawiały wiersze Musseta, zapodziały się gdzieś. Żyłem, mając oczy i uszy pełne dźwięków i widziadeł Wiktora Hugo, dziś zaś dusza Hugona jest mi prawie obca. Książek, które mnie porywały i zniewalały do łez, gdy miałem lat piętnaście, nie śmiem wziąć do rąk. Kiedy staram się być szczerym, kiedy chcę wyrazić to tylko, co czuję rzeczywiście, przerażony jestem spostrzeżeniem, jak mało wrażenia moje, gdy chodzi o wielkich pisarzy, zgadzają się z sądami tradycyjnemi, waham się wypowiedzieć całą myśl moję"....

---

(1) *Les Contemporains*, tom II, str. 84, 85. Anatole France.

Zrobiwszy tę szczerą spowiedź, krytyk śpieszy z wywodem, że w istocie rzeczy tradycya owa jest całkowicie prawie umówioną, sztuczną. Przypomina się sobie, być może, to co się kiedyś czuło, lub raczéj co szanowni mistrze kazali nam czuć. I dzięki téj to jedynie uległości i zgodności może się utworzyć i przetrwać pewien całokształt sądów literackich. Niektóre umysły mają dość siły i pewności siebie dla utrwalenia téj ciągłości sądów, opartych niby na niewzruszonych zasadach. Umysły te wysiłkiem woli lub naturą rzeczy są zwierciadłami mniéj zmiennemi od innych, i jeżeli chcecie, mniéj wynalazczymi, wskutek czego te same dzieła odbijają się w nich zawsze w jeden i ten sam sposób. Nie trudno atoli zauważyć, że doktryny owe nie mają w sobie nic takiego, coby je narzucało koniecznie innym umysłom i że są one w gruncie rzeczy unieruchomionemi upodobaniami osobistemi... Uważa się za dobre to, co się lubi, ot i wszystko (że pominę tych, którzy zdają się lubić to, co im zachwalono); wszelako jedni lubią zawsze jedno i to samo, uważając przedmiot swych upodobań za równie ponętny dla innych; inni, słabsi, mają gusta bardziéj zmienne i godzą się z tém. Atoli, dogmatyczna lub nie, krytyka, jakiekolwiek byłyby jéj pretensye, nie idzie daléj określenia wrażeń, jakie wywierają na nas, w danéj chwili, dzieła sztuki lub pisarza, którzy znowu zanotowali tylko wrażenia, otrzymane pewnego dnia i godziny.... Ponieważ zaś rzecz się tak ma — kończy z poddaniem się krytyk — i ponieważ, nadomiar wszystkiego, wszystko jest próżnością, kochajmy książki, które się nam podobają, nie troszcząc się o klasyfikacye, doktryny i zgódźmy się z sobą, że dzisiejsze nasze wrażenie nie krępuje nas bynajmniéj na dzień jutrzejszy. Jeżeli pewne arcydzieło uznane razi mnie, rani, lub co gorzéj nic mi nie mówi; jeżeli natomiast, przeciwnie, jakaś książka dzisiejsza lub wczorajsza, która nie jest, być może, nieśmiertelną, porusza mnie do głębi, daje mi wrażenie, które wyraża całkowicie i czyni mnie inteligentniejszym niż sam przypuszczałem, czyż mam się uważać za będącego na błędnéj drodze i niepokoić?

Oto wyznanie wiary niezaprzeczenie szczere, otwarte i śmiało negacyjne. Prowadzi ono nie tylko do obalenia wszelkiéj doktryny, lecz wszelkiéj teoryi w krytyce literackiéj. Jest to zupełny krytyczny nihilizm, mający tę niewątpliwą zaletę, że nie ma w nim ani cienia faryzeuszowstwa, pozowania, strojenia się w cudze piórka, w niepodzielane poglądy i nieodczuwane uczucia. Pogląd ten ma nadto za sobą powab zamaszystego jakiegoś przeciwieństwa, co zerwawszy raz z krępującemi więzami różnych teoryjek, względów

i względzików, puszcza się śmiało na pełne morze sztuki, mając jedyną busolę we własnych niepodrabianych wrażeniach i własnym umyśle, oczyszczonym od wszelkich naleciałości. Ma to również powab czarującéj niewinności i naiwności. Krytyk jak rozkapryszone i rozkoszne dziecko zrywa wszelkie powijaki, by na własną rękę robić doświadczenia życiowe i zbierać guzy....

Miło czasem ulegać złudzeniom takiéj bezwzględnéj swobody, ma to jednak wartość wyłącznie negacyjną; dobrze burzyć w ten sposób stare bogi i z zastarzałych się nałogów wyzuwać, gdy jednak przyjdzie nam określić bliżéj owę naszę wrażliwość, własne upodobania i gusta, spostrzeżemy niebawem, że nie pierwsi na świat narodziliśmy się, że organizm nasz zarówno fizyczny jak duchowy, jest zbiorowiskiem przeróżnych tradycyi, nabytych i narzuconych. Bądź-co-bądź, pozostanie w nas to, co jest istotnego, co tkwi w nas głębiej i silniéj, to zaś, co się trzyma tylko wierzchu, odpadnie. Negacyjna taka kąpiel ma więc swą wartość niezaprzeczoną. Zeskrobawszy z siebie wszelką rdzę i zmywszy brud zastarzały, możemy zachować to tylko, co jest w nas istotnego, możemy stać się człowiekiem bardziéj spółczesnym....

I w tém właśnie leży wartość tego pozornie bezwzględnego nihilizmu. Metoda ta, jeżeli to może nosić nazwę metody, ma tę właściwość, że krytyk wraz z całą swą wrażliwością staje się osią środkową saméj krytyki, owém zwierciadłem, mniéj lub więcéj zmiennném, w którém się dzieła sztuki, jak w czystéj krynicy odbijają.

Nim tedy pójdziemy daléj i ośmielimy się zagadać o potępionéj teoryi, przyjrzyć się jeszcze musimy bliżéj owéj indywidualnéj wrażliwości wogóle, w szczególe zaś wrażliwości naszego krytyka-impresionisty.

III.

Ponieważ rzecz sprowadza się do indywidualności krytyka, nie wyda się więc dziwném pytanie, które rzuca mimochodem Lemaitre, „jaki rodzaj życia jest godzien zazdrości?“ (1). Powiedz mi co lubisz, powiem ci kim jesteś—powiada przysłowie. I odpowiada: gdyby zostawiono mi wybór, chciałbym być najprzód wielkim świętym, potém bardzo piękną kobiétą, potém wielkim zdobywcą lub wpływowym politykiem, wybitnym pisarzem lub genialnym artystą,— a wreszcie chyba krytykiem, ten bowiem zawód widocznie odpo-

---

(1) Tom III, str. 273. 195, 196.

wiedział najbardziéj upodobaniom naszego autora. Jakoż — mówi nam w innėm miejscu — że życiem najponętniejszém jest to, które nam pozwala poznać ludzkość na wszystkich szczeblach, na wszystkich położeniach, objawach i zagadnieniach moralnych. Ażeby dojść do tego, najlepiéj jest urodzić się wśród ludu, między najbiedniejszymi. Jest to najprzód jedyny sposób przyjrzéć się zbliska obyczajom, uczuciom i duszom prostym; walce o byt w jéj objawach, najmniéj złożonych i najbardziéj tragicznych. Widzi się wtedy całą nagość życia i wyrabia serce współczujące. Dowiadujemy się przytém, ile być może samodzielności umysłowéj i moralnéj pod osłoną nędzy i poświęcenia. Stąd zaś, gdy się ma trochę szczęścia, można się wznieść ku górze, przejść wszystkie warstwy, a nawet przebywać wśród nich, zapoznać się z mieszczaństwem, kupcami, wykolejonymi, artystami, politykami i tymi, których zwą ludźmi światowymi. Nie jest źle także być wychowanym przez księży; wychowanie religijne rozwija pewne uczucia i właściwości umysłu, które bez tego trudno odczuć następnie i zrozumiéć. Potém dobrze jest przejść przez uniwersytet, otrzymawszy w ten sposób kolejno wykształcenie religijne i świeckie. Po drodze zebrać można mnóstwo wrażeń, wyświetlić je następnie i uzupełnić. Dobrze jest również—dodaje krytyk—zachować kawalerską swobodę, małżeństwo bowiem wtłacza człowieka w pewne kadry.... Filozoficzną tę podróż naprzełaj ludzkości całéj można jednak odbyć wtedy tylko, gdy się już zaczyna z dołu—z góry schodzić niepodobna.

Recepta, jak widzimy, dobra, wychowawczéj téj jednak hodowli grozić może jedna rzecz — nadmiar wrażeń, a raczéj ich rozmaitość. Zmieszać się one mogą wtedy i pozacierać wzajemnie, chaos zaś ten odbić na zwierciedle otrzymującém wrażenia i mętne w niém obrazy wywołać. Sądzę przytém, że nie należy miéć jedynie na widoku poznania, żeby wykształcić nie tylko jednostkę poznającą i rozumiejącą, lecz nadto czującą, odczuwającą, wrażliwą. Kto zaś nie doświadczał, nie doznawał pewnych uczuć, ten ich i pojąć nie będzie w stanie,—program więc powyższy należałoby uchronić z jednéj strony od pewnéj bezładności, następnie zaś uzupełnić. Jeżeli jednostka ma być zwierciadłem, odbijającém żywo i wyraźnie wrażenia świata zewnętrznego, bez zaprzepaszczenia się w ich chaosie, dwie są istotnie tylko drogi. Albo poślubić trzeba pewną doktrynę, wyrobioną samoistnie lub narzuconą, albo téż być a raczéj stać się człowiekiem rozwiniętym umysłowo, z głową otwartą na wszystkie prawdy wieku, z sercem wrażliwém na wszelkie prądy spółczesne, jednocześnie atoli zachować pewną jednolitość, pewną spoistość umysłu i charakteru, znaleść w sobie, w bezpośredniéj

niejako wrażliwości to, co inni znajdują w skamieniałéj doktrynie. Ten ostatni rodzaj hodowli jest niewątpliwie trudniejszy, niezaprzeczenie jednak wyższy, doskonalszy. Mieć umysł nieskrępowany żadnemi dogmatami, przystępny dla krytyki; mieć serce zdolne odczuwać i współczuć, a jednak nie być chorągiewką na dachu lub człowiekiem rzuconym beznadziejnie na fale życia; obok swobodnéj wrażliwości znaleść w sobie indywidualny cementujący pierwiastek i siłę odporną—zadanie to bezwątpienia nie łatwe, lecz ponętne.

Zobaczymy o ile Lemaitre wybrnął z tych trudności.

Wiemy już, że nie lubi on dogmatyzmu krytycznego. Sądzi przytém, że dogmatyzm zasłania przed nami dzieła sztuki, każe na nie patrzéć przez pryzmat skrystalizowanych poglądów i upodobań, a przez to je przed nami zakrywa. Brunetière na dzieła spółczesne patrzy z wysokości swych wzorów klasycznych. *Madame Bovary* jest dla niego prawie arcydziełem, lecz „niższego gatunku“ dlatego, że nie góruje w niéj nad wszystko walka namiętności z obowiązkiem, jak u mistrzów wieku XVII. Krytyka nie pociąga ani styl barwny i plastyczny Flaubert'a, ani szczegółowy obraz wewnętrznego usposobienia i nastroju Emmy, ani drobiazgowa analiza jéj namiętności. Utwór ten stawia on nawet niżéj *Manon Lescaut* dlatego, że Manona napisaną została w wieku osiemnastym... *Education sentimentale* nie podoba się również surowemu krytykowi dlatego, że wszystkie w niéj postacie są płaskie, z czém się Lemaitre nie zgadza, że autor wyeliminował ze swego dzieła charaktery podniosłe i szlachetne, które według tradycyonalnéj estetyki stanowić muszą konieczne przeciwstawienie charakterów pospolitych i nizkich. Stawiać podobne żądanie powieści realistycznéj, jest to zapominać o jéj cesze właściwéj, powieść ta bowiem nie sili się na rażące i krzyczące kontrasty, lecz maluje życie, jakiém jest ze wszystkiemi jego drobiazgami. Lemaitre oświadcza, że „Edukacya sentymentalna“ podoba mu się nadzwyczaj dla prawdy i trafności rysunku, dla postaci żyjących, które wyobraża, choćby figury owe nie miały ściśle wyobrażać przeciętnych lub podniesionych do pewnéj potęgi typów ludzkich. *Rois en exil* zasługuje sobie na pochwałę Brunetière'a, widzi on jednak w dziele Daudeta za mało ogólnego pierwiastku, za wiele zaś szczegółów drobiazgowych, chociaż charakterystycznych, co Lemaitre uważa za główny powab tego utworu.

Wogóle — mówi Lemaitre — klasyczny krytyk ma umysł zbyt filozoficzny, zbyt zajęty teoryami, trzyma się więc na wodzy i nie daje się podbić dziełom, względem których zgóry już jest uprze-

dzony. Ponieważ stara się przedewszystkiém klasyfikować i zestawiać jednych autorów z drugimi oraz podnosić kwestye ogólne, troska ta nie pozwala mu wniknąć dostatecznie w treść intelektualną i moralną utworów spółczesnych. Pochop do porównań z modelami i pośpiesznego przesądzania przeszkadza krytykowi wczytać się w rozbierane dzieła, rozkoszować się ich pięknościami, odkrywać je nawet mimo wad i braków, wyszukiwać strony nowe i charakterystyczne. Brunetière jednak wnika chętnie w dusze, mające lat dwieście — we współczesne nie raczy. Przyznaje on, że znajdą się u Zoli piękne stronice, zbywa je jednak mimochodem i niechętnie, szeroko zaś rozwodzi się nad temi, które mu się wydają brzydkiemi i wstrętnemi. Są jednak — zaznacza Lemaitre — u Zoli strony oryginalne i charakterystyczne, które się nie napotykają ani u Balzaca, ani u Flauberta, i te to należałoby określić przedewszystkiém, „odczuwszy poprzednio.“

Cała rzecz, że Brunetière nie rozumié i nie odczuwa literatury spółczesnéj, że ją mierzy z punktu widzenia innego literackiego okresu, że literatury téj nie lubi.... Lemaitre przeciwnie—nie lubi literatury dawnéj, uwielbia zaś współczesną. „Bossueta naprzykład, powiada autor, każe mi krytyk uważać za największego pisarza swego czasu a nawet całéj literatury francuskiéj! Wyznaję jednak szczerze, że potrzebuje wysiłku, ażeby czytać Bossueta. Prawda, że przeczytawszy kilka stronnic czuję, iż mam do czynienia z pisarzem nie byle jakim, nie sprawia mi on jednak przyjemności, podczas gdy otwierając czasami, na chybił trafił, jakąś książkę dzisiejszą lub wczorajszą (mówię oczywiście tylko o książkach, należących do literatury), zdarza mi się drżéć z rozkosznego wzruszenia, być przenikniętym przyjemnością aż do szpiku — na tyle lubię tę literaturę drugiéj połowy wieku XIX, tak niezrozumiałą, tak niespokojną, szaloną, zgryźliwą, rozstrojoną i subtelną — i lubię ją nawet w jéj przesadzie, śmiesznościach, afektacyi, czuję bowiem w sobie samym ziarno tych zalet i braków, czuję w niéj siebie samego! Mówiąc zresztą bardziéj seryo — ciągnie daléj Lemaitre — zróbmy rachunek. Jeżeli Corneille, Racine, Bossuet nie mają dziś równych sobie, to czyż „wielki wiek“ miał równych Lamartine'owi, Wiktorowi Hugo, Mussetowi, Micheletowi, George Sand, Sainte-Beuve'owi, Flaubertowi, Renanowi? Czyż to moja wina, że wolę przeczytać rozdział Renana niż kazanie Bossueta, *Nababa* lub *Księżnę de Clèves*, albo wreszcie komedyą Meilhaca i Halevy'ego niż nawet Molière'a. Nic nie przeciwdziała tym wrażeniom, silniejszym nad wszystko, wiążą się bowiem one z naturą naszego umysłu i temperamentem.

Nie mam nic — kończy Lemaitre — przeciwko upodobaniom Brunetière'a, niech jednak stanie się to zupełnie widocznėm, że „zasady“ jego są jego osobistemi upodobaniami.“

IV.

Widzieliśmy już, że Lemaitre nie lubi klasycznego ani metafizycznego dogmatyzmu, że wprost nie wierzy weń, widzi w niém bowiem tylko mniéj lub więcéj świadome podnoszenie własnych upodobań do godności dogmatów i zasad. Krytykowi naszemu nie imponuje również klasycyzm starożytny, grecki i rzymski. W wybornym szkicu o „neohellenizmie“, napisanym z powodu utworów pani Adam (1), rozbiera on względną wartość starego hellenizmu i przychodzi do wniosku, że świat spółczesny nie tylko jest nam bliższy, lecz bardziéj wszechstronny, złożony, wyższy od zamierzchłego i bądź-co-bądź pierwotnego pod wielu względami świata starożytnych Greków i Rzymian.

Weszło jednak w zwyczaj unosić się nad Helladą i widziéć w jéj sztuce niedoścignione wzory doskonałości. „Rozentuzyazmowani neohelleniści — mówi autor — marzą tylko o tém, jak pragnęliby żyć w Atenach, gimnastykować się, słuchać mówców pod gołém niebem i uczęszczać na tłumne zebrania ludowe (w których zresztą brali tylko udział uprzywilejowani obywatele), napawać się wraz z Grekami naturą, bywać na przedstawieniach tragedyi, które trwały dni całe“...

„Otóż ja bynajmniéj!— powiada krytyk otwarcie. — Każą nam się może domyślać, że przeniósłszy się do Aten, przybralibyśmy głowy i serca ateńczyków, wtedy jednak przestalibyśmy być sobą. Przypuszczam jednak, że tacy, jakimi jesteśmy, zostalibyśmy przeniesieni do wskrzeszonego miasta Pallas-Ateny i zmuszeni żyć życiem jego obywateli. Czy sądzicie, że czulibyśmy się zadowoleni i swobodni? Zbyt wiele by nam brakowało: domowego ogniska, własnego kąta, zbytku, konfortu, życia towarzyskiego i wszystkich tych przyjemności i uczuć, które wypływają ze stanowiska kobiéty w społeczeństwie nowożytném: uprzejmości, galanteryi, pewnych idei i pewnych delikatności. Trzebaby było żyć ciągle za domem, ciągle na ulicy lub na placu publicznym, wciąż sądzić, głosować. Zajmować się polityką, a jednak nie wiedziéć co począć ze swemi dziesięcioma palcami. I nie wolnoby nam było nawet myśléć według własnego upodobania, świadkiem Sokrates, musielibyśmy na-

(1) *Les Contemporains*, Tom I, str. 143.

tomiast być obecnymi przy krwawych ofiarach ludzkich (robiono je przed zwycięstwem Salamińskiém). Te drobne przykrości byłyby wynagrodzone, powiadają nam, przyjemnością pożycia z ludźmi inteligentnymi, pięknymi, wszechstronnymi znawcami i artystami— bez wyjątku. „Był — powiada Renan — lud arystokratów, publiczność złożona całkowicie ze znawców, demokracya, która pojmowała odcienie artyzmu tak subtelne, że nasi wyrafinowani smakosze zaledwie je dostrzegają..“ P. Renan, dodaje krytyk, który wątpi o tylu rzeczach, zdaje się o tém nie wątpić. A jednak Tucydydes i mówcy greccy dają mi niekiedy szczególne wyobrażenie o tém życiu, tak harmonijném i inteligentném i wydaje mi się, że trzy czwarte drwin i sarkazmów Arystofanesa musiało się stosować do ludzi dość pospolitych. Nie! stanowczo, lepiéj jest żyć w w. XIX i w Paryżu, a choćby nawet gdzieś w prowincyonalnym zakątku. Myślę również, iż jest wiele afektacyi i złudzeń w owéj admiracyi dla sztuki greckiéj.... Gdy mowa o téj sztuce, słyszymy entuzyastyczne wykrzykniki o miarze, prostocie, jasności, harmonii, czystości linii, proporcyi... Obawiam się istotnie, powiada Lemaitre, że wielbiciele ci zapalają się raczéj do idei, jaką sobie wytworzyli o sztuce greckiéj, niż do samego greckiego artyzmu. Można bez rozmijania się z prawdą powiedziéć, że neohelleniści lubią tę sztukę jedynie przez reakcyą, wskutek tego, że znają inną, bardziéj złożoną i żywotną i którą podoba im się lekceważyć, bądź z przesytu i zniechęcenia, bądź dla pokazania, że mogą się od niéj oderwać i stoją ponad nią, wyżéj.... Wypowiem bluźnierstwo — ciągnie daléj Lemaitre. — Lubię, bezwątpienia w fryzach Parthenonu naiwność rysunku, pogodę całości i pewną umiejętność zgrupowania. Trudno mi jednak nie zauważyć, że wszystko jest zbytnio uproszczone, że młode dziewczęta są zbyt krótkie, że figury niektóre są niezgrabne i ciężkie etc. Wiem, że można patrzéć innemi oczyma i wszystko to wyda się wtedy zaletą; bądź-co-bądź mam pojęcie o okazach sztuki i znam takie z nich, które mnie zadawalniają zupełnie inaczéj. Ażeby twierdzić, że statua grecka jest piękną *par excellence*, potrzeba naprzód dać określenie piękna „zrobione umyślnie“ ku temu. A i wtedy lubić będziemy tę sztukę dopiéro jako przeciwstawienie innéj, bogatszéj, niespokojniejszéj i obdarzonéj poczuciem o wiele subtelniejszém....

Lemaitre dowodzi następnie na przykładach, zaczerpniętych z utworów pani Adam, że narzuca ona Grekom takie pojęcia o naturze, jakiego nie mieli, że każe im kochać się tak, jak się obywatele ateńscy nie kochali, że wkłada w ich piersi uczucia, których nie znali. Patrzymy dziś na przyrodę innemi oczami, niż patrzéć

na nią mogli Grecy starożytni; dla nich była ona niemą prawie dekoracyą, na którą nie wiele zwracali uwagi — dla nas natura jest pełną poznanych i nieodkrytych jeszcze tajemnic, życie które nią porusza i ożywia tak bliskiém i pokrewném naszemu życiu, kształty i barwy, które ją stroją, tak dla nas zrozumiałe i ponętne.... tego wszystkiego nie wiedział i nie odczuwał, tak jak my, Grek starożytny. W miłości greckiéj każe nam szukać pani Julia Lambert (Adam) podwójnego prądu, zmysłowego i mistycznego, kiedy pierwiastek romantyczny i marzycielski w miłości, religijny kult kobiéty, pietystyczne zatapianie się w kontemplacyi jéj, petrarkizm—przyszło to wszystko dopiéro z chrześciaństwem, rycerstwem, Europą średniowieczną i nowożytną....

Dla neogreków atoli chrystyanizm jest pierwiastkiem wrogim i obcym. Hellenizm był spokojnym rozwojem ducha rasy aryjskiéj—chrystyanizm stał się spaczeniem tego jasnego geniuszu, za sprawą ponurego umysłu semitów. Stąd straszna troska o przyszłość zagrobową, poddanie i poświęcenie życia ziemskiego marzeniu o życiu innéin, pojęcie, które wykoszlawiło, poniżyło i zepsuło ludzi. Nieprzejednani nowogrecy wyprowadzają ten pierwiastek niszczący aż od Sokratesa, tego fałszywego Greka, którego słusznie skazano na śmierć za herezyą. Zakażenie jadem semickim uczyniło zachód chorym całych lat dwa tysiące i dziś jeszcze dalekim jest on od wyleczenia się. Wieki średnie są zbrodnią chrystyanizmu i t. p.

Byłoby smutném — powiada autor — gdyby historya była tak prostą. Można jednak utrzymywać, że rzeczy się miały nieco inaczéj. Nie mając zamiaru wyczerpywać wszystkich argumentów, jakieby można hypotezom podobnym, w sposób równie hypotetyczny, przeciwstawić, Lemaitre zaznacza najprzód, że kiedy rasa pewna ulega wpływowi innéj rasy, to widocznie miała już ku temu stosowne usposobienie. Hellenizm, zauważyć należy, upadł już bardzo nisko, kiedy pojawił się chrystyanizm. Dogmaty przytém chrześciańskie sformułowali Grecy; oni to właśnie zamącili, jeżeli się tak wolno wyrazić, czystość pierwotnego chrześciaństwa. Jeżeli zaś mówi się, że księga Genezy ma początki wschodnie i indyjskie, to i tu więc Aryjczycy zapożyczyli się u Aryjczyków. Skoro barbarzyńcy zachodni przyjęli chrześciaństwo z takim zapałem, to prawdopodobnie odpowiadał on jakiéjś potrzebie ich dusz nieokrzesanych i marzycielskich. Barbarzyńcy ci zaś byli znowu aryjczykami, to jest braćmi Greków. Wszystko to zresztą—dodaje autor—jest czczą gadaniną. Wieki średnie i chrześciaństwo można bronić daleko poważniéj przeciwko pogardzie i nienawiści kilku neogreków.

Jeżeli my, spółcześni—mówi Lemaitre — mamy czucie tak delikatne i nerwowość, z której jesteśmy dumni — czasami bardziéj niż wypada, to być może dlatego, że ludzie wieków średnich, których kość z kości jesteśmy, mieli uczucie gwałtowne, bóle, porywy i przerażenia o wiele więcéj urozmaicone i silne niż Grecy starożytni. Wiara chrześciańska mieszając się do wszystkich ludzkich namiętności, skomplikowała je i powiększyła myślą o czémś pozaziemskiém, oczekiwaniem lub obawą rzeczy zagrobowych. Myśl o życiu t a m t é m zmieniła postać t e g o życia, wywołała gwałtowne poświęcenia i rezygnacye, oparte na czułości bezgranicznéj, marzenia i nadzieje, które porywały dusze, i rozpacze, które były bliskiemi śmierci. Magdalena skarżyłaby się niesłusznie. Kobiéta stawszy się wielką kusicielką, samotrzaskiem dyabła, wzbudziła pożądania i uwielbienia tém gorętsze i zajęła inne zupełnie miejsce w świecie. Przekleństwo rzucone ciału udramatyzowało miłość. Pojawiły się nowe namiętności: paradoksalna nienawiść natury, miłość Boga, wiara, umartwienie. Obok rozpusty, zrozpaczonéj grozą piekła wyrobiła się czystość, niewinność i dziewiczość; obok nędzy bezmiernéj i dzikości nieukróconéj — miłosierdzie, współczucie dla doli ludzkiéj, w którém serce całe się roztapiało. Zrodziły się starcia instynktów, namiętności, wiar, walki wewnętrzne, których dawniéj nie znano; sumienie stało się bardziéj złożoném, smutek pogłębił się, czułość wzbogaciła.... Przypuściwszy, że święty Paweł zabiłby się podczas upadku swego na drodze do Damaszku, że cesarstwo zupełnie zhellenizowane powoli zaanektowałoby barbarzyńców, miasto być przez nich zalanem, że filozofowie drugiego wieku zdołaliby zrobić z politeizmu religią powszechną i gdyby wszystko to ciągnęło się lat dwa tysiące (wszystkie hypotezy są możliwe), byłbym z tego—kończy autor—mocno niezadowolniony, jestem bowiem przekonany, o ile nim można być w tych rzeczach, że dusza ludzka nie byłaby tym instrumentem rzadkim i doskonałym, jakim jest obecnie. Zakres naszych wspomnień i wrażeń byłby nieskończenie uboższym. Pozostałyby odcienia myśli i uczuć, którychbyśmy dotąd nie pojmowali i nie znali....

Ostatecznie neohellenizm, któremu hołdowała we Francyi w młodszych swych latach pani Adam, uważa Lemaitre za namiętny protest przeciwko temu, co w chrystyanizmie przeciwnego jest ciału i życiu ziemskiemu, w szczególności zaś protestem przeciwko dogmatowi o grzechu pierworodnym.... Nie tyle zresztą chodziło nam tym razem o nowohellenizm, ile o zapatrywania Lemaitre'a na sztukę grecką i starożytność wogóle, jako przeciwstawienie do nowoczesnego i spółczesnego nastroju. Dodam jeszcze tylko, że

to, co mówi Lemaitre o neohellenizmie, da się poniekąd powiedziéć i o całém odrodzeniu....

V.

Lemaitre czuje się człowiekiem najzupełniéj spółczesnym i lubi, jak powiada, przedewszystkiém literaturę spółczesną, dzisiejszą. Jéj téż poświęcił trzy tomy swych studyów i portretów. Czując się pociąganym ku téj literaturze, stawia sympatyą, jako pierwszy warunek swéj impresyonistycznéj krytyki, warunek nieodzowny dla zrozumienia i należytéj oceny utworów artystycznych. „Należy, mówi, zbliżać się przedewszystkiém z sympatyą i miłością do tych z naszych spółczesnych, którzy nie stoją poniżéj krytyki. Trzeba naprzód zanalizować wrażenie, które wywiera na nas książka; następnie starać się określić autora, opisać jego „formę", powiedziéć, jakim jest jego temperament, czém jest świat dla niego i czego w nim szuka nadewszystko, jakie ma wyobrażenie o życiu, jakim jest rodzaj i stopień jego uczuciowości, jak wreszcie umysł ma ukształtowany?" Słowem, starać się należy określić, według wrażenia, które się odeń otrzymało—wrażenie, jakie on odbiera od rzeczy go otaczających. Dochodzi się wtedy, ciągnie daléj Lemaitre, do tak zupełnego utożsamienia się z pisarzem, którego się lubi, że gdy popełnia on zbyt rażące błędy, robi to przykrość, i przykrość prawdziwą. Jednocześnie atoli widzi się dokładnie, wskutek czego dał się autor uwieść tym lub owym błędom, w jaki sposób stanowią one część składową jego samego, tak że braki te wydadzą się nam niebawem nieodłącznemi od autora, koniecznemi a wreszcie usprawiedliwionemi i nawet pociągającemi" (1). Ten sam temat porusza krytyk na inném jeszcze miejscu, zapytując się, czy miłość godzić się może z krytyką i odpowiada: „Nie można twierdzić, ażeby miłość nie dała się pogodzić z pewną dozą przynajmniéj zmysłu krytycznego. Czyście zauważyli? Lubo się jest zajętym, dobrze zajętym i poruszonym do głębi, można dostrzegać zupełnie wyraźnie ułomności i braki tego, co ojcowie nasi nazywali „przedmiotem miłości"; kiedy zaś przykro nam widziéć go niedoskonałym i kiedy nas to gniewa (nie przeciwko niemu), żal ten i zawód zwiększa jeszcze bardziéj naszą tkliwość. Chcemy zapomniéć i ukrywamy przed nim (znając go jednak dobrze) to, co może być w nim wadliwego, jak ukrywamy przed sobą własne nasze braki, delikatne te zaś starania utrzymują miłość naszą w ciągłém naprężeniu, czynią ją więcéj war-

(1) Les Contemporains, tom I, 247.

tą i bliższą" (1)... Dobry krytyk, mówi wreszcie autor, pojmować winien więcéj rzeczy niż młody powieściopisarz i być tém bardziéj wyrozumiałym...

Określenia te, jak widzimy, odskakują mocno od zwykłego krytycznego zoilizmu, który się czuje przedewszystkiém powołanym do sądzenia „krytykowania“ i wykrywania stron słabych, do wykazania swéj wyższości nad dysekowaną ofiarą. Prawidła powyższe jednak stosują się, oczywiście, do tych tylko, do których krytyk przystępuje z miłością i sympatyą; gdy chodzi o pisarzy z góry dla krytyka niesympatycznych postępować on będzie prawdopodobnie według metody wręcz przeciwnéj. Lemaitre sam zresztą robi zastrzeżenie, iż prawidło powyższe stosuje się do pisarzy, nie stojących „poniżéj krytyki“. Za będącego, naprzykład, w tym ostatnim wypadku uważa Ohneta, odmawiając mu wprost prawa należenia do literatury, co zresztą szczegółowo uzasadnia. Dla innych, spółczesnych, ma Lemaitre wiele bardzo wyrozumiałości i gorącéj sympatyi, obdzielając nią nawet pisarzy różnych kierunków metody pisarskiéj. W każdym stara się wynaleść najlepszą stronę, najwybitniejsze zalety, dostrzegając je łacniéj i chętniéj, niż wady i braki. Jest nader tolerancyjnym i wyrozumiałym dla swych wybrańców, a posiada ich grono nader rozległe, świadczące o nader obszernéj skali upodobań i gustów krytyka. Nikt też nie zaprzeczy, że sympatya jest nader ważnym pierwiastkiem krytycznym, jeżeli bowiem może niekiedy uczynić krytyka zbyt wyrozumiałym, to jednak w większości wypadków, ona właśnie pozwala mu rozumiéć i odczuwać rozbierane dzieła, ułatwia krytyczną intuicyą, przeobraża przytém krytyka w wymownego często tłómacza i komentatora tendencyi, choćby artystycznych tylko, rozpatrywanego autora.

Pisarzem, ku któremu krytyk czuje najżywszą sympatyą jest Piotr Loti. Studyum swe o jego utworach rozpoczyna Lemaitre w ten sposób. „Tylko co odczytałem ponownie, jednym tchem, na wsi, przyległszy do ziemi macierzystéj, pod osłoną obezwładniającego nieba, brzemiennego burzą, sześć tomów Loti'ego. W chwili, gdy odwracam ostatnią kartę, czuję się zupełnie upojonym. Jestem pełen widziadeł rozkosznych i smutnych, nasiąkniony ogromną ilością wrażeń nadzwyczaj głębokich, mam serce wezbrane czułością wszechogarniającą i nieokreśloną. Mówiąc, jeżeli zdołam, z większą ścisłością, te dwa tysiące stronnic nasunęły mi i odtworzyły w méj wyobraźni mnóstwo wrażeń niespodziewanych; wrażeniom tym zaś towarzyszyło zbyt wiele przyjemności a jednocześnie zbyt wiele

---

(1) Les Contemporains, tom. I, 194—195.

przykrości, zbyt wiele żalu, współczucia i pragnień nieujętych, niemożliwych do urzeczywistnienia. Dusza moja jest jak instrument, który drgał zadługo i któremu nieme przedłużanie minionych drgań sprawia ból. Pragnąłbym cieszyć się i cierpiéć ziemią całą, życiem pełném i jak święty Antoni ku końcowi swych pokus objąć jednym uściskiem świat cały"... Studyum, rozpoczęte w ten sposób kończy się następującém wyznaniem: „Piotra Loti sądzić mi jest tém trudniéj, że jest to najdelikatniejsza maszyna wrażliwa, jaką zdarzyło mi się spotkać. Sprawia mi on zbyt wielką przyjemność, przyjemność zbyt żywą i która zbyt głęboko wraża się we mnie, ażebym był w stanie sądzenia. Zaledwie zdołałem powiedziéć, że go kocham" (1).

Mimo tych zastrzeżeń autor rozbiera szczegółowo i charakteryzuje działalność literacką autora „Rybaka Islandzkiego". Loti jest organizmem niezmiernie czułym i wrażliwym, organizmem z tych, jakie zjawiają się z przekwitu staréj cywilizacyi. Wrażliwość tę przyniósł na świat z sobą, nie uległ jednak żadnéj literackiéj kulturze ni rutynie. Nie otrzymał literackiego wykształcenia nie czytał ni Flauberta, ni Goncourtów, ni Daudeta, zato jako marynarz zwiedził całą prawie kulę ziemską, przebywał pod wszystkiemi stopniami szerokości i długości geograficznéj i w podróżach tych doznał mnóstwa wrażeń, jakie daje natura we wszystkich swych kształtach i klimatach; doświadczył przytém i odczuł wiele uczuć głębokich i prostych, jak miłość, tęsknota za ziemią, na któréj się kochało, jak rozłąki, bezbrzeżne zaś oceany kołysały te smutne myśli i niezatarte wspomnienia. W utworach jego, odznaczających się niezwykłą plastyką, plastyką jednak naturalną i prostą bez cienia przesady, stara cywilizacya i literatura jakby podała rękę uczuciom prostym, uniwersalnym jak ziemia, którą przebiegł autor, ludom i kulturom pierwotnym.

Powtarzam w skróceniu to, co Lemaitre systematycznie uzasadnia na wielu stronicach, żywo przejęty obrazami, które mu nasunęły opowiadania utalentowanego marynarza, kreślone jak pamiętniki. Lemaitre jest bystrym analitykiem i umié, mimo swego krytycznego sceptycyzmu, trafnie podpatrywać i nader szczegółowo określać artystyczne właściwości autorów, o których pisze. Nic bardziéj ścisłego, jak rozbiór właściwości budowy artystycznéj, stylu i całéj wrażliwości artystycznéj Goncourtów. Nader oryginalnie scharakteryzowany jest Zola, którego Lemaitre uważa za poetę i epika, który na wzór piewców homerycznych ożywia i uosabia na-

---

(1) Les Contemporains, tom III, str. 91 i 114.

turę, przyodziewając ją w potworne kształty; ludzie i namiętności mają u niego jakieś rozmiary olbrzymie, symboliczne Drobne opowiadania Daudeta scharakteryzowane nader szczegółowo, właściwości stylu i wrażliwości kobiecéj tegoż—z prawdziwém mistrzowswem.

Lemaitre, prócz swéj artystycznéj właściwości posiada, i na to kładę nacisk, niepospolite wykształcenie literackie. Literaturę klasyczną, grecką i rzymską, równie jak francuską zna wybornie i jest w niéj gruntownie oczytany. Sam pisał poezye i nowele, zna téż doskonale technikę artystyczną. Zna jéj wszystkie tajniki, igra z nią swobodnie, umié więc z całą zawodową ścisłością rozbierać utwory artystyczne, które go pociągają. Nie jest przytém, jak powiedziałem, wielbicielem jednostronnym. Lubiąc najbardziéj pisarzy, zbliżających się do szkoły realistyczno-naturalistycznéj, umié jednak sympatycznie oceniać i romantyczność Feuilleta, lub Rabussona i powieści Fabre'a, w których treść czerpana jest wyłącznie prawie z życia księży (bez żadnéj tendencyi do szykany, owszem z całą sympatyą dla tych typów odrębnych); interesują go również powieści wiejskie Glouveta i wyrafinowany pesymizm Bourgeta i klasyczna forma Guy de Maupassanta, który doprowadził do mistrzowstwa stare *contes* francuskie.

Prawdziwemi perełkami krytyki artystycznéj są rozbiory poetów: Teodora Banville'a, Armanda Silvestre'a, Leconte'a de Lisle, Coppéego, José-Maria de Heredia. Lemaitre nie ogranicza się nawet na poetach i powieściopisarzach, lecz pisze o krytykach literackich i teatralnych, jak Brunetière, Sarcey, Weiss, o fejletonistach jak Henryk Fouquier i Wolf. Z ogromną łatwością rozwiązuje szarady maksym, z powodu zbiorku jakiejś *comtesse Diane*, a nawet analizuje krasomóstwo kaznodziejskie *à propos* kazań księdza Monsabré. We wszystkich tych studyach i szkicach krytyk przejawia nie tylko wielką wrażliwość na zagadnienia spółczesne, znajdujące swe odbicie w literaturze, lecz nadto umysł bystry, analityczny, jasny i żywy.

VI.

Lemaitre sam mówi o sobie, iż dlatego tak lubi literaturę spółczesną, że czuje w niéj samego siebie, że dzieli wraz z nią wszystkie jéj właściwości, zarówno zalety, jak wady. Jedną z takich właściwości jest pesymizm, którym przejętą jest nawskróś szkoła naturalistyczna. Krytyk nasz jest także pesymistą. „Paweł Bourget, powiada, broni się przeciwko temu jakoby był pesymistą. Jest jednak

w błędzie! Pesymista nie jest koniecznie człowiekiem, który twierdzi, że złe przeważa nad dobrém we wszechświecie, ani mizantropem, hipokondrykiem lub zrozpaczonym. Każdy człowiek, mówi daléj, który zastanawia się nad dolą ludzką i znajduje ją niepojętą, nie ma zaś dla pokrzepienia się ni wiary chrześciańskiéj ani naiwnéj wiary w postęp, może być nazwany pesymistą. Sam już fakt, że nie rozumiemy nic w ustroju świata, jest, kiedy nad tém pomyślimy, przykry. Nie przeszkadza to jednak żyć jak drudzy, cieszyć się, przy sposobności niebem, świeżém powietrzem a nawet towarzystwem mężczyzn i kobiet; w chwilach atoli rozwagi jest całkiem rzeczą niemożliwą być, poza wiarą religijną, optymistą: zawiele jest cierpień bezcelowych, zewsząd zaś otacza nas zbyt gruby mur nocy...“ Oto wyznanie wiary krytyka w rzeczy pesymizmu i optymizmu. Nie będę się nad tém rozwodzić. Zarówno optymizm jak i pesymizm wydają mi się matyfizycznemi poglądami, jeżeli je brać jako coś absolutnego. Istoty rzeczy bezwątpienia nie znamy i nigdy zapewne dobrze znać nie będziemy; nie widzę w tém jednak powodu do umartwień. Ci tylko mogą się oddawać rozpaczy z tego powodu, którzy zamyślali nierozważnie posiąść odrazu całą wiedzę i dotrzéć do jądra wszechrzeczy. Doznawszy nader zrozumiałego zawodu, oddają się czarnemu pesymizmowi, w czém leży spora doza naiwności. Z drugiéj strony granice naszego poznania nie są bynajmniéj zamknięte i murem otoczone. Po za kresem naszéj wiedzy dzisiejszéj rozciąga się raczéj dziewiczy las i pola nowinne, w niezajęte zaś te obszary wrąbywać się i worywać może każdy, komu w starych ramach zaciasno. Trzebież zaś puszcz i orka nowin są to zajęcia tak pociągające i pochłaniające, że odpędzają wybornie wszelką nudę i pesymizm. Tyle co do wiedzy o świecie. A życie ludzkie? Zapewne jest w niém daleko więcéj nędz wszelkiego rodzaju, niż jasnych promieni. I w tém jednak nie widzę racyi dla pesymizmu. Są zapewne marzyciele, którzyby chcieli mięć „pieczone gołąbki“ bez trudu i starań i pragnęliby widziéć świat odrazu doskonałym; spostrzegłszy zaś, że wiele mu jeszcze do téj doskonałości brakuje, mają pretensye do sił wyższych, że go odrazu lepszym nie stworzyły. Znowu naiwność. Natura mało się troszczy o to, czy ludziom źle czy dobrze na ziemi. To ich rzecz. Niechże więc urządzą się jak im najlepiéj, nie żądając oczywiście od świata rzeczy nadzwyczajnych. Życie jest trudne i złe, każdy jednak może mieć nadzieję wyrąbać w niém sobie jakąś znośną sadybę. Zdarzyć się mogą wprawdzie klęski elementarne, nieszczęścia, wypadki—przeciwko wszystkim nie podobna się ubezpieczyć, co najwyżéj przeciwko ogniowi i gradobiciu. Gdy jednak wielu ludzi pracuje nad polepszeniem

ogólnych warunków istnienia, można mieć nadzieję, że życie stanie się coraz łatwiejszém i znośniejszém. I nie należy bynajmniéj zamykać swych pragnień w zbyt ciasnym zakresie, ograniczać do potrzeb koniecznych. Bynajmniéj. Mając przed sobą ludzkie i realne ideały prawdy, szczęścia i piękna, możemy z całą pewnością ku nim się zbliżać. Niejeden wprawdzie padnie na drodze, nie jednemu nie wesoła dola przypadnie w udziale; czyż żołnierz jednak idący z otuchą ku zwycięstwu nie jest narażony na śmierć i rany. Gdy się zaś idzie naprzód z całém przeświadczeniem o słuszności sprawy, i rany mniéj bolą i śmierć nie wydaje się tak straszną. Z tego wszystkiego da się wyprowadzić wniosek, że życie nie powinno wcale usposabiać do nudy i pesymizmu. Pojęcie to w swéj absolutnéj tendencyi jest równie naiwném jak różowy optymizm i za ziemski jakiś idealizm.

Drugą plagą spółczesnéj literatury we Francyi jest eklektyzm. I jemu též Lemaitre ulega. Eklektyzmu nie należy brać za jedno z wszechstronnością. Jest-to raczéj to, co trafnie określił Bourget jako dyletantyzm: lubowanie się w najsprzeczniejszych pojęciach, w najróżnorodniejszych poglądach i uczuciach, bez możności stopienia ich w jedną całość. Mimo całego umysłowego i uczuciowego sybarytyzmu jaki daje eklektyzm, człowiek czuje się przygnębiony tém bogactwem myśli i wrażeń, nie może ich opanować, czuje się rozerwanym i... pożałowania godnym. Lemaitre powiedział to sam o sobie. Charakteryzując Sarcey'a zauważył, że tenże, będąc całkowitym, chociaż i dość ograniczonym w swych poglądach, nie jest wstanie wejść w duszę impresyonisty, równie jak w duszę wierzącego katolika. Nie robię mu jednak z tego zarzutu, śpieszy dodać krytyk. „Ci, co jak ja starają się wejść wszędzie, nie mają często swego własnego domu i godni są pożałowania“ (1).

Ów dyletantyzm czy eklektyzm, wahanie się z wydaniem ostatecznego sądu, równie jak podgryzający wszystko sceptycyzm, daje się często spotykać u Lemaitre'a. Nie jest on jednak u niego suchym, odstręczającym ani doktrynerskim. Jest to raczéj wahanie się duszy wyrozumiałéj i wrażliwéj, która ma skrupuły w ferowaniu niecofnionych wyroków, gdzie okoliczności łagodzące przemawiają na korzyść podsądnego—wahania się umysłu otwartego na ścieżaj, który tyle rzeczy pojmuje i widzi, że mu trudno o wybór, umysłu, który *in dubiis* zachowuje sobie *libertas*; nie troszcząc się atoli zbytnio o uparte trwanie w głównych artykułach wiary.

Ten krytyczny sceptycyzm przybiera czasem u Lamaitre'a formę kaprysu i hypotetycznych łamigłówek. Po napisaniu naprzykład

(1) Tom II, str. 224.

siarczystéj filipiki przeciwko kronikom dziennikarskim, inaczéj zwanym fejletonami, krytyk zatrzymuje się i powiada: „A jednak, w miarę, jak wyrażam te prawdy, banalne jak same kroniki, tracę pewność siebie. To co powiedziałem o kronikach, da się powiedziéć o dziennikach wogóle, a nawet o całéj literaturze, jeżeli cała literatura jest czczém przelewaniem z pustego w próżne;—powiedziéć jednak, że coś jest czczém, próżném, jest to nic nie powiedziéć. Fragmenty rzeczywistości, odbite w danym umyśle—oto określenie najpiękniejszych książek. Określenie to jednak da się zastosować do najmniejszego artykułu dziennikarskiego—kronika będzie więc jeżeli chcecie, prochem literatury, zawsze jednak literatury". W tych uwagach podnosi Lemaitre wysoko wewnętrzną i zewnętrzną wartość kronik Henryka Fouquier, wytrawnego i głębokiego myśliciela w kwestyach etycznych, specyalnie przytém w kwestyi kobiecéj; początkowe lekceważenie kronik stosowało się właściwie do Alberta Wolffa, płytkiego fejletonisty i jeszcze płytszego estetyka.

W sprawie zagadnień społecznych i politycznych Lemaitre nie wypowiada się wyraźnie, nie okazuje jednak reakcyjnych predylekcyi. Czuć zresztą, że w kwestyach tych nie ma wyrobionych poglądów ani trwałych sympatyi, w czém znowu należy zupełnie do literatury naturalistycznéj, odznaczającéj się brakiem wszelkich społeczno-politycznych poglądów. Kiedy zaś na ten grunt się zapuszcza, jak w sylwetce Rocheforta, widać, że robi przypuszczenia i wnioski w dziedzinie, któréj nie rozumié i nie odczuwa. To téż studyum o Rocheforcie kończy się następującém wyznaniem: „Obawiam się, że dawszy zbyt wiele przypuszczalnych objaśnień (dotyczących publicystycznego charakteru naczelnego redaktora *l'Intransigeant*'a), zaciemniłem tylko to, co starałem się wyjaśnić. Jeżeli objaśnienia te wydadzą wam się sprzecznemi—możecie wybrać sobie między niemi te, które się wam podobają. Jeżeli zaś macie skłonności filozoficzne bierzcie wszystko razem, właśnie dlatego, że są sprzeczności. Zresztą, możecie powiedziéć także, że nic nie było do objaśniania. Rochefort jest być może daleko mniéj złożonym, zarówno w dobrém jak w złém, niż mi się wydał" (1). Wyznania te mają przynajmniéj wartość szczerości.

W Lemaitrze bądź-co-bądź siedzi b. profesor i wychowaniec szkoły normalnéj, *un normalien*, „normaliści" zaś stworzyli nawet szkołę, odznaczającą się, niezależnie od szkolarskiego pedantyzmu, podniesieniem do godności zasady zdrowego rozsądku, przy czczości i próżni w zagadnieniach szerszego polotu. Cóś z tego nastroju

---

(1) Tom III str. 314.

posiada i Lemaitre. „Zdrowy chłopski rozum“ byłby dlań zaciasnym, pewna jednak drobna jego doza ratuje go w powodzi pesymizmu, eklektyzmu, dyletantyzmu i wszelkich sprzeczności. Wobec tego radykalizm każdy razi go, jako coś stanowczego i absolutnego. Nie może go téż darować Richepin'owi, poecie, który w „Bluźnierstwach“ rzucił namiętnie rękawicę wszystkim wiarom i zasadom. Lemaitre, który, jak sam powiada, umié wejść w każdą duszę — w duszę radykała wniknąć nie jest w stanie. Nie miejmy mu tego za złe, jest bowiem już i bez tego dostatecznie wszechstronnym....

VII.

Pozostaje mi jeszcze zestawić niektóre uwagi dla ostatecznego określenia krytycznego impresyonizmu Lemaitre'a.

Krytyk często wraca do téj zasady, że „człowiek jest miarą rzeczy“, każdy zaś krytyk miarą dla dzieł, które ocenia. Cokolwiekbyśmy mówili, utwór pewien jest zły lub dobry w miarę tego, czy podoba się, lub nie, sędziemu. Zdarzyć się jednak może, ciągnie daléj autor, że na zdanie, wypowiedziane przez jakiegoś znawcę, zgodzą się i inni, że stanie się ono „powagą“.... Ażeby zaszedł ten ostatni wypadek, potrzeba dwóch warunków: albo krytyk poślubi zdanie większości „ludzi uczciwych“, wykształconych lub nawet szerokiego ogółu — albo téż potrafi im swe zdanie narzucić. Ażeby być powagą, trzeba nadto trzymać się stale pewnéj miary. „Dobry krytyk—powiada Lemaitre —nie ma wcale własnych upodobań (*lubies)*, nie może zmieniać zdań jak koszule. Szacując dane dzieło, przypomina sobie inne, które już taksował i pilnuje się miary, którą nosi w sobie. Pozostaje zawsze niezmiennym wobec dzieł twórczych, dla ułatwienia téj jednakowości trzyma się pewnych zasad, które uważa za absolutne i niezmienne. Ma wtedy doktrynę... Pierwiastek stałości może się mieścić zresztą nie tylko w głowie krytyka, lecz w jego temperamencie i gustach, o ile są one trwałe. Okazem tego ostatniego rodzaju jest naprzykład J. J. Weiss, krytyk francuski, który upodobał sobie namiętnie, szczerze i z niepospolitą erudycyą niektóre formy, szczególnie świetnie umysłu francuskiego i te okresy, w których umysł ten okazał najwięcéj subtelności, wdzięku i szlachetności“ (1). Stałe upodobanie ma w tym wypadku charakter prawie stałego kaprysu.

Sobie nie przyznaje Lemaitre charakteru zawodowego „dobrego“ krytyka. „Ach—powiada—jestem tak mało krytykiem, że kie-

(1) Tom II, str. 267.

dy zajmie mnie jaki pisarz, należę całkowicie do niego; niezadługo atoli inny znowu autor może mnie posiadać równie całkowicie i wrażenia, od tego ostatniego otrzymane, zatrą uczucia i myśli poprzednie,— ponieważ zaś wrażenia te nie bywają nigdy jednego rodzaju, nie mogę wagi ich porównywać i wyprowadzać wniosków, że jedno wrażenie wyższém jest od drugiego.... nie mogę wam dać żadnéj doktryny, nic stałego — pierwiastku bowiem tego nie mam w sobie. Krytyk więc zmienny jest w swych pojęciach i gustach, jak owa *donna*, która jest *mobile* i byłby waryatem ten, ktoby mu ufał" (1).

Poczekajmy jednak chwilę, autor postara się nam ten zmienny kierunek nieco uzasadnić.

Zaczyna od tego, że przeczy istnieniu nie tylko już krytyki, opartéj na pewnych uzasadnionych i jednolitych podstawach, lecz wprost saméj indywidualności. O Pawle Bourget powiada Lemaitre, że jest on widocznie poetą i powieściopisarzem, przedewszystkiém jednak krytykiem (jak Lemaitre) — nie tym jednak, który sądzi i opowiada, lecz tym, który pojmuje i odczuwa, który zajmuje się przedewszystkiem „przyswajaniem sobie różnych stanów psychologicznych." Pośród tylu dusz, które przeniknął i przywłaszczył sobie, gdzież jest jego własna. Szukając odpowiedzi — powiada Lemaitre — że im pewien krytyk ma umysł szerszy i sympatyą potężniejszą, tém mniéj ma rysów indywidualnych. Najwybitniejsi i najoryginalniejsi nie tylko między ludźmi, lecz i między pisarzami są ci, którzy nie wszystko pojmują, nie wszystko odczuwają i nie wszystko kochają,— lecz u których wiedza i upodobanie są ograniczone. Człowiek idealny — mówi daléj — ten, który przyjdzie pod koniec, ponieważ wszystko będzie rozumiał i tłomaczył, nie będzie miał prawdopodobnie żadnego własnego intelektualnego oblicza; będzie miał również nader umiarkowane namiętności, gusta i wady. Członkowie szczupłéj oligarchii intelektualnéj, którzy—według Renana — rządzić będą kiedyś światem, wyzwoleni przez wszechwiedzę ze wszelkich niższych pożądań, będą o tyle do siebie podobni, że ich trudno będzie rozróżnić. Zbliżą się wtedy do Boga, wielkiego mędrca, wielkiego krytyka — Bóg zaś nie ma żadnéj indywidualności. Dziś już człowiek, któryby pojmował całkowicie i głęboko wszystkie formy, w jakich świat odbija się w umysłach ludzkich, nie mógłby być inaczéj określony, jak przez ową nieosobową zdolność objęcia i przeniknięcia wszystkiego (2).

Do tegośmy jeszcze nie doszli—dodaje Lemaitre. Mamy obecnie tyle sposobów pojmowania krytyki, co powieści, teatru, lub poe-

(1) Tom III, str. 114. — (2) Tom III, str. 343.

zyi, indywidualność więc krytyka może się uwydatnić w całéj pełni, jeżeli są zdolności po temu. Ledwie potrzebuję dodawać — mówi autor—że krytyk, jak każdy inny pisarz, kładzie koniecznie w swe pisma własny temperament i pojęcie o życiu, ponieważ on to właśnie pisze o innych. Istnieją różnice między krytykami, jak i między „krytykowanymi“ autorami. Nisard'a, Taine'a, Saint-Beuve'a można zestawić naprzykład z Corneille'm, Racine'm i Molière'm. Wymienionych krytyków charakteryzuje Lemaitre w sposób następujący:

„Nisard zaczyna od tego, że tworzy sobie pojęcie ogólne i jakby oczyszczone o geniuszu francuskim. Idee te wyprowadził z ogólnego poglądu na naszą literaturę. Wprowadza w nią, jako konieczną część składową wierzenia filozofii spirytualistycznéj. Z ideałem, pojętym w ten sposób, porównywa on dzieła pisarzy, podnosząc ich lub ganiąc według tego, o ile się do ideału tego zbliżają lub oddalają. Zresztą utwory te krytyk wydziela zupełnie, pomijając zazwyczaj nawet osobę ich twórców; jeżeli zresztą wspomina o nich, to dlatego tylko, ażeby osądzić, w myśl pojęcia o wolnéj woli, czy służyli literackiemu ideałowi, który krytyk wyznaje, czy téż zdradzali go. Nisard nie uznaje zupełnie żadnego koniecznego związku między dziełami i ich twórcami, pomiędzy tymi ostatnimi i otoczeniem społeczném, lub téż między następującemi po sobie okresami. Historyczne swe wywody rozwija systematycznie i logicznie; umysł francuski podobny jest u niego do osoby moralnéj, która się rozwijała i upadała w ciągu wieków.... Oczywiście — dodaje Lemaitre—łatwo zauważyć, o ile pogląd ten jest jednostronny i niezupełny; jak jednak ciekawym, subtelnym i pewnym siebie jest mimo to umysł Nisard'a!

Taine w swéj „Historyi literatury angielskiéj“ — czytamy daléj—robi wręcz przeciwnie, a jednak robi to samo. Gdy Nisard zwracał tylko uwagę na utwory, Taine usiłuje zaszczycać swą uwagą przedewszystkiém przyczyny dalsze lub bliższe, których są one wynikiem; gdy Nisard ucinał dzieła u korzeni, on zajmuje się głównie korzeniami, w najdrobniejszych ich rozgałęzieniach a nawet ziemią, w którą się pogrążały. To jednak tłómaczenie książek ludźmi, ludzi zaś rasą i otoczeniem, jest często wprost ułudą. Krytyk utworzył sobie na pierwszy rzut oka pojęcie ogólne o geniuszu angielskim (jak Nisard o francuskim) i z tego właśnie pojęcia wyprowadza warunki i otoczenie, w jakich dzieła iście angielskie mogą wyrastać. Tych zaś, którzy nie dają się wytłómaczyć tém otoczeniem, pomija. Przychodzi więc, inną tylko drogą, do ciasnéj wyłączności Nisarda. Spirytualizm z jednéj, pozytywizm z drugiéj do-

prowadzają do analogicznego rezultatu. Możemy więc powtórzyć: wywody historyczne Taine'a są nadzwyczaj systematyczne, stronne i niezupełne—jak jednak interesującym jest geniusz Taine'a! co za potęga uogólnień i jaki czar barw w dziele tego poety-logika!" (1)

Tak więc, konkluduje Lemaitre, dogmatyczna lub naukowa krytyka literacka jest niczém innćm jak osobistém i zwodniczém dziełem ludzkiém. Sainte-Beuve łączy, z niemałym wdziękiem obie metody; czasami ocenia, częściéj jednak opisuje; sądzi jeszcze dzieła tradycyjnie, w guście klasycznym, tradycyą tę jednak rozszerza, zajmując się chętnie przechadzkami po literaturze, kreśleniem portretów i życiorysów i dostarczając cennego materyału do tego, co sam tak trafnie nazywał historyą naturalną umysłów...

Pomijam, mówi w dalszym ciągu Lemaitre, różne kombinacye doktryny, historyi i psychologii, właściwe pp. Scherer'owi, Montégut i Brunetière'owi, parę słów jednak o Pawle Bourget. „Nie daje on ani portretów ani życiorysów; nie analizuje bynajmniéj dzieł i warunków w jakich powstały; nie określa wrażenia, jakie wywierają na nim dzieła sztuki: stara się on tylko wytłómaczyć dokładnie i opisać te „stany duszy" i idee, które sobie najlepiéj przyswoił przez naśladownictwo i sympatyą. Kreśląc zaś w gruncie rzeczy historyą własnéj swéj duszy, kreśli jednocześnie historyą wewnętrznego nastroju pokolenia, do którego należy, wnosząc w ten sposób cenny przyczynek do historyi moralnéj naszéj epoki.

Ewolucya jednak myśli krytycznéj, kończy Lemaitre, na wzorach powyższych nie kończy się. Czcza jako doktryna, jednostronna z konieczności jako nauka, krytyka literacka zdąża, być może, do przeobrażenia się w sztukę pełnego korzystania z książek, rozkoszowania się niemi, a przez to wzbogacania i zaostrzania dostarczanych przez nie wrażeń... (2)

Ku temu ostatniemu poglądowi zdaje się skłaniać najbardziéj nasz krytyk, lubo swoim zwyczajem, i to zdanie gotów natychmiast zakwestyonować. Rozwijając myśl wyrażoną w zdaniu powyższém, powiada daléj, że krytyka jest wyobrażeniem o świecie, równie osobistém, równie względném i przemijającém, wskutek zaś tego równie interesującém jak te obrazy, które tworzą inne rodzaje literatury. Krytyka literacka może być rzeczą czarującą, może ona wyrównywać dziełom, o których mówi, a nawet przewyższać je. Czytelnik lubuje się dziełem rozbieraném i samym rozbiorem. Chwyta on odbicie świata w pewnym umyśle i tego znowu umysłu w drugim. Widzi on, w jaki sposób człowiek, który w pewien sposób od-

(1) Tom III, str. 345. — (2) Tom III. str. 344.

tworzył rzeczywistość, jest z kolei odtwarzany przez innego. Jak artysta tworzy swoje osobistości, tak krytyk tworzy znowu poniekąd i urabia na swój sposób artystę, o którym pisze. Krytyk zaś znowu może być opisywany, odtwarzany i omawiany przez innego krytyka. Każdy człowiek jest mniéj lub więcéj świadomém odbiciem świata i innych ludzi, żadne przytém zwierciadło nie daje obrazów zupełnie podobnych do rysów, pochwyconych przez inne odbicie"...

Krytyk wciąga nas jednak w chaos i zamęt obrazów, czas więc położyć kropkę i zapytać jeszcze, o ile Lemaitre sam zbliża się do ideału krytyka, według ostatnich swych definicyi?

Zbliża się niewątpliwie i bardzo. Jeżeli ostatecznym celem ewolucyi ma być zupełne rozpłynięcie się ludzkiéj indywidualności w falach wyobrażeń i wrażeń, to swawolna igraszka wrażliwego krytyka z dziełami sztuki, rola wdzięcznego cicerona i znawcy—może być stadyum ostatniém w rozwoju krytyki literackiéj.

Lemaitre sam jednak przyznaje, że od „doskonałości" téj jesteśmy jeszcze dalecy. Indywidualność może być ograniczoną, jest to jednak już cechą wszelkiego odrębnego istnienia, a po zagranice indywidualne trudno nam bądź-co-bądź przeniknąć. Jeżeli przytém zyskujemy coś na wszechstronném eklektyzmie i dyletantyzmie, to tracimy jednocześnie te wszystkie korzyści jakie posiada, nawet w celach poznania, wszelka określona wyraźnie indywidualność. Sam krytyk mógł nieraz doświadczyć na sobie jak śliski grunt pod nogami ma krytykująca jednostka o wyrazie niezdecydowanym i zmiennym. Sądzimy więc, że należy, bądź-co-bądź, zatrzymać indywidualność, chociaż jest pożądaném, żeby była ona jak najmniéj „ograniczoną".

I saméj krytyki literackiéj, jako nauki, niepodobna sprowadzać do zmiennych jedynie gustów wciąż zmieniającego się i chwiejnego krytyka. Krytyka literacka, jak wszelka nauka, musi miéć jakieś przedmiotowe istnienie, choćbyśmy przedmiotowość tę oglądali przez pryzmat podmiotowy. Faktem jest, bądź-co-bądź, że podmiotowa ta przedmiotowość czy przedmiotowa podmiotowość, z granic któréj wyjść nie możemy, ma obok zmienności inną jeszcze cechę—stałość, nawet stałość w zmienności. Jak świat cały, przyroda, tak społeczeństwo i człowiek rozwija się według pewnego, mniéj więcéj stałego i określonego planu, i znajomość téj właśnie ewolucyi służyć nam winna za miarę krytycznego sądu w rzeczach literatury. Krytyk, znając historyą i czasy obecne, znając warunki, w jakich się utwory sztuki pojawiały i pojawiają—może bez dogmatyzmu i pedanteryi oznaczyć wartość, zalety i wady danego dzieła. Ta właśnie fachowa znajomość, połączona z umiejętném

wniknięciem w tajniki techniki artystycznéj robi z niego osobistość uzdolnioną do oceny utworów piękna—i w tém właśnie różni się on od zwykłego śmiertelnika, zdolnego nawet do zupełnego rozkoszowania się w pięknościach dzieł sztuki. Jeżeli obok wiedzy i erudycyi specyalnéj krytyk zachowa wrażliwość czytelnika, jeżeli dostrzegając łatwiéj piękności utworów, potrafi je zaznaczyć lepiéj i oświetlić—tém krytyka jego będzie pełniejszą, poczytniejszą i bardziéj wpływową.

Pomimo paradoksalnych nieraz i kapryśnych poglądów, jakie wypowiada, Juliusz Lemaitre odpowiada w znacznéj mierze wymaganiom powyższym. Aczkolwiek nurtowany pesymizmem, eklektyzmem a nawet „zdrowym rozsądkiem“, posiada on wielką i świeżą wrażliwość na objawy spółczesne, umysł bystry, wszechstronny i jasny, posiada przytém gruntowne i umiejętne wykształcenie literackie.

Jest zupełnie spółczesnym krytykiem spółczesnéj literatury francuskiéj, krytykiem jednak wybitnym i z wielu względów nader „sympatycznym“, że użyjemy terminu, będącego ostatnią instancyą krytycznego impresyonizmu Lemaitre'a.

Edward Przewóski.

MADIARYZACYA SŁOWIAN.

Towarzystwa madiaryzacyjne i rezultaty madiaryzacyi.—Agonia Rusi zakarpackiéj. — Emigracya Słowaków. — Węgierscy przeciwnicy madiaryzacyi — Hr. Stefan Szechenyi i L. Mocsáry.

Wierni zasadzie Kossutha: „Madiaryzujmy szybko Słowian, Niemców i Rumunów, ale prędko, bo inaczéj zginiemy!“ starają się Madiarzy najrozmaitszemi sposobami wynarodowić wszystkie inne narodowości. Tworząc według urzędowych obliczeń 45%, a właściwie tylko trzecią część ludności Węgier, chcieliby Madiarzy jaknajprędzéj być nie tylko politycznie, ale i liczebnie przeważającym narodem w Węgrzech. Niezadowoleni z działalności rządu, starającego się wszystkiemi możliwemi środkami rozszerzać język madiarski, pozakładali Madiarzy liczne towarzystwa dla rozszerzenia madiarskiéj „kultury“ między innemi narodowościami w Węgrzech. W początku października r. z. odbył się w Budapeszcie kongres tych „kulturnych“ związków madiarskich. Zjazd zagaił L. Tisza, brat ministra, szowinistyczną mową, którą zakończył temi słowy: „*A legelső magyar ember a kiraly!*“ (Jako pierwszy jest madiarski człowiek królem!). Na zjeździe było reprezentowanych 32 towarzystwa przez 250 członków; cały zaś związek obejmuje 35 towarzystw, które w roku 1886 miały 287,000 fl. dochodu, 191,000 fl. wydatków a 629,000 fl. majątku. Najbogatszém towarzystwem kulturowém jest siedmiogrodzkie, posiadające 250,000 fl. majątku; jednêm z najenergiczniejszych jest „Górno-węgierskie towarzystwo kulturowe“, mające na celu madiaryzacyą Słowaków. Pod tym względem pomaga mu „Węgiersko-słowacki związek kulturny“ („Uhorsko-krajiński vzdelavaci spolok Slovenský“), posiadający 95,000 fl. majątku. Pieniądze te zebrała rozwiązana w r. 1875 Macierz sło-

wacka, nazywająca się po słowacku „Matica slovenska“ (w Turczańskim Sw. Martinie), a więc tak samo jak słoweńska Macierz „Matica slovenska“ w Lublanie, gdyż Słowacy sami nazywają się także Słoweńcami.

Kiedy przy otwarciu wszechnicy chorwackiéj w Zagrzebiu w r. 1874 zastępca Maticy słoweńskiéj (lublańskiéj) d-r Casta wyraził się nieprzychylnie o Madiarach, rząd węgierski pochwycił tożsamość nazw obu Matic, jako pozór do rozwiązania Maticy słowackiéj „z powodu propagandy słowiańskiéj, rozbudzającéj stronnictwa polityczne.“ Skonfiskowany majątek Macierzy słowackiéj 95,867 fl., jéj dom, muzeum i bibliotekę Tisza darował wspomnianemu „Związkowi kulturnemu węgiersko-słowackiemu“, założonemu przez biskupa Spiżu (zmadiaryzowanego Słowaka) Jerzego Császka „dla rozszerzania madiarskiéj kultury między Słowakami.“ W tym celu wydaje ten związek zaprzedanych rządowi renegatów słowackich dwa pisma gadzinkowe „Slovenské Noviny“ i „Vlast’ a Svet“. „Slovenské (Słowackie) Nowiny“, wychodzące 4 razy na tydzień, starają się nizką ceną (6 fl. rocznie) podkopać byt głównego organu narodowców słowackich „Narodnich Nowin“, które wychodząc 3 razy tygodniowo, kosztują 12 fl. rocznie. „Vlast’ a Svet“ (Ojczyzna i Świat) „ilustrowany tygodnik“ dla obałamucenia ludu Słowackiego, z wyobrażeniem Hungaryi i z widokiem Budapesztu w nagłówku, zawiera przeważnie życiorysy królów madiarskich i parę nędznych tłómaczeń z madiarskiego na słowackie; na cały rok kosztuje 1 fl.! Oba te pisemka utrzymują się głównie z konfiskowanych funduszów „Macierzy Słowackiéj.“ W taki sposób pieniądze zebrane z wdowich groszów ubogich Słowaków dla podniesienia ich literatury, służą obecnie do ich madiaryzacyi! Bogate zaś zbiory Macierzy Słowackiéj n i s z c z e j ą i p l e ś n i e j ą coraz bardziéj, ważne rękopisy słowackie g n i j ą i b u t w i e j ą, gdyż pomimo ciągłych próśb Słowaków rząd madiarski nie daje ich przewietrzyć już od lat kilku!

Z innych towarzystw najważniejszy jest „Madiarski związek szkolny“, mający zakładać szkoły madiarskie w okolicach słowiańskich i rumuńskich. W rok po założeniu liczył już 1200 członków, których liczba wskutek nowéj organizacyi odtąd kilkakroć się powiększyła. Uwagi godnym jest również „Związek madiaryzacyi nazwisk“, mający na celu zachęcanie osób, noszących nie madiarskie nazwiska, do zmiany ich na madiarskie. Wyrobił on u rządu, że w r. 1881 opłatę stemplową od zmiany nazwiska zniżono z 5 fl. na 50 centów, „żeby nawet najbiédniejsi mogli przez madiaryzacyą nazwisk okazać węgierski patryotyzm.“ Łatwo sobie można przed-

stawić, ilu robotników i służących słowiańskich musi madiaryzować rodzinne nazwiska na rozkaz swoich madiarskich panów! Według ostatniego sprawozdania zmadiaryzowano tylko w roku 1886 nazwiska 817 rodzin, między któremi znajdowało się jednak 41 Kohnów (Karas, Kallay), 9 Löwych (Levay, Ballogh), 9 Sternów (Csillag), 21 Weissów (Feher), 12 Kleinów (Kis) i kilku Schwarzów (Fekete), Grossów (Nagy), Wolfów (Farkas), Pollakow (Lengyel) i Blochów (Ballagi).

Wszystkie towarzystwa kulturne odznaczają się bardzo czynną ale i nadzwyczaj bezwzględną agitacyą. Popierane na każdym kroku przez rząd, teroryzują wszystkiemi środkami ludność słowiańską i rumuńską. Wydają one kilka gazetek słowiańskich i rumuńskich z madiarską tendencyą, dowodzących, że ludność słowiańska i rumuńska kocha Madiarów, jest zupełnie zadowolona z ich panowania, lecz tylko kilku agitatorów sieje niezgodę między Słowianami a Madiarami. Na te gadzinkowe piśmidła powołują się Madiarzy w odpowiedziach na skargi narodowców słowiańskich, utrzymując: „że nawet porządne i lojalne pisma słowiańskie uważają skargi te za bezpodstawne i niesłuszne.“ Jednocześnie prowadzą „związki kulturowe“ agitacyą madiarską przy wszystkich wyborach do rad miejskich i gminnych i popierają usilnie madiaryzacyą szkół słowiańskich, rumuńskich i niemieckich, oraz zakładają szkoły madiarskie w okolicach czysto słowiańskich. Prócz tego urządzają we wszystkich miastach i miasteczkach kursa madiarskie dla dorosłych. Takich kursów jest np. w saméj Brzetysławie (Pressburgu) 20-cia, gdzie się 400 Słowaków i Niemców, starszych ludzi, uczy po madiarsku. Są to głównie urzędnicy i nauczyciele, którym w roku 1879 nakazano pod rygorem utraty posad nauczyć się w przeciągu 4 lat po madiarsku. Następnie zakładają „związki kulturowe“ w miastach słowiańskich i rumuńskich madiarskie teatry z których jednak wiele bankrutuje, gdyż zwykle świecą pustkami tak dalece, że np. w Nitrze, starodawnéj stolicy książąt słowackich, przyszło raz na jedno przedstawienie madiarskie tylko czterech widzów, którzy mieli bilety bezpłatne! Daléj zakładają „związki kulturowe“, liczne ogródki freblowskie madiarskie w okolicach czysto słowiańskich lub rumuńskich, w których dzieci ubogich ludzi wychowują się na pruski sposób na szermierzy madiaryzmu. Najbardziéj utalentowani dostają stypendya, żeby się kształcili na księży, i kazali chłopom słowiańskim: „że Węgry będą daleko silniejsze, jeżeli wszyscy ich mieszkańcy utworzą jeden naród, i dlatego nakazuje miłość ojczyzny wszystkim ludom węgierskim zlać się w jeden naród madiarski.“ Jeżeli się tym mimowolnym renegatom odpowiada,

że prawdziwa miłość ojczyzny objawia się przedewszystkiém w pielęgnowaniu języka ojczystego, uznają poczciwsi z nich nieraz to za słuszne i wpadają w wielkie zakłopotanie, jakby to pogodzić ze wszczepioną im ideą madiarską. . . . .

Nie dziw, że wskutek niesłychanego teroryzmu, przy współdziałaniu wpajanéj w szkołach idei, iż ojczyzną wszystkich mieszkańców Węgier są Węgry, związki „kulturowe“ składają się przeważnie z madiarofilskich Słowian, Niemców i Rumunów. Tak np. do związku kulturowego w żupaństwie Bereg, zamieszkaném przeważnie przez Rusinów, należy tylu madiarofilskich Rusinów (szczególnie księży), że na jedném walném zgromadzeniu znalazło się 44-ch Madiarów, 6 Niemców i 50 Rusinów. Nie jest to przypadek, ale prawie reguła tylko, że w innych okolicach znajdujemy, zamiast Rusinów, Słowaków lub Serbów etc. Zazwyczaj dzielą się związki madiaryzacyjne na dwa oddziały, z których jeden prowadzi agitacyą madiaryzacyjną, a drugi zbiera potrzebne ku temu pieniądze. Nie poprzestając na subwencyach rządu i arystokracyi, ustanowiły prawie wszystkie żupaństwa dodatek do podatków po cencie od reńskiego na popieranie towarzystw madiaryzacyjnych. Budapeszteński związek madiaryzacyjny zwrócił się z prośbą o subwencyą do Lloydu, do gremium kupieckiego i do zboru izraelskiego, „ponieważ najwięcéj musi madiaryzować kupców i Żydów.“ Inne związki madiaryzacyjne zwróciły się do sejmu z prośbą o ustanowienie osobnego podatku na popieranie związków kulturnych. Wspomniany zaś wyżéj związek siedmiogrodzki ustawił na wszystkich rynkach i w większych restauracyach w całym Siedmiogrodzie dwa tysiące skarbonek na ofiary dla „świętéj sprawy“, t. j. na madiaryzacyą. Każdy datek złożony w tym celu, choćby tylko parę centów kwituje się publicznie. Nie mogąc już więcéj zabiegliwie agitować między mężczyznami, postanowił wyżéj wspomniany kongres związków kulturnych zakładać kółka damskie, które mają urządzać bale i zabawy na korzyść związków kulturowych i wogóle pomagać im w madiaryzacyi a szczególnie w zbieraniu składek. Oprócz tego postanowiono zakładać madiarskie biblioteki ludowe, wydawać odpowiednie książeczki dla ludu i prosić ministeryum, żeby pod tym względem starało się związkom kulturowym pomagać na drodze prawodawczéj. Nakoniec postawiono wniosek, aby dawać każdemu nauczycielowi po reńskiemu od każdego nie-madiarskiego dziecka, które nauczy po madiarsku.

Madiaryzacya szkół jest jednocześnie przedmiotem nieustannych trosk rządu. Według ustawy z r. 1868 mają prawo oznaczać język wykładowy w szkołach ludowych i średnich wyłącznie tylko

ci, którzy je utrzymują, a więc głównie zbory wyznaniowe i gminy, które utrzymują prawie wszystkie szkoły niższe i średnie. gdyż szkół państwowych jest w Węgrzech bardzo mało. Ale już w roku 1879 zaprowadzono język madiarski, z pogwałceniem autonomii gmin i zborów wyznaniowych, pomimo rozpaczliwych protestów Słowian, Rumunów i Sasów siedmiogrodzkich, we wszystkich szkołach ludowych i średnich, jako przedmiot obowiązkowy. Nowe to prawo posłużyło za wygodny pretekst do częściowéj madiaryzacyi szkół wszystkich innych narodowości, gdyż już w 1 klasie, nim się dziecko nauczyło czytać w języku ojczystym, wykłada się język madiarski 17-cie godzin tygodniowo. Według języka wykładowego dzielą się szkoły ludowe w Węgrzech na szkoły z jednym językiem wykładowym i szkoły mieszane, t. j. z dwoma językami wykładowymi: z madiarskim i rodzinnym językiem uczniów. Rząd madiarski stara się więc usilnie wszystkie szkoły z językiem wykładowym nie-madiarskim zamienić na szkoły mieszane, aby je potém przemienić na szkoły czysto madiarskie. Po ubytku szkół z jednym językiem wykładowym i przyroście szkół mieszanych z tym samym językiem i madiarskim można najpewniéj poznać postępy madiaryzacyi u pojedynczych narodów. I tak było w Węgrzech (bez Chorwacyi) szkół z językiem wykładowym:

	w r. 1869	w r. 1883	±	%
madiarskim	5818	7743	+1925	+33%
niemieckim.	1232	690	—542	—44%
słowackim	1821	1440	—381	—21%
rusińskim. . . .	473	282	—191	—40%
serbsko-chorwackim .	233	245	+ 12	+ 5%
rumuńskim	2569	2748	+179	+ 7½

	w r. 1869	w r. 1883	±
madiarskim i niemieckim. . .	710	1042	+332
„ i słowackim . . .	265	944	+679
„ i rusińskim. .	103	313	+210
„ i serbsko-chorwac.	37	68	+ 31
„ i rumuńskim . . .	164	337	+173

Jak widzimy ubyło stosunkowo najwięcéj szkół rusińskich i niemieckich. Ubytek szkół niemieckich jest zupełnie naturalny, gdyż w latach 1848 — 1867 pozakładano wiele szkół niemieckich wyłącznie w celach germanizacyjnych, które się nie mogły utrzymać po upadku swoich założycieli. Szkoły rusińskie zakładano natomiast w okolicach czysto rusińskich. Gdzie Rusini tworzyli tylko większość mieszkańców, zakładano nawet za rządów centralistycznych szkoły mieszane. Jeżeli pomimo tego liczba szkół rusińskich

stopniała prawie na połowę, podczas gdy ilość szkół rusińsko-madiarskich prawie się potroiła, jest to wymownym dowodem, że ze wszystkich narodów węgierskich Rusini, niestety, najprędzéj się madiaryzują. Ten smutny fakt potwierdzają ostatnie obliczenia narodowości w Węgrzech. Jak bowiem wynika z wykazów biur statystycznych, zmadiaryzowano w ostatnich 20 latach tylko miasta i miasteczka niegdyś przeważnie niemieckie (w których żywioł madiarski ogromnie się podniósł) oraz liczne wyspy językowe. Z pojedynczych narodowości ponieśli Serbowie, Rumunowie, a szczególnie Słowacy wielkie wprawdzie straty, ale ich liczba wogóle się nie zmniejszyła. Natomiast zmniejsza się liczba Niemców i Rusinów nadzwyczaj szybko. Niemcy bowiem nie tworzą nigdzie zwartych mas zamieszkujących większe obszary (z wyjątkiem Sasów siedmiogrodzkich), ale stanowią głównie ludność miejską oraz liczne wyspy językowe. Prócz tego tworzyli znaczną część Niemców słowiańscy i madiarscy renegaci, zgermanizowani podczas dawnych centralistycznych rządów Bacha i Schmerlinga, którzy przyzwyczajeni do zmiany narodowości według panującego systemu, stosują się obecnie pod względem narodowym do życzeń rządu madiarskiego. Rusini stanowią wprawdzie w czterech żupaństwach względną większość (w Beregu, Marmaroszu, Ugoczy i Wuhwarze), a w trzech poważną mniejszość, lecz są prócz tego rozrzuceni po 7 innych żupaństwach, gdzie tworzą liczne wyspy językowe, z których się wiele już zupełnie zmadiaryzowało.

Ruś zakarpacka ciągnie się wzdłuż południowéj granicy galicyjskiéj pasem 40 mil długim a 2—8 mil szerokim, obejmując 230 mil kwadratowych. Liczba zaś Rusinów węgierskich, wynosząca już w r. 1825—według Csaplovicsa—358,913 głów; według węgierskiego statystyka, Fennyesa, w 1840 r. 442,903; według urzędowego obliczenia w 1857—423,713; w roku 1862, według gruntownego znawcy Rusi zakarpackiéj prof. Bidermanna—500,000; a w 1870 r., według węgierskiego biura statystycznego—469,420 (według A. Fickera, długoletniego dyrektora austryackiego biura statystycznego w r. 1876 aż 600,000), zmalała przy ostatnim obliczeniu ludności na 356,062 głów! (z tych mieszka w miastach tylko 3709). Jeżeli zważymy, że kościół unicko-ruski liczy w Węgrzech 558,441 wyznawców, którzy wszyscy są pochodzenia rusińskiego, a od 356,062 odciągniemy 1,957 katolików, 722 prawosławnych i 10,342 Żydów, którzy się w r. 1880 także podali za Rusinów, dochodzimy do smutnego rezultatu, że dwie piąte Rusinów zakarpackich już się wynarodowiło. Rzeczywiście posunęła się rusińsko-madiarska granica językowa znacznie ku północy. Położenie Rusinów w pojedynczych

żupaństwach uwidoczniają najlepiéj wykazy ludności rusińskiéj w r. 184 , 1857 i 1880. Porównywając ilość Rusinów z ilością Unitów rusińskich, można łatwo obliczyć straty Rusinów od r. 1840 do 1880. I tak:

było Rusinów w żupaństwie	w r. 1840	w r. 1857	w r. 1880	Unitów rusińskich w r. 1880
1. Marmarosz (Maramarosz)	84,396	97,378	109,695	109,918
2. Bereg	65,069	94,990 (2–3)	75,985	76,081
3. Ugocza	18,560		30,840	33,398
4. Zemplin	90,250	71,819	31,073	83,696
5. Szarysz (Saros)	66,690	42,798	31,849	51,361
6. Wuhwar (Ung. Użgorod)	58,901	50,979	43,398	65,128
7. Spiż (Szepes)	25,435	20,770	16,825	22,506
8. Abauj	15,121	13,100 (8–9)	566 (8–9)	17,644 (8–9)
9. Torna	1,500			
10. Szabolcza	3,101	5,430	1,770	39,829
11. Szatmar	4,364	13,010	999	24,308
12. Borsod	3,200	9,800	472	10,261
13. Bihar	2 gminy w r. 1818	1,180	482	8,846
14. Baczka (Bacs)	2 gminy w r. 1818	2,400	7,649	8,552*)
15. Syrmia	1 gmina w r. 1818	?	2,511	2,833*)

Jak widzimy, liczba Rusinów powiększyła się od roku 1840 do 1880 tylko w żupaństwach Marmarosz, Bereg i Ugocza i w osadach rusińskich w Baczce (w południ. Węgrzech); w dziesięciu innych żupaństwach zaś znacznie się zmniejszyła. W Szaryszu, Spiżu, Wuhwarze, a po części i w Zemplinie połączyło się 98,000 Rusinów ze Słowakami, których język tamtejsi Rusini łatwiéj rozumieją niż rosyjski. W żupaństwach Abauj, Szabolcsa, w południowym Zemplinie, w Borsod, Szatmar i Bihar zmadiaryzowało się 117,000 Rusinów. Tam spotyka się okolice zamieszkałe przez pięć do dwudziestu tysięcy wyznawców kościoła unicko-rusińskiego, którzy się sami nazywają pod względem religijnym Rusinami (Orosz), ale już ani słowa nie rozumieją po rusińsku. Z nich to wychowuje sobie rząd madiarski biskupów i parochów ruskich i innych największych madiaryzatorów Rusi zakarpackiéj, pamiętającéj jeszcze język ojczysty. Mała zaś garstka rzeczywiście rusińskich księży, obarczona licznemi rodzinami, jest wskutek tego zanadto zawisła od swoich posad, a przez to od swoich madiarskich biskupów i od rządu, żeby mogła miéć w sobie taką siłę odporną, jak naprzykład księża czescy. Ztąd téż pochodzi upadek obu macierzy rusińsko-węgierskich, podtrzymywanych głównie przez księży: Towarzystwa św. Wasyla

*) Unici nie-rusińscy w Baczce i w Syrmii są po większéj części Serbowie.

Wielkiego w Użgorodzie (Wuhwarze) i towarzystwa św. Iwana Chrzciciela w Preszowie (Eperies), które obecnie istnieją już tylko na papierze. Również przestała wychodzić wydawana przez towarzystwo św. Wasyla gazetka „Karpat“. Przyczyniło się jednak do tego także, to że oba towarzystwa używały w swoich publikacyach głównie języka rosyjskiego; wskutek czego nie mogły wytrzymać konkurencyi różnych piśmideł, rozrzucanych przez towarzystwa madiaryzacyjne w narzeczu ludowym i po madiarsku. Obecnie wydaje tylko ks. Fencyk w Porosko pod Wuhwarem, dwutygodnik „Łystok“ równie jak „Karpat“ w duchu i w języku lwowskiego „Słowa“. Wogóle jednak spuszczają się nieliczni rusińscy narodowcy w Węgrzech głównie na przyszłą pomoc zewnętrzną i prawie nic nie robią dla utrzymania poczucia narodowego między ludem, podczas gdy Madiarzy przechwalają się z coraz większą pewnością siebie, że za 200 lat w całych Węgrzech nie będzie ani jednego Rusina! (Mimowoli nasuwa się nam porównanie z Galicyą i Bukowiną, gdzie w r. 1857 było 2,085,431 i 188,288 w 1869 r. 2,379,800 i 204,600 a w 1880 r. 2,549,707 i 239,600 Rusinów, Szkół zaś ludowych było w Galicyi w r. *1868* z językiem wykładowym rusińskim 313, z językiem wykładowym polskim 481, z językiem wykładowym polskim i rusińskim 430, z językiem wykładowym niemieckim i polskim 305, z językiem wykładowym niemieckim i rusińskim 40. W r. *1885* było w Galicyi szkół ludowych z językiem wykładowym rusińskim 1540, z językiem wykładowym polskim 1317, oraz 66 szkół mieszanych z językiem wykładowym polsko-rusińskim a 22 z j. w. polsko-niemieckim i 35 szkół niemieckich).

Ten dwudziestoletni ucisk większości mieszkańców Węgier przez mniejszość jest głównym powodem tłumnego wychodźtwa Słowian i Rumunów, które przybiera coraz większe rozmiary. I tak Serbów i Rumunów wynosi się rocznie 25—30,000 do ich nowych królestw. Z jednego tylko żupaństwa Torontal, zamieszkanego przeważnie przez Serbów, wywędrowało w latach 1881—1884 r. 1236 Serbów; obecnie zaś stoją tam setki chałup serbskich puste i opuszczone. Dla zmniejszenia tej emigracyi pozbawił sejm węgierski wszystkich wychodźców z Banatu do Serbii obywatelstwa węgierskiego, czém jednak nikogo od wychodźtwa nie powstrzymał.

Najobfitszém źródłem emigracyi w całych Węgrzech są słowacko-rusińskie zapaństwa Bereg, Użgorod (Wuhwar), Trenczyn, Spiż a szczególnie Szarysz i Zemplin. Główny kontyngens wychodźców stanowią słowaccy i rusińscy rolnicy, robotnicy i rzemieślnicy oraz Żydzi (którzy w Węgrzech najczęściej mieszkają w okolicach rusińskich). Sami Madiarzy natomiast prawie nigdy nie emigrują.

Głównym bodźcem do coraz liczniejszéj emigracyi jest ta okoliczność, że wychodźcy część zarobku przesełają swoim rodzinom, w kraju pozostałym, co naturalnie zachęca coraz szersze warstwy ludności do wędrówki za morze. I tak przysłało 42 wychodźców amerykańskich ze Spiżu w latach 1875 — 1880 swoim krewnym 13.000 fl. Wieść o tém powodzeniu wywołała taki ruch emigracyjny, że w latach 1880—1882 wywędrowało do Ameryki ze Spiżu 1687 osób, a z żupaństwa Użgorodzkiego 1000 osób, przeważnie robotników i rzemieślników. Największe rozmiary przybrała emigracya do Ameryki w Szaryszu i Zemplinie. Z Szarysza wywędrowało od r. 1870 do wiosny 1883 r. około 10,000 osób, z tych 2283 w latach 1879—1880, których pozostałe w kraju rodziny wynoszą 2322 głów. Z wychodźców miało stosunkowo „wielu" powrócić do kraju. Z Zemplina wywędrowało od 1879 do 1882 r. 7,405 osób do Ameryki, z których wróciło 113 a więc także „wielu".

Wychodźcami z Zemplina są głównie zadłużeni czynszownicy, a z Szaryszu komornicy dworscy. W obu żupaństwach zaczęło się wychodźtwo do Ameryki już w r. 1873, ale z początku brali udział w niém głównie handlarze i przekupnicy. Czynszowników zaś i komorników dworskich ogarnął ruch emigracyjny dopiero w latach 1878—1882 wskutek zajść agrarnych z właścicielami dóbr. Po zniesieniu pańszczyzny (1848) wydzierżawili właściciele chłopom parcele po 3—4 mórg, za co się chłopi zobowiązali do pewnych robocizn dla dworu. Po przywróceniu konstytucyi w Węgrzech (w r. 1867) zaczęli właściciele ziemscy odbierać chłopom wydzierżawione im grunta, gdyż nie odrabiali przyrzeczonych przez siebie robocizn dworskich. Wskutek tego stali się czynszownicy i komornicy dworscy robotnikami bezrolnymi. Jednocześnie zniszczył rząd kwitnący u Słowaków przemysł płócienny domowy, zakazując handlu płótnem wszystkim osobom, które nie wyrabialy go same, a nie należały do stanu kupieckiego. Prócz tego upadek górnictwa w górnych Węgrzech pozbawił wielu robotników zarobku, kiedy równocześnie wskutek nieurodzajów i ciągłych zatargów między czynszownikami i komornikami dworskimi, a ich panami straciło wiele rodzin chłopskich ostatni kawałek chleba. Tymczasem pierwsi wychodźcy zaczęli w listach zachwalać łatwość dobrego zarobku w Ameryce i przesełać pieniądze swoim rodzinom pozostałym w kraju. Przesyłki te przybrały wkrótce olbrzymie rozmiary. I tak wypłaciły banki budapeszteńskie w latach 1881 i 1882 na amerykańskie przekazy pieniężne 1,000,497 florenów, po większéj części w małych kwotach po 10—30 fl. Z téj sumy przypada 351,431 fl. na żupaństwo Szarysz. Od tego czasu wynosiła suma pieniędzy przysełanych z Ameryki do

Szarysza i Zemplina rocznie milion zł. reńskich. Suma zaś pieniędzy posełanych rocznie przez robotników z Ameryki do całych Węgier wynosi według peszteńskiego pisma „Madyar Penzüg“ (Madiarskie pieniądze) rocznie 8—10 milionów zł. reńskich. Nic dziwnego że po tak wymownych dowodach powodzenia pierwszych wychodźców lud słowacki zaczął tłumnie udawać się do Ameryki. Jeszcze większe wrażenie, niż przesełki pieniężne, robiły listy wychodźców, w których opowiadają, że dziennie zarabiają 2—3 fl. a więc 10 razy tyle, co w domu, ubierają się „po pańsku“ i „co dzień tyle mięsa jedzą, co ksiądz na wielkanoc“, a pomimo tego zaoszczędzają połowę zarobku. Wielki podziw wywołały przysłane fotografie, na których ci, co w domu chodzili obszarpani i obdarci, przedstawiają się w „eleganckiém“ ubraniu ze złotym (?) łańcuszkiem od zegarka na kamizelce! Większa część wychodźców wywędrowała z zamiarem, żeby dorobiwszy się pieniędzy powrócić do kraju. Wielu téż osiągnęło ten cel i za zarobione w Ameryce pieniądze wykupiło swoje zastawione lub sprzedane grunta, tak że się w Szaryszu i w Zemplinie wskutek tego podniosła się cena ziemi. Wogóle jednak procent wracających, jakkolwiek dość wielki, żeby zachęcić nowe tłumy do wędrówki za morze, jest przecie w porównaniu z liczbą wychodźców bardzo mały. Wielu z nich ginie w nędzy wśród niebezpieczeństw wyuzdanéj przemysłowości amerykańskiéj, lub w walce z rozhukaną przyrodą Nowego świata. Tak np. wykoleiło się w grudniu z. r. koło Summer w Kaliforni kilka wagonów z emigrantami i wleciało do przepaści głębokiéj na 80 m. przyczém 200 wychodźców z Czech i ze Słowaczyzny, znalazło straszną śmierć. Powodzenie zaś jest dość względne. Zarabiając dziennie 1 lub $1\frac{1}{2}$ dolara, co się przy różnicy kursu jeszcze więcéj wydaje, zdaje się przyzwyczajonym do nędzy Słowakom, że odkryli kopalnie złota, zwłaszcza, że wskutek niesłychanie małych wymagań, daleko więcéj zaoszczędzają, niż „ucywilizowani“ robotnicy amerykańscy, których utrzymanie rodzin w Ameryce daleko więcéj kosztuje, niż Słowacy posełają swoim do Europy. Wskutek tego powstała formalna agitacya antysłowacka między robotnikami amerykańskimi, którzy żądają wygnania robotników słowackich ze Stanów Zjednoczonych, oraz zakazu ich dalszéj imigracyi. „Są oni bowiem“, jak się skarży jedno memorandum w obronie interesów robotników amerykańskich, dla nich po Chińczykach najniebezpieczniejszymi konkurentami, a ponieważ część zarobku posełają do Europy, dokąd też wielu z nich wraca, dorobiwszy się kilkuset dolarów, przeto nie zasługują na równouprawnienie z robotnikami amerykańskimi, o b y w a t e l a m i Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie emigracya

wywołała w górnych Węgrzech, szczególnie w Szaryszu i w Zemplinie wielki brak robotników wiejskich, wskutek czego robota polna tak podrożała, że szlachta zaczęła strasznie lamentować, iż tak wysokie płace rujnują ją zupełnie. Była to Nemezys za odebranie ziemi czynszownikom i komornikom dworskim. Wtenczas rząd węgierski zaczął się starać o zapobieżenie emigracyi różnemi środkami, które jednak okazały się bezskutecznemi. Najprzód udał się z prośbą do senatu hamburskiego i bremeńskiego, o zakazanie kapitanom okrętów, jadących do Ameryki, brać na pokład poddanych węgierskich bez paszportu. Gdy zaś oba senaty nie mogły przychylić się do téj prośby, zaczęto na wszystkich stacyach kolejowych łapać wychodźców do Ameryki i przez żandarmów odsélać ich do domu. Tak np. w Turczańskim Św. Martinie, widziano w zeszłym roku przez dłuższy czas prawie codziennie całe gromady górali Szaryskich i Zemplińskich, prowadzonych przez żandarmów z bagnetami do kancelaryi administracyjnéj, gdzie im zabierano pieniądze, jako środek do emigracyi i odsélano ciupasem do domu. Wszystko to wychodziło na „Łapaj Jasiu przepióreczki, tylko skrzydeł się nie tykaj“,—gdyż nędza i coraz większy ucisk gnają zawsze nowe tłumy za Ocean. I tak obudził się z początkiem lutego r. b. znowu tak silny ruch emigracyjny w Szaryszu, że w tamtejszych tartakach parowych musiano zaprzestać robót fabrycznych dla braku robotników. Z gminy Hajtuszka, która liczy tylko 40 domów wywędrowało 24 mężczyn; z Rawicy, gminy mającéj 1100 mieszkańców, poszło w świat 30 mężczyzn. Podobnie dzieje się w gminach Yakubeny, Lublowa, Hobgart, Sadek i wielu innych, zkąd dziennie po 10—15 mężczyzn udaje się do Ameryki. „Nic dziwnego, że taka straszna klęska szerzy się w naszym kraju“, piszą słusznie „Narodnie Noviny“, „bo któż żyć może przy dzisiejszéj okrutnéj madiaryzacyi, która ssie ostatni szpik z kości słowackiéj. Madiaryzacya jest bowiem u nas gorsza niż mór i powódź, nie ominie ona nikogo, ssie krew i gubi duszę“. Rezultaty téj, tak bezwzględnéj akcyi madiaryzacyjnéj są jednak, z wyjątkiem biednych Rusinów oraz Niemców i Żydów, dość nieznaczne i dla samych Madiarów bardzo szkodliwe. Madiaryzacyą Niemców każdy musi uznać za zupełnie słuszną, gdyż są to sami obcy przybysze, którzy dorobiwszy się wielkich majątków, najchętniéj by całe Węgry zgermanizowali. Słowianie natomiast są to resztki niedobitków, których Madiarzy wygnali z ich dawnych sadyb w środkowych Węgrzech i którzy w górach i bagnach bronią swéj narodowości. Prześladując ich i tutaj, Madiarzy wywołują ku sobie najwyższą nienawiść zrozpaczonych. Smutne następstwa takiego postępowania ze Słowianami i Rumunami uznali niektórzy

madiarscy mężowie stanu jak hr. Szechenyi, Deák i Mocsáry. Hr. Stefan Szechenyi, twórca przemysłu węgierskiego, „ojciec wszystkich reform“ na polu komunikacyi i robót publicznych w Węgrzech, główny założyciel węgierskiéj akademii nauk i umiejętności, na któréj utworzenie poświęcił 60,000 fl., i długoletni dowódca madiarskiéj opozycyi w latach 1830—1840, występował stanowczo przeciwko madiaryzacyjnym zachciankom słowackiego renegata Kossutha, wciąż nawołując Madiarów, żeby nie krzywdzili swoich słowiańskich ziomków—a wypadki 1848 roku dowiodły głębokiéj prawdy licznych przestróg hr. Szechenyego. Po odnowieniu konstytucyi, sam jéj odnowiciel Franciszek Deák występował przeciwko szowinistycznéj madiaryzacyi. Tak np. przypominał w swojéj mowie sejmowéj 23 czerwca 1872, że według praw węgierskich rząd jest obowiązany szkoły państwowe tak urządzić, żeby dzieci każdéj narodowości, gdzie która z nich mieszka w większéj liczbie, aż do ukończenia szkół średnich mogły pobierać nauki w języku ojczystym. Przedstawiał, że jeżeli Węgry chcą pozyskać sobie inne narodowości nie powinny ich wszelkimi środkami madiaryzować, ale się z niemi tak obchodzić, żeby same doszły do przekonania, iż panowanie Madiarów nie tylko nie zagraża ich bytowi, ale że pod żadnym innym rządem nie będzie im lepiéj. Od śmierci Deáka największym przeciwnikiem madiaryzacyi jest wspomniany wyżéj Ludwik Mocsáry. Już jako młody człowiek zjednał sobie prawością charakteru taki mir, że go w żupaństwie Borsod, prawie czysto madiarskim, wybrano podżupanem, czego jednak nie przyjął z powodu, że ówczesny rząd centralistyczny usunął poprzednika dla madiarskich zapatrywań. W latach 1861 i 1863 również czysto madiarskie żupaństwo Mezö-Heves wybierało go do sejmu, gdzie Mocsáry z początku należał do Deakistów, w r. 1866 przeszedł do lewicy, która energiczniéj broniła interesów narodu madiarskiego. W r. 1869 wybrano go na posła w Miskolcs. Gdy zaś tam w r. 1872 przepadł, jeszcze bardziéj madiarskie miasto Kecskemet wybrało go jednogłośnie na posła. Mandat tego miasta zachował przez lat 9, poczém w r. 1881 został znów wybrany jednogłośnie przez miasto Halasz. W latach 1872—1881 był prezesem i głównym mówcą lewicy. Ale jako samodzielnie myślący i bezinteresowny człowiek przyszedł do przekonania, że dla Madiarów jest wielce szkodliwe ciągłym uciskiem ściągać na siebie śmiertelną nienawiść większości mieszkańców Węgier. Użył więc całego swojego wpływu, żeby rodaków powstrzymać od tak zgubnego dla nich postępowania.

W sejmie i w kilku broszurach wykazywał krzywdy i bezprawia, jakich się rząd i Madiarowie dopuszczają względem innych na-

rodowości. Odradzał taką politykę, nie jako przyjaciel Słowian, ale jako madiarski patryota, przewidujący przepaść, w jaką leci jego naród, którego praw bronił dzielnie Mocsáry przez ćwierć wieku. W ostatniéj swéj mowie sejmowéj w téj sprawie (15 lutego 1887) przedstawiał, że przez potwierdzenie niesłusznego wykluczenia 10-ciu gimnazistów słowackich w Lewoczy pod pozorem panslawizmu za czysto słowackie dążności, sam minister oświaty zrobił z nich panslawistów i wrogów Węgier; dowodził, że tablice z pomadiaryzowanemi nazwami gmin słowackich w żupaństwie Zwoleńskim (Sohl) będą grać rolę kapelusza Gesslera. Był to, niestety, głos wołającego na puszczy. Zamiast spokojnie rozważyć słowa osiwiałego weterana sprawy madiarskiéj, obsypano go obelgami i zmuszono do wystąpienia z klubu lewicy, która długie lata szczyciła się jego przewodnictwem. Przy ostatnich zaś wyborach do sejmu musiał Mocsáry, którego wskróś madiarskie miasta wybierały tyle razy jednogłośnie, żeby pokazać przez to swój czysto madiarski charakter, przyjąć kandydaturę Serbów w Nowym Sadzie. Gdy jednak wskutek ogromnego teroryzmu rządu Mocsáry i tutaj przepadł, cieszyły się z tego nie tylko dzienniki rządowe, ale nawet wszystkie pisma opozycyjne, które wyrzucając rządowi różne bezprawia przy wyborach i smucąc się klęską swoich kandydatów, podnosiły wykluczenie Mocsárego z sejmu, jako jeden z najświetniejszych rezultatów kampanii wyborczéj. Przeto dowiodły, że gdy w Niemczech głównie rząd i większa część narodu prześladuje Polaków, czemu jednakże pewna część narodu niemieckiego, jak centrum i socyaliści się sprzeciwia, gdy w Austryi partya niemiecko-klerykalna występuje przeciwko germanizacyi Słowian, w Węgrzech, z wyjątkiem Mocsárego, wszystkie stronnictwa solidaryzują się ze zgubną dla samych Madiarów madiaryzacyą.

Meg.

ALMANZOR

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

(Z DZIEJÓW HISZPANII).

---

* * *

Na oceanie dziejów, który bieży
W ciszę przeszłości i w grób się przewala —
Wśród fal miliona jedna czasem fala
Błyśnie i gromem w pierś świata uderzy....
I choć ząb czasu w proch ziemi zagrzebie
Piramid czoła i świątyń kolumny:
Upiór wielkości podnosi się z trumny
I sennym myślom przypomina siebie.
I gdy pożółkłe zwoje pergaminów
Podniosą wszystkie tajemnic zasłony;
Gdy karty kronik przerzuci uczony
I nic do dawnych nie doda wawrzynów:
Są pieśni wieszczów i przeczuć odkrycia
I jasnowidzeń niezbadane tchnienia....
Z zagasłéj iskry bucha słup płomienia,
Z rozbitych trumien wstaje trup do życia.
Niedomówione przez historyę słowo
Dokończa piewca i światu obwieszcza —
Łzy niewidziane przeczuje pierś wieszcza
I w echo dźwięków zaklnie cisz grobową.
I tyś tak powstał!... Odwracałem lica
Od mogił obcych do grobów mi bliższych —
Lecz się zjawiałeś w snach moich najcichszych
Jak burz pustyni wielka błyskawica.

Pokój ci duchu! w kamiennym leż grobie,
Niech oczy twoje tuli sen bez końca — —
Syn zimy, idę w kraj oliw — róż — słońca,
I smutków pełną przynoszę pieśń tobie!

OSOBY:

ALMANZOR, król Maurów.
NURADYN, przyrodni brat króla, urodzony z niewolnicy.
MERWAN, wódz Saracenów.
YEZYD, doktór muzułmański.
ALI, DYL } odźwierni w pałacu Almanzora.
PIERWSZY SĘDZIA.
DRUGI SĘDZIA.
PIEWSZY GONIEC.
DRUGI GONIEC.
TRZECI GONIEC.
POSEŁ z FEZU.
SANCHO-GARCIA, hr. Kastylii, syn Awy.
SANCHO-ABARCA, król Nawarry.
ALFONS V. król Leonu.
MONENDO GONZALES, opiekun króla Leonu.
HRABIA BARCELONY.
HRABIA URGELU.
LUC, komendant zamku w Burgosie.
KRYSPIN, rozpustny towarzysz hr. Kastylii.
MISTRZ ceremonii kastylskiego dworu.
HEROLD z zamku.
PAZIK.
KIKS, syn Gizy, czarownicy—garbus.
RYBAK.
AWA, hrabina Kastylii.
AMINA, oblubienica Almanzora.
INEZ, stara panna, pokojowa Awy.
LILI, dziewka dworska, przelotna kochanka hr. Kastylii.
GIGZA, czarownica.

Tłum: mieszczanie, mieszczanki i dzieci. — Dygnitarze Korduby. — Świta Almanzora i królów chrześciańskich.— Fraucymer hrabiny Awy. — Rycerze muzułmańscy, rycerze chrześciańscy. — Rajce.

Rzecz dzieje się w 1002 r. w Hisspanii.

AKT PIERWSZY.

Taras przed zamkiem Almanzora, Azzahira (1) zwanym, koło Korduby. Ozdabiają go wodotryski i marmury. Na podniesieniu tron, w głębi baryera tarasu łącząca się ze skrzydłem zamku o maurytańskich kolumnach. Dalej widać mury i wieże miasta. Za tarasem w głębi tłum ludu i wojska z rozwiniętemi chorągwiami. Przed baryerą stoi NURADYN—między krzewami mirtów i pomarańcz widać ukrytego do połowy YEZYDA. Dygnitarze dworu stoją, to przechadzają się między kolumnadą widzialnej części zamku.

Nuradyn (*do ludu*).

Przez moje usta król swemu ludowi
Oznajmić raczy: że te pułki zbrojne,
Ten tłum rycerstwa, co się zewsząd mrowi,
Z królewskim synem ruszają na wojnę
Przeciw Senatom (2) pod słońce Afryki,
Nie, jak się zdało przewrotnym rozumom,

Że na zagładę pójdą giaurów. Tłumom
Oznajmia dalej: iż, mimo ich krzyki,
Żywi dla chrześcian uczucia przychylne—
A lud niech pomni o tém, że, co z tronu
Przez usta wyjdzie królewskie, — niemylne
Jest i niezmienne jak słowo Zakonu.
To wam orzeka król! Wy, swoją głową
Osądźcie w jakim jest myśli nastroju...

(Zwraca się i spostrzega Yezyda)

A i ty tutaj!... Zbliż się — jedno słowo....

Głosy od ludu. Z giaurami wojny chcemy nie pokoju!

Nuradyn (*do tłumu*).
Na wasze krzyki król wam sam odpowié— —

(Odchodzi od baryery)

Yezyd (*podchodząc*).
Dzień dobry, panie!

Nuradyn. Witaj!.. jakże zdrowie
Zamiarów naszych?

Yezyd. Lepszym się nie szczycił
Stanem sam Bachus. Dobrzem ich pochwycił
Na wędę złotych obietnic.

Nuradyn. Więc owa
Czerń bez oporu wzięła twoje słowa
Za szczerą prawdę?

Yezyd. Czyż nie sięga dalej
Wzrok twój nad końce twych palców? czy szumy
Gwarnéj hałastry dla twojego ucha
Nie są dostępne? Patrz! jak wzdęte fale
Z ulic w ulice wtłaczają się tłumy
Najętych łotrów. Z kraterów nie bucha
Ogień tak wściekle jak wisielcy owi,
Co za wytarty grosz sprzedać gotowi
Swą duszę dyabłu.

Nuradyn. A więc bliskim chwili,
W któréj fortuny szala się przechyli
Na moję stronę. Tobie będę dłużny
Przyszły ministrze — dłużny złota góry!

Yezyd. Zrób mię państw swoich poborcą. (*d. s.*) Ze skóry
Będę darł wszystkich, by mój worek próżny
Po brzeg napełnić.

Nuradyn. Co dalej?

Yezyd. W lenistwie —

Wiész, nie celuję. Od samego ranka
Latałem jak ta suka w towarzystwie
Téj psiéj gawiedzi, poszeptując w ucho
Trwożliwe wieści, które krążą głucho
W murach stolicy: piękna kastylianka,
Hrabina Awa, swojemi uroki
Podbiła serce króla. Król ujęty
Śnieżystém łonkiem — — ba! ba! i ja lubię
Białości owe — — zatęsknił w Kordubie
Do lubych wdzięków i miast wojny, święty
Pokój śle giaurom. Tłum cały i owi,
Co „najwierniejszych" noszą miano szczytne,
Przed tobą dzisiaj łbem stuknąć gotowi,
Tak ich ujęły słowa aksamitne
Złotem podlane.

Nuradyn. Cicho!... słyszę kroki
Merwana. Skryj się! zawezwę w potrzebie — —
(Yezyd ukrywa się)
W myśli méj widzę tron — a na nim siebie!...

Merwan (*wchodzi schylając głowę*).
Dostojny panie, co słychać?

Nuradyn (*obojętnie*). Wiatr wieje.
I będzie burza—

Merwan. Myśl wielka w tych słowach:
Uderzy wicher wprost na Pireneje
I zagrzmi burzą na książęcych głowach
I gromem śmierci na ich serca padnie,
Którzy niepomni na naszą potęgę,
Sieć nędznych intryg zastawiają zdradnie
Sami na siebie. W wielką dziejów księgę,
Z któréj wyziera w nieśmiertelnym blasku
Król nasz potężny, wejdzie nowa karta,
Głosząca światu, że w bojowym wrzasku
Padł krzyż Chrystusów; że chrześcian dzierżawy
Zwycięstw Arabów zatopił deszcz krwawy—
Że ich potęga, ich władza — w proch starta!

Nuradyn. Cha-cha-cha-cha-cha!

Merwan. Co ten śmiech oznacza?

Nuradyn. Słów twoich nicość.

Merwan. Kto podobnym śmiechem
W komnatach królów się ozwie, uwłacza
Powadze tronu.

Nuradyn. Nie umiem być echem
Tych, których karmi królewska dłoń hojna,
A swoim myślom wolno puszczam wodze—
Ułud nie lubię, cacek nie znachodzę
Tam, gdzie ich niéma — dla tego się śmieję.

Merwan. Sam oznajmiłeś, że zbliża się wojna, —

Nuradyn. Ja powiedziałem... że tylko wiatr wieje.

Merwan. Słów twoich teraz złość widna mi cała!
I tyś dał ucho niedorzecznéj wieści,
Niecnie kłamliwéj i ohydnéj treści,
Która lud cały stolicy owiała
Strachem, jak gdyby padła im na czoła
Niosąca dżumę dłoń śmierci anioła.
I dzisiaj stoją kamienni, by głazy,
Monarsze myśli badając — zuchwali!
Ci, co niedawno zachwytu wyrazy
Swojego króla jak Boga witali.
Co? on ma dzisiaj złożyć miecz zdobywczy?
Z giaurami zawrzéć pokój wiecznotrwały?
On? jak Afryki huragan porywczy
Wieczystéj zgody ma wznieść sztandar biały?— —
Gdy rwał się, pękał wielki łańcuch dziejów
Skuty ogniwy wiekopomnych czynów;
Gdy w przepaść leciał tron złoty Ommejów, (3)
Kto ją wypełnił wieńcami wawrzynów?
Wróg w dłoń uderzał, że zwycięskie Maury
Bladą twarz kryją, wietrząc śmierć zdaleka— —
Padł tron Ommejów, ale padł na laury,
Biegąc pod stopy potomka Tareka. (4)
Prastaréj sławy powróciły chwile,
Zmężniały serca pośród bitew gromu —
Zielony turban nie zwalał się w pyle (5)
I czoła Maurów wolne od piętn sromu.
Z zwycięstw do zwycięstw, jak burza hulaszcza
Wiódł pułki swoje mórz stami, dróg stami —
Kurz z wojennego otrząsany płaszcza (6)
Wielką mogiłą mógłby ledz nad nami.
Wejdź do świątyni, gdzie wiernych miliony
Przed naszym Bogiem padają struchlałe:
Nad ich głowami katolickie dzwony
Płoną ku niebu na Allacha chwałę. (7)
Kto je tam zaniósł? kto zbladłą moc tronu

Pokrył wielkością i blaskiem purpury?
Kto przed nim stanął na murach Leonu
I cięciem miecza rozwalił w proch mury?
Komu to ludy i państwa strwożone
Haracz krwi płacą bogatemi dary?
Kto niezdobytą zdobył Barcelonę,
Jeńce w kajdany kuł i darł sztandary?
I dziś — Almanzor, ów posłannik boski,
Swój miecz zwycięski pochyli bezwładnie,
I wedle niecnie rozsianéj pogłoski
Zwycięzca krzyża przed krzyżem upadnie?..
Jeżeli dzisiaj zamiast szabel szczęku
Z palmą pokoju spieszy do Burgosu,
Podnieśmy głowy, bo to przeddzień ciosu,
Który wróg w sercu uczuje wśród jęku
Cierpień konania i runie z łoskotem
W grób snu wiecznego. I ty — nie wiész o tém?!...
Na Mahometa! tutaj mi jest widny
Szatan wichrzyciel! Nie roztrwonię marnie
Słów, jeśli powiem, że ów twór ohydny
Tych starych dłoni nie ujdzie bezkarnie,
Bo nikczemnika, co te wieści głosi
Moje myśliwe nie przepuści oko:
Gończe puszczone, ślady już znachodzę!—

Nuradyn. Prawdziwy zapał mówcy się unosi!
Na gniew twój może stoi za wysoko
Ten, na którego tak zżymasz się srodze.

Merwan. Wierny monarsze nie dba przeciw komu
Miecza dobywa. U królewskich stołów
Wynajdę zdrajcę, w jego własnym domu
Krwi mu utoczę— —

Nuradyn. Szczęśliwy więc połów!
(Idzie ku tronowi)

Merwan (*patrząc za odchodzącym d. s.*).
Nędzniku! łaski królewskiéj ci mało—
Sam chcesz nią darzyć! Z lichą tłumów rzeszą
Bunt rozpłomieniasz! Wszak twe nędzne ciało
Żołnierze moi na szablach rozwieszą— —
Tron ciebie nęci, więc skrzeczysz zażarcie,
Że król nasz zdradza Allaha... ty czarcie!

Nuradyn (*patrząc ironicznie na Merwana d. s.*).
Baczny myśliwcze! gdy pragniesz w ostępie

Osaczyć zwierza, to nie czyń hałasu
Nim go ułowisz, bo umknie zwierz z lasu
I tył ci zajmie. Kraczesz, stary sępie
Za głośno nieco! Sokół ostrzeżony
Nie mruży powiek, tylko ostrzy szpony.

(Słychać grzmot bębnów i huk trąb, w dali widać ruch wojsk).

Merwan (*w głąb' patrząc*).

Pułki ruszają... koń Abdalmeleka
Zarżał w czas dobry. Młody pan na przedzie
W piaski Afryki mężne hufce wiedzie ——
Idź! droga zwycięstw i sławy cię czeka!..

Ali (*staje w drzwiach*).

Król!

Nuradyn. Za mną wierni!—otoczcie tron kołem!

(Staje po prawéj stronie tronu—Merwan po lewéj. Urzędnicy dworu w rozmaite grupują się koła, otaczając tron. Wchodzi ALMANZOR, za nim świta. Król zatrzymuje się u baryery i patrzy chwilę na znikające przy odgłosie trąb wojsko).

Almanzor. Niechaj cię wiedzie Bóg!.. O Mahomecie,
Szczęśliwą gwiazdę zapal mu nad czołem,
Zwycięstwem obdarz i wróć mi to dziecię
W zdrowiu i chwale...!

(Muzyka trąb milknie powoli.—Almanzor idzie do tronu—wszyscy głęboki oddają panu pokłon).

Nuradyn (*d. s*). Ta królewska pompa
Wbija mi w serce ostry nóż zawiści...
Ślepa fortuno!.. dotąd byłaś skąpa
W łask swych szczodrotę dla mnie, lecz się ziści
Czas—złote berło z popiołów wygrzebię—
Uporny losie! ujarzmię i ciebie,
Albo nie zaznam spokoju—aż w grobie!

Almanzor (*siadając na tronie*).

Zbliżcie się: wodzu stary i łaskawy
Bracie mój!... Tobie winienem część sławy,
Która me imię otacza—a tobie
Nie jedną wielką myśl. Nadeszła chwila,
W któréj Almanzor swój oręż pochyla
I zamiast hasła, co wiedzie do boju,
Zanucić musi słodką pieśń pokoju.

(w tłumie słychać szmer)

Ale pieśń owa będzie rodzicielką
Czynów ogromnych, posiądzie moc wielką!
I gdy się rzucim w nowych walk turnieje,
Nie złożym miecza, nie zmrużymy oka,

Póki w tryumfie, po nad Pireneje
Nie wejdzie święta chorągiew proroka.
Ale nie teraz wyprzedzać dni owe,
Na przyszłość w wielkie wypadki brzemienne.
Dzisiaj nie zagrzmią okrzyki bojowe,
Miecze nie szczękną, ni trąby wojenne
Krwawych pochodów nie wydadzą głosu— —
Chorągiew biała powiewa z Burgosu,
Wyciąga ku mnie ramiona uprzejme,
Darzy miłością mnie... więc ją obejmę
Jako kochanek czuły tak miłośnie,
Że do mych ramion na wieki przyrośnie!

(W tłumie głuchy szmer oburzenia. Almanzor ściąga brwi groźnie).

A co to? głosu nie słyszę wesela—
Czy lud skamieniał? Z piersi pół tysiąca
Pomruk niechętny w głuchy grzmot wystrzela
Aż stopnie tronu mojego potrąca.

Nuradyn (*w dal patrząc*).
Lud drgnął złowieszczo— —

Almanzor. Czy zbył się rozumu
W méj obecności uderzać w gwar fali!

Merwan. Tłum się porusza.

Nuradyn (*z ukrytą radością*).
Czuję ruch ten tłumu!—

Almanzor. Aż zadrgał tron mój—

Nuradyn (*d. s.*) Bo w przepaść się wali!

Almanzor. Zkąd ten niezwykły ruch i szmer niechęci?
Kto da odpowiedź?

Nuradyn. Pozwól, wielki panie,
Że jako rzecznik ludu brat twój stanie.
Lud twój, o królu! nie wygnał z pamięci
Czynów, co skroń twą otoczyły sławą—
Ale przemianą rzeczy niespokojny
Z giaurami wojny chce.

Almanzor (*powstając*). Ja nie chcę wojny—
Tę mu odpowiedź zanieś!.. Kto dał prawo
Przesądzać myśli monarsze i czyja
Wola nad moją w tém królestwie włada?...
Kania nad orła w górę się nie wzbija,
Przed błyskawicą grom berła nie składa.
Jam tron kalifów podźwignął z ruiny
Siłą méj woli i grozą bułata—

Król... bez korony, zdobyłem pół świata,
Drugie pół czeka. Oto moje czyny!

Merwan. Potężny władco! pozwól, by twój sługa
Słów kilka wyrzekł—rzecz nie będzie długa:
Jam lud stolicy wybadał do gruntu—
Nie prostéj trwogi to szmer ale buntu,
Który się jeszcze w płaszcz milczenia chowa:
Téj żmii tułów—tam! Ja wiem gdzie głowa.
Ten szum niefornéj tłuszczy, jak mruczenie
Ponure morza, przepowiada groźną
Burzę. Z początku fal powolne drżenie
Marszczy pierś wodną nim wicher uporny
We wściekły orkan je zmieni. O! biada
Nawie okrętu, jeśli nieprzezorny
Żeglarz opuści kotwicę za późno——
Nie wytrzymuje łódź szturmu i wpada
W głąb morską... Królu! widzę w twéj źrenicy
Pioruny gniewu. Na tę krzywą szablę
Za prawdę słów mych przysięgam——

Nuradyn (*sięgając ręką po sztylet—n. s.*) Ha—dyable!
Czy zmilczysz?

Merwan. Morzem tém jest lud stolicy,
Wichrem, co wściekle tym falom przewodzi...

Almanzor (*wybuchając*).
Jakiś nikczemnik... a sternikiem łodzi
Król wasz potężny—czy nie tak?.. (*wstaje*). Ażali
Nie mocen morzu on temu, téj fali
Nakazać milczéć?!. Téj hydrze, co butnie
Łeb swój podnosi i po władztwo sięga,
Żali nieznana méj woli potęga,
Co pychę zdławi i hardy łeb utnie?..
Jeśli stolicy méj chowają mury
Zdrajców nikczemnych—ich przedajne głowy
Nie ujdą sądu!.. Mam na nich okowy,
Turmy i haki, pale i tortury!...
Lecz precz z tą tłuszczy ćmą— — —
(Schodzi z tronu).
Słońce od wschodu
Jest już wysoko—piorunem czas goni— —
(Kładzie dłoń na ramieniu Merwana).
Ruszaj mój wodzu—daj hasło pochodu,
Śpiesz ku granicom Kastylii w sto koni—

Piękną władczynię powitaj, mój stary,
U stóp jéj kładąc, króla Maurów dary!
(Zwraca się do Nuradyna).
A ty.
(Urywa, w twarz mu patrząc).

Nuradyn (*drżącym głosem*).
Co, królu?..

Almanzor. Co ci? jak w chorobie
Drżysz—twarz masz bladą i obłęd spojrzenia?

Nuradyn. Wieść mię ta zgniotła... Bunt!—przeciwko tobie!

Almanzor. Serc głupich wyskok—

Merwan. I podłych sumienia!

(Król wychodzi otoczony świtą. Merwan skłoniwszy się panu idzie do wojska. Tłum się rozpierzcha—chwila milczenia.)

Nuradyn (*sam*). Sen że to straszny był, czy za sen biorę
Jawę?—Już szatan po grzbiecie mię drapał — —
(Oddycha całą piersią).
Królu mój dobry! jakże w samą porę
Ten oratorski przerwałeś mu zapał.
Pół chwili późniéj a ujrzałbym dyby
Na swoich nogach i wzrok Almanzora
Jak piekło straszny. Czułem już, że zmora
Strachu na pierś mi siadała i niby
Powrozu lekkie muśnięcie—wnet nurka
Dałbym niewolnie, gdzie fosy nurt brudny...
Brrr...

Yezyd (*wychodząc z ukrycia*).
Brrr...

Nuradyn (*zwracając się*). Co tobie?

Yezyd. Wstrząsł mną dreszcz paskudny
Na myśl o wodzie i wspomnienie sznurka.
Brzydko doprawdy! Między gęstoliściem
Drzew cytrynowych ukryty, słyszałem
Całą tę scenę. Dreszcz chwiał mojém ciałem
I w karku atak krwi uczułem lekki.—
Więc obróciwszy się twarzą do Mekki,
Szeptałem modły przy posępném świetle
Strachu, co w oczach zapalał sto świéczek.
Smutno mi było! najwyraźniéj stryczek
Dostrzegłem. Małom w wrzących łez potoku
Nie stopniał cały, gdy—rajski widoku!
Król najłaskawiéj sam rozwiązał pętlę.
Teraz, gdy przeszło złe, pośpieszam z przyjściem

I radą, jeśli pożądasz—bo mi się
Zdaje, że trzeba usnuć plany lisie,
By w czas uniknąć — (*ściska się za gardło*) tego. To [nie mara
Próżna, co trwoży jedwabiu nić szara
I choć ją cenna gąsienica zwije,
No oko piękna ale nie—na szyję...

Nuradyn. Słyszałeś wszystko?

Yezyd. Nie straciłem słowa
Jednego—czart ten myśli swych nie chowa,
Jak trąba groźno rży...

Nuradyn (*stłumionym głosem*). I król się dowié
O wszystkiém— — —

Yezyd. Jużci—Merwan powié—powié...!

Nuradyn (*chwyta za kark Yezyda aż ten przyklęka*).
Bezecny kłamco! gdzie mój tron udzielny?

Yezyd. Dusisz!.. to pytań nie rozstrzyga wcale— —

Nuradyn (*puszcza go*).
Jaką dasz radę?

Yezyd (*podniosłszy się*). Żadnéj!

Nuradyn. Żad-néj?!.

Yezyd. Ale—
Zgodnie z naturą i Merwan śmiertelny.

Nuradyn. Co?!

Yezyd. Nic —

Nuradyn (*biorąc go pod rękę*). My sami—

Yezyd. Wiem o tém—

Nuradyn. Ty powiek
Nie zmrużaj—co? mów! ja resztę dołożę— — —

Yezyd. Rzekłem, że Merwan tak jak każdy człowiek
Jutro, pojutrze, ale umrzéć może.

Nuradyn (*odtrącając go*).
Masz żabi spokój!

Yezyd. Ty gwałtowność rysia—!

Nuradyn. Mnie szał ogarnia!

Yezyd. Lepszą jest refleksya—

Nuradyn. Jutro? za późno!

Yezyd. A kto tam wié—dzisiaj
W kark go uderzyć może apopleksya.

Nuradyn. A śmierć... śmierć sztuczna — —?

Yezyd. Nie o nią tu chodzi—

Nuradyn. Lecz—?

Yezyd. Nie rozumiem—

Nuradyn. Znasz niewinne ziele—
Yezyd. Slaz?
Nuradyn. Co?
Yezyd. Slaz—
Nuradyn (*gwałtownie*). Struj go!
Yezyd. Eee—to się nie godzi!
Nuradyn (*z ironią*).
Tak! na to trzeba...
Yezyd (*jakby liczył pieniądze*) Nie wiele—nie wiele.
Nuradyn. Ktoby to dla mnie uczynić był wstanie,
Do moich skarbów Sewilskich by doszedł—
Lecz gdzież ten wierny?
Yezyd (*kłaniając się*). Żegnam ciebie, panie!
Nuradyn. Sewilskie skarby!
Yezyd (*kłaniając się niżéj*). Che-che-che— — (*odchodzi*)
Nuradyn. Truć poszedł!
Yezyd (*w drzwiach d. s.*)
Sewilskie skarby!..
(Wychodzi).
Nuradyn (*sam—po chwili*). Gdzie wiedziesz mię, Pycho—
I Namiętności—drugi grzechu świata?...
Amino! słowo wyszeptane cicho
Przez usta twoje gromem mi kołata
I na dalekim życia horyzoncie
Świt ukazuje jak lampę na maszcie,
Mówiąc: ty płyń tam!... Duchy! mgłę rozgońcie
I oczom blisko tę lampę ukażcie!
(Po chwili).
Tron!.. Za tron—miłość!.. Przez tę miłość—zbrodnia
Lecz w spłat jéj pójdą długie dni rozkoszy—
W nocy snów czarnych jéj spojrzeń pochodnia
Męczące widma sumienia rozproszy.
Monarchą będąc, pozbył bym się znamion
Władzy, spojrzeniem oczu jéj przebity;—
Aniołem będąc, rzuciłbym błękity
Za jedno, długie splątanie się ramion.
Stało się—płynę! Żagiel rozwinięty,
Choć tam zatraty groźne widma stoją,
Lecz nim mię wodne pochłoną odmęty
Ty moją będziesz, tak—ty będziesz moją!
Amina (*wchodząc d. s.*)
Znowu go widzę, jak się z myślą własną

Bije i hojnie złoty deszcz rozléwa.
Idzie, gdzie każę, jak za gwiazdą jasną,
Bo tam u kresu drogi się spodziéwa
Objęć mych ramion. Lecz ten kres nie bliski!——
Ja pocałunki dam ci i uściski,
W ucho ci rzucę miłośny szept cichy,
Rozkosz dam—ale, nie za liczman lichy!

Nuradyn (*który patrzał na nią w zachwycie*).
Amino!

Amina. Jesteś sam?

Nuradyn. Z twoim obrazem,
Który przedemną lśni jak gwiazda złota
I za mną pójdzie choćby w piekło—razem!

Amina. Na coś raj minął?

Nuradyn. Przez ciebie doń wrota!

Amina. Kochasz mnie?

Nuradyn. Pytasz? Złoto i klejnoty
Pod twoje stopy jak proch marny ścielę——
Niechaj ci nocy bezsennych tęsknoty
Mówią jak kocham i jak cierpię wiele
I jak się palę, męczę i omdlewam,
Drę szaty, szarpię włos na wiatr rozwiany—
Płonę jak wulkan—ciebie nie rozgrzewam
Posągu piękny w zimną stal odziany!
Ty mię rozmarzasz jak cypryjskie wino,
Upajasz wonią jak Bagdadu róże.—
Ja do snu powiek zmęczonych nie zmrużę,
Bym się do ciebie nie modlił, Amino!
(Bierze jéj dłonie).
Ty nie kłam! W żyłach twych jak lawa wrząca
Płynie krew!... (*tuli dłonie*). Cudny mój kwiecie gra-
O perło moja!.. (*obejmuje*) [natu—

Amina. Co ty chcesz?

Nuradyn (*jak senny*). Krąg słońca
Ostatnie daje pożegnanie światu...
Spłynie noc... cisza... sen!. W lubém omdleniu
Szaty precz rzucisz rozkoszy oddana—
W ciche szelesty krwi własnéj wsłuchana
Zadrżysz... i płomień stopi się w płomieniu!

Amina (*cofając się*).
Czy ty oszalał, Nuradyn?

Nuradyn. Ja płonę!

Amina. Tu król zejść może—

Nuradyn. Niech grom w pierś mu runie!

(Porywa ją).

Amina *(odtrącając go,—z mocą)*.

Berło miéj w dłoni, na czole koronę—
Pod twoje stepy posąg się osunie.

Nuradyn. Godzinę pieszczot—chwil parę rozkoszy—
A potém... zabij!..

Amina. Nie! jeszcze nie pora— —
W pół pocałunku z ramion twych mię spłoszy
I głos Walidy (8) i wzrok Almanzora.
Wiész, że myśl moja jest twéj myśli krewną,—
Że drżąca czekam upadku olbrzyma:—
Przybliż tę chwilę tak bliską i pewną
A nic uścisków mych ramion nie wstrzyma.
Na słaby odgłos radośnéj nowiny,
Co z falą wiatru pierwsza w słuch mi skoczy—
Jak gwiazdy moje rozjaśnieją oczy,
Szat naramienne opadną muśliny.
W dzień klęski jego ja drzwi ci otworzę,
Komnaty swoje w róż ubiorę wieńce,
Bursztyn zapalę i uścielę łoże
I z łoża... białe—tak wyciągnę ręce!

Nuradyn (*porywając ją—w szale*).

Niech oczy moje noc wieczna osłoni
Moją—dziś będziesz!.. Tam... w gaj palm ukryty—
Tam..!

Amina (*walczy z nim*). Puść mnie!..

Nuradyn (*cisnąc ją namiętnie*). Allah!

Amina (*dobywając z zanadrza sztylet*). Patrz! sztylet mam w dłoni—
Ust mych nie dotkniesz a padniesz zabity!—

Nuradyn (*puszczając ją*).

Ha!

Amina (*d. s.*) Takiéj siły ognia mi potrzeba!

Nuradyn. Niebo porzucić, będąc u wrót nieba!

(Wybiega).

Amina (*sama*). Tak—Almanzorze! Twarz pięknéj hiszpanki
Niegdyś mi wierne twoje serce skradła...
Znużyła ciebie pierś dawnéj kochanki,
Oko jéj zgasło, młoda twarz pobladła.
Ostygły usta... Patrz! niech dziś zapłonę
A w sercach męzkich krew lwia się rozhula— —

Ja—niewolnica, chwycę ci koronę,
Sługa sług twoich będę żoną króla!

Almanzor (*wchodzi*).
Szukałem ciebie—

Amina. Zkądże łaski tyle,
Że uprzejmemi tak mię witasz słowy?

Almanzor. Do mnie, Amino!..

(Siada na otomanie, opierając się o baryerę. Amina staje koło niego oparta o marmurową kolumnę tarasu. Almanzor wsparty o dłoń, zapatrzony w przestrzeń, mówi powoli.

Pamiętam te chwile—
Lat temu cztery... Wieczór był czerwcowy,
Słońce zapadło, tylko pas czerwony
Na skłonie nieba drżał światłem szkarłatów—
Gdym z łowów wracał i wody spragniony
Skierował konia w chłodny cień granatów.
Gaj był w dolinie więc wilgotne chłody
Wiały, unosząc ziół przewiędłe wonie—
W cysternie drżało srebrne źródło wody
A dzban trzymały twoje drobne dłonie.
Wtedym raz pierwszy pod granatów tęczą
Zobaczył ciebie, gdyś przelękła cała,
Wpół osłonięta cysterny obręczą,
Jak biały posąg z głazu, stałaś biała.

Amina. Nic nie pamiętam—

Almanzor. Jam pamięci wierny,
Pomnę szmer każdy, głos każdy—

Amina Co dalej?

Almanzor. Zamiast pić wodę z marmuru cysterny
Ja całowałem twoich ust korale...
Przeszło dni kilka. Znowu noc na niebie
Milionem świateł ubrała szafiry—
W ramionach własnych unosiłem ciebie
Do porfirowych komnat Azzahiry.
Pomnę dziś jeszcze, czuję dziś w méj dłoni
Stuk twego serca, gdym zrywał ci stroje—
Brzmiały całunki miłosnéj pogoni,
Aż mię splątałaś w ramion swych powoje.
Wtedy w uśmiechach byłaś dla mnie szczersza,
Kryjąc pierś drżącą szatą muślinową...
Pod baldachimem palm, co wiał nad głową,
Przeszła w rozkoszy miłości noc pierwsza.
Ciszy téj nocy nie były przeciwne

Ni szmery liści, ni pląsy zefiru:
Pachły magnolie i drzewa oliwne,
Szumiały fale wód Gwadalkwiwiru.
Pamiętasz palmy te? ten parów dziki,
Który w stulistnych róż szaty się chroni—
Zazdroszcząc szczęścia milczały słowiki—
Co pieśń słowicza, gdy miłość pieśń dzwoni!
Czy ty pamiętasz?

Amina. Przypomnienia stare!

Almanzor. Dotąd niezbladłym blaskiem się promienią.—

Amina. Świat się nie zmienia tylko, lecz się mienią
I serca królów. Ale—poco marę
Tych wspomnień budzisz?

Almanzor. Przypomnieć ci chciałem
Nocy téj przysiąg rzucane wyrazy—

Amina. Mówiłam: kocham!

Almanzor. Sto—

Amina (*szybko*). Nie—milion razy,
I tyś powtarzał—milion!

Almanzor. Bo kochałem
I kocham!.. (*wstaje*). A ty?.. Odpowiadaj szczerze,
Bo trwożne wieści w serce mię ubodły—
Mówią... że zdradzasz! ale ja nie wierzę,
Za nadtoś piękna na taki czyn podły!..
Jadę—

Amina (*z ironicznym uśmiechem*).
A—dokąd?

Almanzor. Gdzie powinność każe—

Amina. Na pole bojów?

Almanzor. Miecz rzuciłem z dłoni— — —
Bądź wierną!

Amina. Będę—(*d. s.*) mieć naraz dwie twarze,
Nim tajemnicze jutro się odsłoni.

Almanzor. Amino! czemu zbladły usta twoje, (*bierze jéj rękę*)
Ty drżysz i małe pięście ściskasz gniewnie....?

Amina. I ja mam królu, własne niepokoje,
I serce drży mi twojemu pokrewnie.

Almanzor. Precz słów zagadka! co masz? mów w téj chwili
I złą myśl wygoń z trwożnych marzeń tłumu!

Amina (*z mocą*). I ty nie kłamiesz?—Wszak pani Kastylii
Kochanką twoją—

Almanzor. Nie,—mego rozumu.

Amina. Podziału nie chcę!

Almanzor. Podział ten być musi
Dla szczęścia państwa. Niechaj cię nie nęka
Myśl, że Almanzor drugą z niewiast kusi:
Dla ciebie serce, tamtéj tylko ręka.
(Przytula dłoń jéj do piersi).
Ty się nie gniewaj! królów obowiązek
Poddańcze pęta wkłada im na dłonie;
Niepoświęcony zgodą serca związek
To jednym więcéj cierniem w ich koronie.
Powrócę! ty mi otworzysz ramiona,
Do powitalnéj miód nalejesz czary— —

Amina. Słyszysz, Amino! pan rozdziela dary:
Miłość dla ciebie, dla tamtéj—korona!

Almanzor. Lichy szych złota!

Amina. Tak—mądre twe słowa!

Almanzor. Daj ust!..
(Całuje ją w usta).
Pamiętaj—kochaj i... bądź zdrowa!

(Amina wychodzi.—Podczas ostatnich słów Nuradyn w drzwiach staje. Almanzor idzie naprzód kroków kilka, zatrzymuje się i mówi).

Droga wytknięta—postawiona meta— —!

Nuradyn (*d. s.*) A jaka? proszę—to mi rzecz ciekawa!

Almanzor. Tak—Almanzorze! w imię Mahometa
Do Pirenejów rozbrzmi twoja sława.
Długo czekałem, alem bliski chwili —
Sen mój wciąż śniony spełnia się nakoniec...
(Dobywa z zanadrza mały zwój pargaminowy).
Tryumfu mego przybył śpieszny goniec,
W ślad drugi zdąży z koroną Kastylii.

Nuradyn (*podchodząc*).
Tyś pan Kastylii? Marzeniem szczęśliwy!
Lecz to marzenie spełnić się nie może—
Wszak zamiast wojny gałązkę oliwy
Na dwór kastylski niesiesz Almanzorze?..
Zkądże sen taki? Wszak chorągiew zgody
Z murów Burgosu i Korduby błyska?
Gwadalkwiwiru niezmącone wody
Płyną spokojnie wśród swego łożyska.
Dokądże senne mary cię uniosły?..
Kopyto końskie brodu rzek nie zmąca,
Ani wojenna łódź lekkiemi wiosły

O fal błękitne powierzchnie potrąca.
Na cichych morzach senne śpią korable,
Bandery nasze z wiatrem się nie wiją
I Saracenów niezmęczone szable,
Zamknięte w pochwach, żółtą rdzą się kryją.
Może twój Demon (9), jak o tém powiada
Gmin ciemny, płaszczem swéj wszechmocy wionie—
Państwo Kastylskie we władanie nada
I na zajętym każe usiąść tronie?
Może po spiciu słodkich win nektaru
Szał ci pijacki uderzył do głowy:
Za rzeczywistość sen wziąłeś? z krwi żaru
Utkałeś sobie ów płaszcz purpurowy?
Dokoła cisza, cisza tak bezdenna,
Taka bezbrzeżna w całém państwie twojém,
Że mógłbym słyszyć jak giaurów pierś senna
U Pirenejów oddycha spokojem.
Dziś ziemia Maurów, jak dziewica, strojną,
Oliwy kwitną w dzierżaw swych obszarze — —

Almanzor. Zkąd ta ironia? I pokój jest wojną,
Jeśli królestwom do nóg paść mi każe.

Nuradyn. Zagadkę prawisz —

Almanzor. Rozwiąż ją!

Nuradyn. Niestety!
Wśród labiryntu zabłąkam się ciemnic—

Almanzor. Słuchaj więc — nie mam przed tobą tajemnic — —

Nuradyn. Kraj ów zdobędziesz?

Almanzor. Przez miłość kobiéty.

Nuradyn. Nowoodkryte przez ciebie narzędzie,
Co nad tarany łatwiéj mur rozpiéra—
Ale mi wątpić nie wzbronisz.

Almanzor. Tak będzie!

Nuradyn. Miłość hrabiny czyż nie bajka szczéra? (10)

Almanzor. Prawda nad prawdy! Kiedym był w Burgosie,
Poznałem dobrze to serce niewieście —
W oczach omdlenie, drżenie było w głosie,
Gdym po dniach długich żegnał ją nareście.
Jak daktylowa palma, gdy się łamie,
Gnie, chyli burzą w piękny łuk wygięta:
Rumieńców pełna, drżąca, uśmiechnięta,
Przez moje silne schyliła się ramię.
W rozwartych oczach jakieś uniesienia

Jakieś płomienne zobaczyłem błyski— —
Westchnieniom piersi oddałem westchnienia,
Dłużne jéj ustom wróciłem uściski.
Nie myśl, że książąt prawica zmęczona
Zdradziecki puhar do moich ust chyli:
Niewieścim głosem nie uśpią Samsona,
Nad mojém łożem, dając straż Dalili.
Zdradzać — potrafię! sił mamy na równi —
Tylko z niewieściém sercem się nie igra, —
Gdy stos ich dziełem — jam tchnął żar do główni,
Płonie mym ogniem i ja wiem kto wygrał
Usnę—wróg groźny! Strachy w proch rozwiane.
Na cztery świata rozlecą się strony —
Usnę snem twardym; lecz gdy ze znu wstanę,
Już katolickie nie zagrzmią mi dzwony.
Może się zerwą jak wichr gdy szaleje—
Lecz to ostatni będzie pokrzyk trwożny:
Miecz poślę naprzód, w ślad, nad Pireneje
Wejdzie, jak gwiazda, nasz księżyc dwurożny.
Nie sen mię lichy w świat marzeń unosi,
Nie gorączkowych to chorób mamidła— —
Gwiazda kastylska sama w dom mię prosi,
Sama wypadkom chyże daje skrzydła —
Czytaj — list od niéj!

Nuradyn (*biorąc list*). Bije ananasów
Andaluzyjskich delikatną wonią! — —

(Czyta)

„Tęsknię — przybywaj!.. Siłą dawnych czasów
„Drży serce — myśli, gdzie ty jesteś, gonią.
„Trwożliwa czekam, by ci u ramienia
„Jak bluszcz zawisnąć, jak kropla żywiczna
„Do ust twych przylgnąć. Być duchem natchnienia
„I sługą twoją!...“

(Ściska konwulsyjnie list w ręku)

Apostrofa śliczna!

(Oddaje list)

Zwycięstwo pewne — tak! ty masz sny wieszcze.

Almanzor. Co nam — prócz sławy, walk dał szereg długi?

Nuradyn. Lecz nie tu koniec.

Almanzor. W czém niepewność jeszcze?

Nuradyn. A Sancho-Garcia?

Almanzor (*powoli*). No — a Heszam drugi?... (11)

Nuradyn. W proch padam!

(Almanzor wolno wychodzi)

Trwożna wieść przybiera ciało —
Nie jedno z książąt wciśnie kark w obrożę,
By lwa ugłaskać. Kraj jeden dać mało
Temu, co cały świat udźwignąć może.
Serce niewieście szałem skajdanione
Rzuci się łatwo w objęcia olbrzyma—
W morzu ogromnem, ja — kropla, zatonę,
Gdzie on krok stawi, dla mnie miejsca niéma!

(Po chwili)

Więc szaléć, rwać się i pozostać — niczém,
Żeby z zwróconém na niego obliczem
Iść jakby dziecię wstrzymywane paskiem,
Jak satelita koło swego globu
Krążyć, pęt zerwać nie widząc sposobu,
I pożyczonym tylko świecić blaskiem?
Z pod nóg kurz zmiatać jak niewolnik blady,
Uchylać czoło, mówić: królu! panie!...
Nie!.. prędzéj ziemia runie z swéj posady,
Prędzéj w pochodzie swoim słońce stanie!
Nie darmo myśli, te niekrwawe sępy
Krążyły tutaj i niszczyły ciało
Jak głód...

(Zwraca się, z mocą)

Ty tron masz! berło! wojsk zastępy!..
Z fortuny darów coś i mnie zostało....
Zdrada!.. Jam mistrz w niéj!—krwi się nie ulęknę
Choćby spaliła skroń moją szkaradnie
Piętném Kaima. Przed tobą uklęknę —
Lecz po koronę, co z czoła ci spadnie!...

Yezyd *(wchodzi, oglądając się trwożnie).*
Nie ma nikogo?

Nuradyn. Z własną myślą jestem,
Która się do mnie jak piekło uśmiécha —
Czego się lękasz?

Yezyd. Drżę, żeby szelestem
Królewskich komnat nie rozbudzić echa.

Nuradyn. Co wręcz mi niesiesz?

Yezyd Plon żniwa obfity —

Nuradyn. Koronę?

Yezyd. Ba... ba!.. zrazu nie tak wiele:

Slaz — poskutkował, wódz armii — zabity,
Dwa hausty wypił i upadł jak ciele.
(Zaciera ręce).
Czegoś tak białka wywrócił okropnie?

Nuradyn (*wpół do siebie*).
Krew już zwalała pierwsze tronu stopnie,
Na które wejść mam. Jak prędko się wciela
Zła myśl!...

Yezyd. Zabiłem, widzę, przyjaciela.
Chcesz? wnet go wskrzeszę — czekam na rozkazy.

Nuradyn. Śmierć jedna straszna — on marłby dwa razy.

Yezyd. Litość ma!

Nuradyn. Gadał?

Yezyd. Znać chętka go wzięła
Nie miłe na nas sprowadzić wyroki — —
Gadał... Wtém słyszę stóp królewskich kroki,
Więc mu kolanem pierś zgniotłem. Chrupnęła
Brzydko, jak garnek gdy drzazgi czerepne
Zetkną się z sobą.

Nuradyn. I król cię nie zoczył?

Yezyd. Drzwi jeszcze nie tknął, gdym ja w okno skoczył.
Wiész, że się czasem na gzemsach rozepnę,
Jak giekon szary (12), co brzuchem się tyka
Ścian. Mam naturę giekonów, wzrok żbika
I węch psi.
(Przechadza się).

Nuradyn (*d. s.*). Włożyć ci teraz obrożę
Z dławiącym kółkiem i ja ci nałożę...
Trzymać cię będę jak psa na łańcuchu,
Nasienie dżumy, czarny piekieł duchu!

Yezyd (*stając nagle*).
Czy do Sewilli ztąd bardzo daleko?

Nuradyn. Dalej niż z sal tych pod słup szubieniczny—
Masz pierścień! Skarb mój pod straży opieką
Tobie oddaję.

Yezyd (*chwyta pierścień*). Rubin!... (*wpatruje się*).
Pyszny! śliczny!
Pół świata wagi!.. Co za blask!... Wzrok tonie,
Gubi się w świateł falowaniu drżącém — —
Cudowny klejnot!.. Płonie — płonie — płonie,
Iskrami tryska i pali gorącem!.. (*drży*).

Nuradyn. To klucz od skarbów —

Yezyd (*wpadając w pomieszanie*). Sewilskie znam skarby....
Żółty blask złota i topazów farby...
I łaskoczący połysk dyamentów! — —
Perły zsypane w skrzynie w uścisk prętów
Żelaznych wzięte... Coś się plącze.. miesza...
Złoto już kapie... u kolan się wiesza...
A ha-ha!.. złoto w fałdach mej kapoty,
Mam głowę... złotą— i mój nos... już złoty
I....

(Kroklem cichym, oskubując się, odchodzi. W drzwiach nagle rozwartych staje ALMANZOR).

Almanzor. Piekło!
Nuradyn (*kryjąc zmieszanie*). Wiem — wiem...
Almanzor. Śmierć nagła—zkąd ona?
Nuradyn. Allah chciał.
Almanzor (*z rezygnacyą*). Allah!...
Nuradyn. Święćmy jego wolę.
Almanzor (*wpół do siebie*).
Kto trud mój weźmie na swoje ramiona
I pułki moje powiedzie na pole?...
Nuradyn. Królu! ja jestem!

(Almanzor podnosi głowę, wpatrując się w Nuradyna)

Almanzor. Rzekłeś! — tak, krwi związek
Prawa ci nie da oddać poniewierce
Koronę moją.
Nuradyn. Spełnię obowiązek.
Almanzor (*odpasując miecz*).
Miecz mój ci wręczam.
Nuradyn (*biorąc*) Na nim— swoje serce!
Almanzor. Nie czas narzekać, ani tracić wiary
W wierny mi dotąd zawsze uśmiech losu.
Pułki czekają, szeleszczą sztandary,
Chorągwie białe wieją z wież Burgosu.
Śpieszyć nam trzeba!... Poszły listy gończe
Nektarem wieści wstrząsnąć serca giaurom—
Nim płaszcz godowy zmienię na opończę,
Pozwolę rosnąć w bujne drzewa laurom.

(Słychać uderzenie trąb i rżenie rumaka).

Surmy już grają, mój koń się odzywa— —
Wodzu wojsk Maurów, bądź gotów!... (*wychodzi*).
Nuradyn (*sam po chwili*). Tak nagle
Na pełne morze łódź moja wypływa?
Dmijcie, o wichry! rozwinięte żagle! (*wychodzi*).

AKT DRUGI.

Plac w Burgosie—z obu stron mury kamienic, wdali widać wieże świątyń i pałac królewski. Cysterna bliżéj sceny koło jednéj z kamienic.—Przedświt.—Głębią wbiega SANCHO-GARCIA, trzymając w pół kibici LILĘ.

Sancho. Daléj! z podskokiem Lili...

Lili. Tyś oszalał—

(Usiada zmęczona na brzegu cysterny).

Zaczyna świtać i miasto się budzi—
Wracajmy!

Sancho. Nie chcę!——

Lili. Patrz! już księżyc zmalał.
Z wszech stron na rynek napływa tłum ludzi
Mężczyzn i kobiet pożądliwych wieści,
Które zamkowy herold im obwieści
A ty?..

Sancho. Ja? zgrozo! Zamiast jak zabity
Chrapać na łóżku—w pół ciebie porywam,
I szatą nocy najszczelniéj okryty
Hasam po rynku i kaczuczę śpiéwam.
Czy chcesz, bym siedział jak mnich w swojéj celi,
Grzmocił się w piersi i mruczał: niestety—
Grzeszyć nie mogę—ratujcie anieli!...
Kiedy mi tutaj brzmią jak kastaniety
Całusy twoje, i słodkie objęcie
Mówi przed czasem, czém jest wniebowzięcie?

Lili (*zatulając mu usta*).
Cicho! bo więcéj już się nie powłóczę
Z tobą jak mara nocna—od téj chwili
Sam będziesz hasał!..

Sancho. Czy ty wiesz co, Lili?—
Potańczmy sobie na rynku kaczuczę?

(Śpiewa: la-lalalala-la-la-la...)

Lili (*całując go*) Urwisie luby!.. (*Sancho chwyta ją wpół i odcałowuje*)

Sancho. Prawda, że przyjemnie
Całuję?

Lili. Wiesz ty o tém bez pytania—
Lecz chodź—na ciebie dwór czeka.

Sancho. Bezemnie
Niech się obchodzą—a kto im zabrania
Na mnie nie zważać? Rad jestem, że rządy

Nie ciążą na mnie! Nasi dygnitarze
Za mądre czoła i za chmurne twarze
Mają i inne odemnie poglądy,
Których obecnie nikt i nic nie zatrze:
Oni na Maurów, ja—na ciebie patrzę!...
Stawaj w pozycyi!..

Lili. Nie, nie—ja iść muszę,
Inez się zbudzi i pocznie się gniéwać
Na mnie, że ja... ja —

Sancho. Inez? na mą duszę!
Wrócimy pierwéj niż przestanie ziéwać
Kochana Inez, a późniéj się zdobić,
Muszki posadzić na twarzy, brew zrobić...

(Uderza dzwon).

Lili. Słyszysz?..

Sancho. Bim, bam, bum—z katedry dzwon wali
Na jutrznię—hałas wzmaga się uliczny...
Teraz czas frunąć!—Rajsko będziem spali
Po téj hasance nocnéj i przesliczny
Sen nam się wyśni. Mnie w głowie się kręci
Po tych całusach, któreś bez pamięci
Na usta kładła...

Lili. Dosyć już, tyrkotko!

Sancho. A całowałaś słodko—słodko—słodko!..

(Nuci kaczuczę: la-lalalala, la-la-la, la-laa-la, la-la... i wybiegają oboje).

(Z głębi, z ulic bocznych i domów wychodzą: MIESZCZANIE, MIESZCZKI, DZIEWCZĘTA i DZIECI. Tłok. Poprzedzając idzie STARZEC, z nim KRYSPIN, tłusty, z brzuchem potężnym, spoczywającym na pasie, z twarzą okrągłą, śmiejącą się. Wąsy duże, zakręcone do góry. Słońce wschodzi).

Starzec. Nie widać!

Kryspin. Nawet uszów heroldowych
A ma potężne. Most zamkowéj wieży
Wzdął się obręczem na mgłach porankowych,
Iż mógłbym przysiądz, że to mój brzuch leży,
Rodzony brzusio. Słyszę jak mech rośnie
Na twojéj łysej głowie, lecz na moście
Cicho. Żadna się mucha nie wybrała
Na spacer.

Starzec. Po cóż rozkazy wydali,
Żeby ze świtem ludność miasta cała
Była na rynku. Niektórzy nie spali
Noc całą, tylko tłukli się gromadką
Na placu, jakby licho ich urzekło.

Pierwsza mieszczka (*podchodząc szybko*).
Ot—ja naprzykład!
Druga mieszczka. Tylko ty—sąsiadko?
A ja?..
Trzecia mieszczka (*z dziewczyną przy sobie*).
Ja także!..
Czwarta mieszczka Mnie aż w dołku piekło
Takem ciekawa była. Nawet kurom
Nie dałam jeść nic, tylko jak waryatka,
Na wpół ubrana, oddychając zrzadka,
Wprost ku zamkowym pośpieszałam murom.
Piąta mieszczka. Kurom—co kurom! Ja nic jeść nie dałam
Mojemu... krzyczał, że połamie kości—
Źle, myślę—wrócę! lecz nie wytrzymałam
Taka mną trzęsła febra ciekawości.
Stara baba (*występuje, trzęsąc się, z tłumu*).
I ja... tak samo... ruszyłam z kopyta— —
Mieszczanin. I czego matko?
Stara baba. A czy ja wiem czego?..
Pobiegłam, widząc... że przedemną biegą,
Zostać?... nie mogłam! ja także kobiéta— —
Pierwsza mieszczka.
Coś będzie!..
Druga mieszczka. Będzie— —
Pierwsza mieszczka. Niezwyczajna sprawa—
Zamek heroldów nie wysyła aby— —
Dziewczyna (*do drugiéj*).
Czyś ty ciekawa?
Druga dziewczyna (*przebierając nogami*).
Aj! aj! jak ciekawa!
Szósta mieszczka.
U mnie w kołysce, został dzieciak słaby,
Biédactwo! będzie bez piersi się darło...
Chciałam nakarmić, ale tak mię sparło,
Że nieprzytomna wleciałam na rynek.
Pierwsza mieszczka (*do drugiéj*).
Oj—ta ciekawość!.. Ale Kryspin musi
Coś wiedzićć, zawsze ma torbę nowinek—
Poproś, Moniko—dla ciebie wykrztusi
Choć kapkę— —
Druga mieszczka. Dla mnie?.. skąd dla mnie?..
Trzecia mieszczka. Pytanie!
(Do dziewczynki przy boku).

Klarciu—nie słuchaj!.. Toż ciebie nie razi
Gdy nocką twoje nawiedza mieszkanie.

Druga mieszczka. Pod oknem tylko—

Trzecia mieszczka. E—i oknem włazi— — —
Klarciu—nie słuchaj!

Druga mieszczka. Ja coś i o tobie
Wiem!

Trzecia mieszczka. Otóż widzisz, że znamy się obie— — —

Pierwsza mieszczka.
Kiwnij na niego—

Druga mieszczka (*rozglądając się*).
Gdzież on?

Mieszczanin. Kto *on* taki?

Druga mieszczka. Don Kryspin

Starzec. Don? Don?.. Od kiedy *Don* z niego?

Druga mieszczka.
Od kiedy stanął służbą u hrabiego—
Czy nie wiesz stary?

Starzec. Da się on we znaki
Naszemu chłopcu... a i tobie razem.

Drugą mieszczka.
Co?!.

Starzec. Wiem przed czyim modli się obrazem
Nicpoń ten. Czy ja mam na oczach bielma,
Żebym nie widział jak wczora ten szelma
Lazł po dra...

Druga mieszczka (*do towarzyszek*).
Krzyczmy!

Mieszczki Kryspin! Kryspin!.

Kryspin (*tocząc się ku nim*). Jestem
Synogarliczki moje... (*do drugiéj Mieszczki*) — lecz
[wprzód—duszko
Cości... (*nachyla się do ucha*).

Mieszczki (*podbiegają*).
Co?
Co?
Co?

Kryspin (*do drugiéj Mieszczki*). Niby pod pretekstem,
Że powiem—twoje ucałuję uszko... (*całuje*)

Druga mieszczka (*odskakując*)
Ach!

Mieszczki. Niegodziwiec!

Trzecia mieszczka (*do dziewczynki*). Klarciu zamknij oczy!
Dziewczynka. On ją pociomal a mnie dźwoni w uchu— —
Mieszczanin (*do Kryspina*).
Zkąd ten brzuch wziąłeś?
Kryspin. Znać pana po brzuchu,
Który jak herold zawsze naprzód kroczy.
Mieszczanie. Wytarta gęba!
Kryspin. Na dworze — na dworze!
Tam trzeba gębę miéć gęstą jak sito,
A nawet lepiéj cholewę miéć może
Niż gębę, jeśli nie chcesz by ją zmyto — —
Wiédz pasternaku o tém!
Chłopak. Niech pan raczy
Rzec: co jest gęba? panie brzuchomówco!
Kryspin. Jesteś cielęciem, obibokiem, owcą,
Smerdą i czopem. Teraz wiész, co znaczy
Gęba? (śmiech)
Kobiety (*rytmicznie*). Cha, cha, cha!...
Trzy mieszczki. Kryspin!
Kryspin. Stoję — stoję
Pośród was, maczki! Na wasze wołanie
Z pod ziemi wyléść byłbym nawet w stanie.
(Szczyple pod brodę).
Wy piwonijki, kukułeczki moje,
Brzoskwinki pękłe!
Mieszczki. Chodź tu!
Kryspin. Co koteczki
Chcecie odemnie?
Pierwsza mieszczka. My wiemy, że z tobą
Hrabia przestaje....
Kryspin. Jak gdyby sam z sobą,
Dodaj, cytrynko!
Druga mieszczka. Że razem jeździcie
Na spacer...
Kryspin. Także i nocne wycieczki
Robimy wspólnie, dołóż, moje życie!
Druga mieszczka.
Tego ja nie wiem!
Kryspin. Skaczem przez trzy stopnie
Naraz
Jedna z mieszczek (*wskazując na jego brzuch*).
Z tym bąblem?

Kryspin. A dawno to, krasko...
Trzecia mieszczka (*do dziewczynki*).
Klarciu nie słuchaj — bezeceństwo kropnie!
(Hałas w głębi).
Głosy (*zdala*). Hooo!
Mieszczki. Co tam?
Głos męski. Herold!
Mieszczki. Herold!
Głos drugi. I paź z laską!..
(Zamieszanie — tłok).

Głosy zmieszane:

Głos 1. Nie pchaj!
Głos 2. Oj boki!
Głos 3. Czy waćpan rozumié,
Że do niewiasty nie zwraca się tyłem?
Głos 4. Szydłem ją!
Głos 3. Aj! aj!
Głos 5. Mój czepek, o nieba!
Głos 6. Tu moje miejsce!
Głos 7. Ja pierwszy tu byłem!
Trzecia mieszczka (*do dziewczynki*).
Klarciu! ja pędzę — nie zagub się w tłumie,
A zatkaj uszy, gdy będzie potrzeba!
Dziewczyna. Tak?
Trzecia mieszczka. Tak!...
(Pomyka. Dziewczynka gramoli się na brzeg cysterny. Mieszczki biegną. Kryspin łapie każdą po kolei).
Kryspin. Nie puszczę! daj ciom — ciom siarczyste!
Mieszczka (*wyrywając się*).
Idź trąbo! (*umyka*).
Kryspin (*chwyta drugą*). Tuś mi!...
Mieszczka (*odtrącając*). Odczép się odemnie
Basetlo!... (*umyka*).
Kryspin (*zatrzymuje trzecią*). Buźki!..
Mieszczka. Precz fujaro! (*umyka*).
Kryspin (*rozstawiając ręce*). Chryste!
Całą orkiestrę urządziły ze mnie!...
Bodaj was czarne maczki zjadły — flądry!
(Wchodzi Herold — poprzedza go Pazik z laską)
Pazik. Poseł od dworu!
Głosy męskie (*zdala*). Unieść go ku górze—
Dostojnéj chcemy przyjrzéć się figurze!

Głosy (*bliżéj*). Prosim na beczkę!..
Herold. Silentium!..
(Podtrzymywany przez Pazika, wchodzi na podtoczoną beczkę)
Mieszczanin. O, mądry!
Rżnie po łacinie.
Herold. Ergo — pańską wolę
Ogłaszam. Ale od siebie pozwolę
Dodać: że kto się temu rozkazowi
Sprzeciwi — weźmie kijem, jak stanowi
Zamkowe prawo.
Głosy. Oho — ho!
Herold. Bez kwestyi,
Boki się takiéj połatają bestyi
Albo się w kozie doczeka zamknięcia.— —
Jutro do naszéj stolicy potencia
Zjeżdża, co nieraz dała nam po żebrze,
Przed którą wojska nasze niezwalczone
Niejednokrotnie drżały jakby w febrze
Na sam jéj widok. Ale strach na stronę
Dziś niech odejdzie! Ta wielka potęga
Do kastylskiego wozu się zaprzęga
I za nieznaczną haraczu opłatą
Niesie nam pokój po wieki. My zato
Musim jéj do nóg ponieść wdzięczne serce — —
Krużganki w wieńce i okna w kobierce
Ozdobić! Ludu niech napłynie chmura
I co sił tylko starczy, wrzeszczyć: hura!
Łupić w cymbały i dzwonić w litaury!...
Gościem tym będzie Almanzor i Maury — —
Głosy (*strwożone*).
Maury.
Jedna z kobiet (*nagle*). O!.. (*mdleje*).
Mąż (*podtrzymując*). Żonciu, co ci! dłoni nie łam!
Głos staréj baby.
Czy gwałcić będą?...
Trzecia mieszczka (*z tłumu*). Klarciu!
Dziewczyna (*zatuliwszy uszy*). Zatyknęłam!...
Młodzieniec. Nieszczęście — aj aj!
Starzec. Smyku! nie prorokuj
Źle — niosą pokój!..
Głosy. Pokój!
Pokój!
Pokój!

Tłum. Hu-ra!...

Herold. Silentium!.. Przy bram narożnikach,
Gdzie można, płachty powieszać na tykach
Długie, by końcem dotykały ziemi— —
Jeżeli wiatru nie będzie—chwiać niemi!
Cieszyć się wszystkim, bo zrządzeniem bożem,
Wróg, co na naszych gardłach siadał z nożem,
Teraz wyciąga swą rękę życzliwą
I wszystkie zdarcia pomaże oliwą.—
A darł z nas pasy! Świadczyć mogą starce,
Że nikt w konopie przed nim się nie schował:
Trzepnął Alfonsa, dał w skórę Abarce
I swą królewską pięścią poczęstował
I nasze hrabstwo. Kamienne fortece
Walił kolanem—olimpijskie hece
W klasztorach sprawiał. Po jego przechodzie
Było tak pusto, jak bywa w ogrodzie
Z warzywem, kiedy pilne gospodynie
Wykopią marchew, pietruszkę i dynie
Zbiorą. On zbiérał zawsze, co my sieli!—
Jeden nasz tylko Jakób z Compostelli
Zmienił się w dziada i zmierzył z zuchwalcem—
Pod nos mu kiwnął świątobliwym palcem
I tak pozostał dom pański nie tknięty. (13)

Głosy. Nasz święty Jakób!

Głosy (*daléj*). O—nasz Jakób święty!

Herold. Silentium! Rozkaz wydany, do joty,
Krasomówczemi powtórzyłem zwroty:
Kobierce w oknach—chorągwie—niech żyje
Wrzeszczyć—rznąć w bębny. Pamiętać—bo kije!
(Schodzi z beczki)

Tłum. Hura!

I. Mieszczanin. Nasz herold jak ksiądz jaki prawi,
Niby łopatą rzecz do głowy kładzie:
Nic nie zrozumiész czasem a dokładnie
Wiész o co chodzi.

2. Mieszczanin. Gęba się wyprawi
Na hrabskim dworze. Ot—nasz Kryspin—wiecie,
Nie dawno jeszcze był jak ciele głupi,
A teraz? oho! przetarł się po świecie—
Jak puści język to aż w głowie łupi,
Słuchając...

Głos (*w dali*). Patrzcie!..

Mieszczki. Co?

Co?

Co?

Kryspin. Jak duszę

Kocham, mój Sancho wleciał w tłum ciekawy.

Kilka mieszczek. Ściskać nas będzie—

Druga mieszczka. Niewinnéj zabawy

Nie wzbronim!

Pierwsza mieszczka. Jużci—

Głosy. W górę kapelusze!

Kryspin. Jak młody źrebak, gdy z stajni wyleci

Węszy—rży—wierzga!

(W biega hr. SANCHO-GARCIA).

Tłum. Hura!

Sancho (*unosząc kapelusz*). Vivant dzieci!

W czas, jako widzę, jesteście zebrani— —

Głosy. Żyj nam, hrabiczu!

Sancho. Żyć będę, kochani,

Choćby lat trzysta...

(Postrzega Kryspina).

A! jesteś obwiesiu?—

(Uderza go po ramieniu).

Kryspin. Już przewąchałeś, że tu mieszczek kupka

Zbierze się? A no—krzyknij: czesiu! czesiu!

A jak na wabik słomki... prrr!.. Do słupka

Prowadzić tylko.

Sancho. Jużeś puścił ozór?

Kryspin. Patrz! jak się kręcą i mrugają na nas— —

Sancho. Słuchaj no!

Kryspin. Zérknij na lewo—ananas!

Ja ci powiadam... ananas, choć pozór

Ma zwykłéj gruszki.

Sancho. Zmilknij, obiboku,

I mnie daj gadać.

Kryspin. Nie łżyj tylko!—za tém?..

Sancho. Wiész, że nie miałem sokoła od roku

Takiego, który byłby orła bratem—

Ale dziś, jakby pełniąc me życzenia,

Dał mi król Alfons spaniałego ptaka,

Co w gon puszczony, w piorun się zamienia

I stepowego nie minie junaka

Krogulca nawet. A dziarskie to, śmiałe—
W lot czaplę chwyta za skrzydełka białe!

Kryspin (*trąca go łokciem*).
W bok zérknij... Józka!

Sancho. Milcz bąku!—Od chwili—
Słuchaj, bo pyszne!.. gdym go na swéj dłoni
Zaniósł do mojéj ukochanéj Lili,
Niby ja drugi kręci się koło niéj
I skubie...

Kryspin. Skubie? zwyczajnie twój sługa
Od prym-cymbała bierze obyczaje.
(trąca).
Spojrzyj w bok! kręci się—podchodzi—staje,
Józka ma imię—

Sancho (*przypatrując się*). Coś na dobre mruga—

Kryspin. Już ci—na dobre!

Sancho. Oczy ma błyszczące
Jak dwa sztylety z damasceńskiéj stali—
Gdzie mieszka?

Kryspin. Aha—już cię dyabeł pali?
W téj kamieniczce na lewo gdzie słońce
Włazi w południe a ja czasem w nocy———

Sancho. Kłamiesz hultaju!

Kryspin (*kończąc*). Wzdycham z całéj mocy;
Lecz gdybym tobą był tejże godziny
Wzdychał bym równie lecz z innéj przyczyny.—

Sancho. Oczu nie zmruża—

Kryspin. Zna się na pasztetach——
Chodź do niéj—synku!

Sancho. Jakto? przy tym tłumie,
Dziewczętach, dziadach i babkach w tupetach?
Stracę powagę!

Kryspin. Wylazły rozumie
Z baraniéj głowy... Umkniem jak złodzieje
Gracko. Rób co ja, nie krzycz jak ja tylko.
(Zbliżają się do tłumu).

Tłum. Hura—ha!

Kryspin (*wpada w tłum*).
Gwałtu! patrzcie, co się dzieje!——
Słońce wam leci na łby!..
(Tłum z wrzaskiem pierzcha—Kryspin podbiega do Sancha).
Wskok!..
(Biegną. Kryspin rzuca Sancha w ramiona Mieszczki).

Mantylką

Zakryj i drała!

(Mieszczka zarzuca mantylę na głowę Sancha i razem z nim znika w bramie jednéj z kamienic. Kryspin ociera pot z czoła).

Fu!.. Gdy mię ten dudek
Grandem nie zrobi, zrobię go jeleniem
Zaraz po ślubie. Jużto przeznaczeniem
Mojem ćmy łapać, gdy gapi się dudek.

(Obejmuje jedną mieszczkę, która daje mu w papę).

Uuu! dzisiaj w papę już wziąłem raz trzeci— —

Jeden z tłumu (*mierząc gapiowato niebo oczyma*).

Co on łgał?.. słońce niby dynia świeci...

(Kryspin śmieje się).

OBJAŚNIENIA.

1) Azzahira—w języku arabskim znaczy: ogród kwitnący. Pod tém nazwaniem wzniósł Almanzor dla siebie rozkoszny pałac niedaleko Korduby. Do nowéj téj rezydencyi przeniesiono skarb państwa i zarząd cały. Wezyrowie i magnaci skupiając się około władcy, zaczęli tu budować siedziby dla siebie i wkrótce Azzahira stała się miastem pałaców, łącząc się z czasem z przedmieściami Korduby,

2) Ród Senatów inaczéj Zeirytów w r. 988 opanowawszy Maurytanią, zawładnął Fezem. Syn Almanzora Abdelmelek w bliskości Tangeru zadał mu ciężką klęskę, a ostatecznie zwyciężywszy nieprzyjaciela pod Wadszyda, stolicą Zeirego, z tryumfem wszedł do Fezu.

3) Dynastya Ommejów pod koniec X-go w. chyliła się ku upadkowi. Wydawszy z łona swego wielkich mężów, którym Arabowie zawdzięczali potęgę, oświatę i wszystkich ludów szacunek—zniedołężniała i kalifat u swego ludu nawet stracił urok, jaki go od dwóch wieków otaczał. Chylące się do stanowczego upadku państwo, ogromem swych zwycięstw dźwignął chadżyb imieniem Muhamed, który przyjął dany mu przez lud przydomek Al-mansor (zwycięzca). Wiedział jednak, że same zwycięstwa, bez ujęcia w żelazne dłonie swoje władzy najwyższéj, nie wiele by pomogły—musiał tę władzę pozyskać. Panował w on czas Heszam drugi, Ommeida, zniedołężniały syn potężnego Al-Hakema. Almanzor—uznany za mędrca swojego czasu—chcąc ratować upadające państwo, otoczył Heszama rozkoszami haremu, usunął zupełnie od rządów, ster ich w ręce swoje ująwszy. Odtąd lud kalifa nie widział. Almanzora znał, kochał i czcił. Na monetach lud czytał imię Almanzora, w czasie chotby, odprawianéj w piątek w meczetach, wymawiano jego nazwisko, na budynkach wznoszonych widniało Almanzora imię. On zawierał sojusze, wypowiadał wojny, pobierał podatki i daniny, wszelkie rozkazy wychodziły bezpośrednio od niego. Był rzeczywistym władcą, był królem—bez korony. We wszystkiém pomagała mu Sobeika, matka niewidzianego nigdy przez lud kalifa.

4) Tarek był pierwszym zdobywcą Hiszpanii—od niego dzisiejszy Gibraltar wziął swoje nazwisko: Gabel-Tarek—(góra Tareka). Almanzor do jego zaliczał się potomków.

5) W razie przegranéj walki, wódz naczelny na znak hańby ciskał turban o ziemię. Widok téj sromoty zapalał nieraz żołnierzy odwagą nową i zwycięzcami wychodzili z pogromu.

6) Almanzor, po każdym powrocie z wojennéj wyprawy, otrzepywał kurz z bojowego płaszcza, chcąc, by po śmierci ciało jego tym pylem przesypane było, co téż się stało.

7) Po zdobyciu Compostelli, zabrane dzwony z kościoła ś-go Jakóba zostały przez Almanzora przerobione na lampy i zawieszone w głównym meczecie Korduby,

8) Walida—matka panującego.

9) Kronikarze hiszpańscy, znać pod wrażeniem zwycięstw Almanzora, zapisali w rocznikach swoich, że Demon (szatan) nie odstępował go nigdy i pomagał mu we wszelkich zamiarach i bojach szczęśliwych. Gdy Demon go opuścił, Almanzor runął.

10) Że władcy Maurytańscy łączyli się z chrześciankami dowodem Abdehraman III syn Muhameda i Maryi chrześcianki, któréj zawdzięczał wykształcenie umysłu i serca a późniéj ogólną miłość narodu,

11) Wspomnienie o kalifie, którego lud nigdy nie widział. (Patrz przyp. 3).

12) Giekon (Geckotidae)—płaz należący do jaszczurkowców. Ciało spłaszczone—ogon kruchy. Pomiędzy gadami stanowi ten wyjątek, że posiada głos. Żywi się owadami czepiając się ścian i sufitów mieszkań ludzkich, i z tego powodu w krajach gorących jest bardzo lubiony.

13) Zdobywszy Compostellę, gdy miasto zostało oddane na łup żołnierstwu, Almanzor wszedł do kościoła gdzie się znajdował grób ś-go Jakóba czczony przez całą chrześciańską Hiszpanię. Ludność opuściła miasto—Almanzora zdziwił widok starca siedzącego u grobu. „Co robisz tu“?—zapytał.—„Żyję z Jakóbem“ odpowiedział spokojnie starzec. W gruzy runęło wszystko—grób ś-go Jakóba, z rozkazu Almanzora został nietknięty.

(*C. d. n.*) *Kazimierz Gliński.*

OWADY I ROŚLINY

W SPÓŁCE ŻYCIOWÉJ.

Jako jedna z bardziéj żywotnych kwestyj biologicznych wysunęła się obecnie na plan pierwszy sprawa stosunku roślin do niektórych owadów a szczególnie mrówek. Chociaż sam fakt istnienia owéj zależności dość dawno już został odkryty, jednak przez czas dłuższy nie zwracał on na siebie należytéj uwagi świata uczonego i dopiero w ostatnim lat dziesiątku wzniecił szczególne zainteresowanie w szerokich kołach specyalistów; szereg zaś prac (1), jaki się ostatniemi czasy ukazał w téj materyi przedstawia bogatą wiązankę spostrzeżeń, mogących silnie zaciekawić wszystkich miłośników natury. Sądzimy przeto, iż czytelnicy „Ateneum“ chętnie się zechcą zaznajomić z kwestyą, która przez wzgląd na jéj ogólniejsze biologiczne znaczenie zaprząta w téj chwili umysły wielu przedniejszych badaczy.

Jak powszechnie wiadomo, strefy zwrotnikowe, wskutek gorącego swego klimatu, sprzyjającego bardziéj intensywnym procesom życiowym, wyróżniają się nadzwyczajnym bogactwem flory, która okazałością i wybujałością swych przedstawicieli o wiele przewyższa ubogą naszą roślinność; w związku z tym nadmiernym florystycznym uposażeniem i fauna tamtejsza, mając lepsze warunki

---

(1) Oto z nich najważniejsze: Müller Fritz „Die Imbauba und ihre Beschützer“ Kosmos. 1880. Huth: „Ameisen als Pflanzenschutz“ Frankfurt a. O. 1886. „Myrmecophile und Myrmecophobe Pflanzen“. Berlin. 1887. Lundström: „Die Anfassungen der Pflanzen an die Thiere“ 1887. K. Schumann: „Einige neue Ameisenpflanzen“ w Jahrb. f. wissenschaft. Botan. Pringsheim'a. XIX Band, IV Heft. 1888. Schimper: „Die Wechselbeziehungen zwischen Pflanzen und Ameisen im tropischen Amerika“, Jena. 1888. Z tego ostatniego dziełka czerpaliśmy przeważnie materyał do niniejszéj pracy.

bytu, rozrasta się potężnie ilościowo i jakościowo, wprowadzając w niemy zachwyt mieszkańca stref umiarkowanych. Otóż dzięki tym okolicznościom, badania nad wzajemnym stosunkiem obu działów świata organicznego, mogą się najpomyślniéj odbywać pod skwarném niebem krain południowych; lecz niestety! właśnie wskutek tego są one niedokładne jeszcze i ułamkowe: miejscowości, w materyał do badania najbogatsze, są zarazem najskąpiéj uposażone pod względem cywilizacyjnym; dotkliwy brak ścisłych badaczy i odpowiednich a niezbędnych środków naukowych — stanowi dziś trudne do zwalczenia przeszkody. Z tego to powodu, jeżeli ja-kiś uczony europejski udaje się w daleką podróż do lasów dziewi-czych Brazylii, do rozległych stepów Ameryki południowéj, na sa-motne wyspy obu wielkich oceanów, lub téż do innego mało zba-danego jeszcze zakątka świata — to wraca nietylko z głową pełną wrażeń i zachwytu, lecz—co ważniejsza—z teką bogatą w ciekawe nieraz bardzo zdobycze, które często rzucić mogą jasny snop światła na pewne ciemne kwestye, nie dające się u nas należycie rozjaśnić.

W ubiegłym właśnie roku Schimper, znakomity profesor botaniki w Bonn, ogłosił sprawozdanie z podróży swéj do Ameryki podzwrotnikowéj, a rezultaty badań jego stanowią niezmiernie ciekawy i ważny przyczynek do rozświetlenia niektórych kwestyi, tyczących się zależności roślin od świata zwierzęcego, o czém téż zamierzamy tu mówić.

W okolicach, przez autora zwiedzanych, żyje powszechnie znany gatunek mrówki, tak zwana mrówka krawczolistna, będąca istną plagą tamtejszéj roślinności. Całe armie tych niszczycielek obsiadają rozmaite drzewa, odcinając zapomocą ostrych szczęk swoich kawałki liści, które następnie zanoszą do swego mrowiska. Sprawdzić to może z łatwością każdy, kto tylko raz zajrzał do jakiegokolwiekbądź ogrodu lub lasu: spostrzeże on nieraz całą falangę sunących po ziemi owadów, które dźwigając na plecach odgryzione ułamki liścia, śpiesznie do gniazd swoich dążą; obok nich łatwo dostrzedz można sporą liczbę osobników, które złożywszy swoję zdobycz w miejsce bezpieczne — ciągną z powrotem, by dzieło zniszczenia prowadzić daléj (1). Tylko stare stwardniałe

---

(1) Jaką korzyść odnoszą mrówki z tych skrawków liści — jest to kwestya niezupełnie rozstrzygnięta. Bates („The naturalist on the river Amazons". London 1884) twierdzi, iż niektóre gatunki (*Atta cephalotes*) używają ich na wewnętrzną wyściołkę galeryj, jakie przeprowadzają one sobie w mrowisku. Belt („The naturalist in Nicaragua". London. 1874) przypuszcza, iż karmią się one grzybkami, które pasorzytują na odgryzanych liściach. Nareszcie Mac Cook dowodzi, iż badana przezeń mrówka (*Atta*

już liście, albo też młodziutkie, jeszcze niezupełnie rozwinięte, bywają oszczędzane, tak, iż drzewo lub ziele, często odwiedzane przez mrówki krawczolistne, przybiera niebawem smutną postać szkieletu, wyzutego z najistotniejszéj swojéj ozdoby—zielonéj kity liściowéj. Są to bezwątpienia najniebezpieczniejsi tępiciele podzwrotnikowéj flory amerykańskiéj. Bliższe jednak badania wykazują, iż nie dla wszystkich roślin są one w równéj mierze szkodliwe; napaściom ich przedewszystkiém podlegają z obcych krajów sprowadzane i zaaklimatyzowane tutaj krzewy jako to: pomarańcze, róże, granaty, drzewo kawowe i t. p.; lecz i niektóre z miejscowych gatunków temuż podlegają losowi, jakkolwiek w stopniu nieco mniéj gwałtownym. Przyczynę téj różnicy starał się wyświetlić jeszcze w r. 1874 Belt w zajmującém dziele swojém „Naturalista w Nicaragua“. Twierdzi on mianowicie, że te rośliny, które najbardziéj poszukiwane były przez mrówki krawczolistne, nie mogły się żadną miarą utrzymać przy życiu, ginąc jako ofiary ich żarłoczności; takie natomiast gatunki i odmiany, które dzięki jakimkolwiekbądź warunkom, rzadziéj stosunkowo były przez nie nawiedzane, zdołały jakotako uniknąć zagłady, a rodowi swemu istnienie zapewnić. Oczywiście, że wskutek nieobecności wroga w świecie starym brak było, tém samém, i przyczyny wywołującéj rozwój swoistych środków ochronnych; nic więc dziwnego, iż przesiedlona do Ameryki, ginie tam po większéj części bezbronna; jeżeli zaś ta lub owa roślina zdoła się mimo to ostać, to prawdopodobnie dzięki przypadkowym jakimś własnościom, które czynią z niéj materyał nieużyteczny lub wprost szkodliwy dla mrówki krawczolistnéj.

Więc, niszcząca ta jéj działalność odegrać musiała pewną rolę w procesie doboru naturalnego, jakiemu podlegała flora amerykańska; niedostatecznie jest tylko zbadane, w jakim kierunku właśnie wpływ ten się ujawnił. Że fizyczne i chemiczne własności ulistwienia najsilniéj przyczynić się mogły do zabezpieczenia téj lub owéj rośliny od niszczących odwiedzin mrówki krawczolistnéj, jest rzeczą bardzo prawdopodobną, lecz niestety suma istniejących danych faktycznych nie wystarcza bynajmniéj do tego, by na ich podstawie można było robić szersze uogólnienia: tylko liczne bardzo porównawcze badania mogą rzucić światło na te ze wszech miar ciekawe zjawiska, a są one dopiero tylko co zapoczątkowane (1).

---

fervens) wytwarza z liści pewną substancyą, na pierwszy rzut oka podobną do papieru a służącą za materyał budowlany.

(1) Prócz nielicznych uwag Wallace'a, literatura pod tym względem jest jeszcze bardzo skąpa. Rzecz Kernera „Środki obronne roślin“ jest dziełkiem dość powierzchownem (1876), poważniejszą jest praca Kuntzego „Die Schutzmittel der Pflanzen gegen

Lecz oprócz tych fizycznych i chemicznych własności, posiadają nieraz rośliny i inne jeszcze środki obronne przeciwko krawczolistnym rozbójnikom. O nich właśnie teraz mówić będziemy.

Otóż ludna rodzina mrówek amerykańskich w szeregu licznych swych przedstawicieli posiada nietylko szkodliwe ale i pożyteczne dla roślin gatunki, któremi karmiąc się nieocenione świadczą im usługi.

I w naszéj strefie żyją mrówki bardzo żarłoczne, które niszczą w dość wielkiéj ilości różne inne owady a szczególnie gąsienice, co to stanowią plagę drzew i krzewów naszych; są one téż istotnemi obrońcami lasów (Forel „*Des fourmis de la Suisse* 1874). Lecz jest to zaledwie bladą kopią tego, co na stokroć potężniejszą skalę daje się pod równikiem spostrzegać. A chociaż i tu są gatunki nie będące w stanie kąsać i dzięki temu, żyjące na stopie pokojowéj z braćmi swemi—to natomiast bywają téż takie, które w wysokim stopniu są obdarzone tą zdolnością a dzięki mnogości swojéj, żarłoczności niepohamowanéj i nieposkromionéj odwadze, zatrważające czynić mogą spustoszenia w otaczającym ich drobnym świecie zwierzęcym. Gdy mowa o obrońcach królestwa zieleni, należy w pierwszym postawić rzędzie tych dobroczyńców, na których czele stoi znana z tłumnych wycieczek swoich mrówka wędrowna (*Eciton*).

Zbliżanie się tego groźnego napastnika (mówi Bates) wywołuje w całéj okolicy trudną do opisania panikę, każda istota jak może najszybciéj stara się uniknąć spotkania z tą tłuszczą najeźdźców; co zaś nie zdążyło na czas umknąć lub schronić się w bezpiecznéj kryjówce, to napewno stanie się ofiarą rozjuszonego wroga. Napastuje on nawet gniazda os, rwąc w drobne kawałki misterne ich budowle, a nie bacząc na zaciętą obronę prawych właścicieli, gwałtem wyciąga i pożera ich gąsienice (1). Jest on téż otwartym nieprzyjacielem gatunków krawczolistnych, przychodząc pod tym względem w pomoc roślinom przez nie tępionym. Mamy więc znowu drugi czynnik, który téż silnie oddziałać musiał na podzwrotnikowy świat wegetacyi: w ciężkiéj walce o byt, zmuszony on był wytworzyć w sobie takie warunki, któreby mu zapewniały

Thiere u. Wetterungust“ 1877. W ostatnich czasach Stahl zajął się tą kwestyą, a rezultaty badań swoich ogłosił „Jenaische Zeitschrift für Natur u. Medicin p. t. „Pflanzen u. Schnecken“ (1888). Pomijamy tu specyalne przystosowania kwiatów dla ułatwienia zapładniania (Sprengel, Darwin, Hildebrand, Müller i t. d.).

(1) Do takich żarłocznych gatunków należy prócz wielu innych jeszcze i drobny *Cremastogaster* z jadowitemi gruczołami i ostrym narządem gębowym: nie bacząc na drobne rozmiary swe—jest on gotów zawsze do walki.

ciągłą kooperacyą sprzymierzeńca i te tylko gatunki, które podołały temu zadaniu, miały oczywiście więcéj szans przetrwania, inne naodwrót — wyginęły. Szereg przystosowań, jakie ewentualnie powstać mogą przy takich okolicznościach, nosi miano *myrmecofilii*; winna była ona bezwarunkowo położyć swe piętno na organizacyi odpowiednich roślin. Niebawem przekonamy się, czy tego rodzaju zmiany nastąpiły, a jeżeli tak—to jakie?

Dawniejszym już podróżnikom (Ray w r. 1688, Rumphius 1750, Humbold i t. d.) było wiadomém, iż niektóre rośliny podzwrotnikowe starego i nowego świata bywają stale przez mrówki zamieszkiwane, lecz stosunek, łączący je między sobą, nieraz w bardzo dziwaczny sposób był pojmowany (1); dopiero Belt po raz pierwszy wyraził pogląd, że wiąże je zsobą zasada wzajemnéj usług wymiany, a Fritz Müller („Imbauba und ihre Beschützer". Kosmos Bd. 8. 1880) pod tym względem ogłosił dokładniejsze spostrzeżenia. Jednakże wszystkie te badania były nieco powierzchowne, tak, iż właściwy sposób pojmowania tego zjawiska nie był dostatecznie umotywowany, albowiem rzecz rozchodziła się o to: Czy tę wspólność pożycia uważać należy za zjawisko przypadkowe, które nie wywołało bynajmniéj zmian w organizacyi obu wspólników, tj. czy jeden jak i drugi zupełnie niezależnie się rozwijali, nie wpływając wzajem na siebie; czy też przeciwnie, wspomniany stosunek wycisnął pewne piętno charakterystyczne w ich budowie, a następnie, przystosowując się do warunków łącznego gospodarstwa, czy ulegli obaj sojusznicy pewnym zboczeniom, określonym jakimś zmianom strukturalnym, któreby ich spółkę na trwalszych oparły podwalinach. Słowem, czy mamy tu do czynienia z prostém zjawiskiem pasorzytnictwa przestrzennego, czy też ze zjawiskiem symbiozy, wkraczającém głębiéj w rdzeń łączących się istot. Na tę stronę pytania szczególną zwrócił Schimper uwagę.

Rozpatrzmy niektóre ważniejsze sposoby prowadzenia spółki życiowéj. Otóż wiele mrówek zadawalnia są budowaniem swoich gniazd pomiędzy różnemi organami roślin; ku temu celowi służyć mogą gęste sploty nadziemnych korzeni, które często widzimy u gatunków roślinoczepnych (*epiphytae*), liście ananasowatych (*Bromeliaceae*) zgięte w kształcie łyżeczek, obszerne zewnętrzne wydrążenia spotykane u t. zw. *Tillandsia bulbosa* i t. p. Najczę-

(1) Np. Rumphius twierdził, iż odkryte przezeń gatunki *Hydnophytum* i *Myrmecodia* nie rozwijają się z nasion, lecz z gniazd mrówczanych i stosownie do barwy mrówek powstaje „*nidus germinans formicarum nigrarum*" (Hydnophytum) lub też „*nidus germinans formicarum rubrarum* (Myrmecodia).

ściéj jednak mrówki przebywają w osiowych częściach rośliny, zwłaszcza, gdy te okazują się w pośrodku puste. Tak np. rodzaj *Triplaris* — wielkie drzewo Ameryki zwrotnikowéj — zawsze jest przez nie zamieszkiwany. Zawdzięcza ono ów sojusz temu, że jego gałęzie posiadają wewnątrz pojedyncze wydrążenia, jak gdyby puste komory, przedzielone jedna od drugiéj poziomemi przegrodami; do każdéj zaś komory prowadzi okrągły otwór sztucznie przez mrówki zrobiony, służący im za wrota, a umieszczony zwykle na górnym końcu płaskiéj rynienki, która idzie wzdłuż międzywężla do podstawy najbliższego dolnego listka. Ścianka komory w miejscu, odpowiadającém owéj rynience jest cieńszą niż gdzieindziéj, dla tego téż mrówki tu właśnie wybijają sobie drzwi, do schroniska wiodące.

Powierzchownie patrzący na zjawiska natury, badacz entuzyasta, zdumiony tym szeregiem dziwnych faktów, z zapałem gotówby wykrzyknąć: co za wspaniały objaw przystosowania się rośliny do potrzeb owadu! a jako rezultat tego procesu, mógłby nawet przyjąć istnienie owych korzeni nadziemnych, dziwnego kształtu liści wspomnianych, owych wydrążeń u *Tillandsia bulbosa*, jakotéż pustych komór w pniu i gałęziach *Triplaris*. Lecz grubo omyliłby się w tém przedwczesném wnioskowaniu, gdyż osobliwości te z zupełnie innego źródła czerpią swe powstanie: gębczasta sieć nadziemnych korzeni służy do gromadzenia pożywnych cząstek ziemi (*humus*) i wilgoci, obszerne wydrążenia Tillandsii stanowi rodzaj cysterny, oszczędzającéj wodę na ciężkie dni suszy; co się tyczy komór Triplaris, to pochodzenie swe zawdzięczają one bardzo prostéj zasadzie mechanicznéj, dzięki któréj drzewo osiąga największą giętkość przy najoszczędniejszém zużyciu materyałów budowlanych; nareszcie owa rynienka jest rezultatem ciśnienia, jakie na ściankę komory wywiera rozwijający się w daném miejscu pączek liściowy. A więc w gruncie rzeczy nie spostrzegamy tu żadnych specyalnych przystosowań do wspólnego życia: owady, znalazłszy dogodne dla siebie siedlisko w drzewie, ulokowały się w niém tak, jakby uczyniły to samo w każdém innem, również bezpieczném miejscu.

Gdy więc wszystkie przytoczone dotąd fakta zawodzą, Schimper konstatuje wypadki, które bezwarunkowo stwierdzają cudowne, rzec można, zjawisko symbiozy między roślinami a mrówkami. Dotyczy to pospolitego w Ameryce zwrotnikowéj drzewa, należącego do grupy *Cecropia* (Brazylijczycy nazywają je „Imbauba“ lub „Embauba“). Są to twory dosyć dziwaczne. Prostopadły, trójkątnemi bliznami upstrzony pień ich spoczywa na krótkich nadziemnych

korzeniach, rozpościerając u wierzchołka nieliczne gałęzie; te ostatnie, przebiegając u podstawy w kierunku poziomym, raptownie się potem ku górze zginają tak, iż całe drzewo sprawia wrażenie olbrzymiego świecznika. Potrząsając nieco jego pniem, ujrzymy, jak zeń wypadnie dzika sfora dotkliwie kąsających mrówek; przyglądając się bliżéj, zobaczymy, że wydostają się one z maleńkich otworów, umieszczonych po jednemu w górnéj części każdego międzywężla. Pień wewnątrz pusty przypomina zupełnie to, cośmy o Triplaris mówili. A zawsze jest zamieszkiwany przez liczne mrówki, które znajdują w nim nietylko wygodne schronisko, ale i smaczny pokarm. Otóż zapłodniona samica wygryza w drzewie otwór, a gdy się przezeń wsunie do wnętrza komory, niebawem jajka kłaść tu poczyna. Tymczasem zraniona, wskutek przegryzienia, tkanka drzewna zaczyna grubieć i pęcznieć, zatykając sobą otwór wchodowy i dostarczając zarazem mrówce obfitego soczystego pokarmu. Pożerając zaś tę wypęczniałą tkankę, samica jednocześnie ułatwia swemu potomstwu ponowne wywiercenie wrót zarośniętych.

Wszystkie drzewa, w których goszczą mrówki, zupełnie zostają nietknięte, inne naodwrót, całkowicie nieraz z liści bywają ogołocone. Ztąd wniosek oczywisty, że mrówki krawczolistne szczególne zdradzają upodobanie do liści imbauby (*Cecropii*) i że inne gatunki mrówek, drzewo to zamieszkujące, w sposób bardzo energiczny bronią je od tych nieproszonych gości.

Wewnętrzne komory tego interesującego drzewa nie stanowią bynajmniéj rezultatu przystosowania się, a istnienie ich, jak nam już wiadomo, daje się sprowadzić do zupełnie innych przyczyn; natomiast owe otwory o wiele większe dla danego wypadku mają znaczenie. Przedewszystkiém stałość miejsca, w którém się zawsze pojawiają zagadkowo, na pierwszy rzut oka daje się łatwo objaśnić, gdy zbadamy nietknięte jeszcze międzywężla. Otóż tam, gdzie ma powstać przyszły otwór, spostrzegamy owalną jamkę i spuszczającą się od niéj ku dołowi płaską rynienkę (1). Pochodzenie ich łatwo sobie możemy objaśnić. Ciśnienie, jakie wywiera rozrastający się pączek liściowy, powoduje zrazu powstanie samej jamki; wskutek zaś podłużnego wzrastania (ku górze) danego międzywężla, to miejsae naciskane (jamka) usuwa się nieco ku górze, znacząc ślad drogi przebytéj ową płaską rynienką. Z czasem, gdy ciśnienie ustaje, rynienka ta się zaciera; jamka zaś jak-

(1) Ma to miejsce u znacznéj bardzo ilości roślin, szczególnie z rodzin: Rdestowatych (*Polygonaceae*) i u Bambusów.

kolwiek jéj istnienie zawisło od tych samych przyczyn, nietylko że pozostaje ale znacznie się późniéj rozszerza i zagłębia, a co dziwniejsza, w odpowiedniém miejscu na wewnętrznéj ściance komory tworzy się wgłębienie. Dzięki temu, ścianka komory w daném miejscu osiąga cienkość tak znaczną, iż mrówki, rzecz jasna, tu tylko wiercą swe otwory.

Bliższe poszukiwania anatomiczne jeszcze ciekawszy dały rezultat. Schimper wykazał, iż w tém właśnie miejscu tkanka nie zawiera wszystkich tych warstw, które się składają na utworzenie pozostałych części pnia drzewnego; szczególnie zaś daje się zauważyć brak tych słojów, któreby najbardziéj utrudniać mogły ich przewiercenie, jako to: kollenchymy, włókien łykowych, wiązek naczyniowych i wewnętrznéj tkanki rdzeniowéj. Widzimy więc tu bezwarunkowo piękny objaw przystosowania się, a prawdziwość tego wniosku daje się jeszcze dobitniéj stwierdzić następującém spostrzeżeniem. Wolne od mrówek gatunki imbauby (Schimper je znalazł w okolicach Corcovado) posiadają nieraz inne środki obronne przeciw krawczolistnym niszczycielom, tak np. niektóre mają bardzo gładki naskórek jak gdyby cieniutką warstewką wosku pociągnięty, który uniemożliwia owadom włażenie na drzewo. Te więc gatunki, w swoisty sposób zabezpieczone od wroga, nie potrzebując koniecznie pomocy mrówek, nie były zmuszone do nich się przystosować. I rzeczywiście! Brak im owéj jamki zupełnie, jakkolwiek płaska rynienka z tych samych co i poprzednio powodów i tu także istnieje, przyczém badania mikroskopowe nie wykazały tu takiego uderzającego braku elementów anatomicznych, jak w wyżéj wspomnianym wypadku.

Wobec tego wszystkiego nie ulega kwestyi, iż owa jamka jest tworem powstałym dzięki specyalnemu przystosowaniu się drzewa do owadów: rdzeń (*medulla*) łatwiejszy do rozszarpania, znaczne luki w wewnętrznéj warstwie grubościennego zdrewniałego miękkisza (*parenchyma*), skąpa zawartość wiązek naczyniowych, słaby rozrost lub nawet kompletny brak kollenchymy (*collenchyma*), nareszcie mocno ograniczona działalność miazgi (*cambium*) — są to wszystko zmiany głęboko w istotę drzewa zachodzące. Jedynie tylko zasada przystosowania się daje nam klucz do rozwiązania tych zagadkowych modyfikacyi. Lecz idźmy daléj a ciekawe jeszcze odkryjemy zjawisko. Otóż ogonki liściowe niosą na sobie brunatne, włochate narośla, niby poduszeczki, na których leżą liczne ciałka, kształtem swoim przypominające nam gruszeczki lub jajeczka. Nie są one przymocowane, lecz luźno przylegają do włosków tak, iż najlżejsze wstrząśnienie wystarcza, by je zrzucić

z owych poduszeczek na ziemię. Ciałka te są bardzo liczne u młodych, jakoteż i u starych drzew niezamieszkiwanych przez mrówki; u innych natomiast brak ich zupełnie na liściach starszych, na młodszych leży ich nie wiele i tylko listki dopiero co z pochewki wyrosłe obficie są w nie zaopatrzone. I nic dziwnego, albowiem temi ciałkami karmią się mrówki (1). Ciekawą właściwością ich jest to, że po opadnięciu (czy téż zjedzeniu) zjawia się na téj saméj poduszeczce świeży ich zapas tak, iż mniéj więcéj codzień jedna i ta sama poduszeczka coraz to nową ilość pokarmu dostarcza mieszkańcom Cecropii. Ponieważ zaś dziwne te organa rozrzucone są po drzewie całém, więc mrówki poszukując smacznego żeru, obiegają je dokoła, czuwając bez wytchnienia nad jego bezpieczeństwem.

Powstaje więc ciekawe pytanie, czy opisane organa powstały skutkiem specyalnego przygotowania się, lub czy téż na podobieństwo wydrążeń pniowych innym zupełnie przyczynom zawdzięczają swe pochodzenie. W tym celu Schimper przedsięwziął szczegółowe i dokładne badania. Przedewszystkiém wykrył on w ciałkach Müllera znaczną stosunkowo zawartość oleju, oraz białkowatéj substancyi. Jest to zjawisko, które niezwykłością swoją wprowadza w zastanowienie badawczą myśl botanika, jest bowiem rzeczą ogólnie wiadomą, iż roślina nigdy napróżno nie wydala substancyi proteinowych, że one stanowią najdrogocenniejszy rezultat jéj pracy syntetycznéj a w obiegu jéj materyi, pierwszorzędną odgrywają rolę Jedyny wyjątek stanowi wytwarzanie nasion, zarodników i rozmnóżek, więc jedynie tylko na cele reprodukcyjne roślina pozbawia się téj szacownéj substancyi. Tu zaś widzimy drugi przykład szafowania tym materyałem. Że zaś ciałka Müllera żadnéj innéj korzyści nie dostarczają imbaubie, gdyż natychmiast zjadane bywają — to cel ich oczywisty! Bliższe zbadanie historyi rozwoju opisanego organu daje pochop Schimperowi do twierdzenia, iż pierwotnie miał on prawdopodobnie na celu wydalanie wosku lub innéj jakiejś substancyi, czego setne przykłady daje nam świat roślinny, i dopiéro późniéj, dzięki przystosowaniu się do życia mrówek, tak rdzennie swą rolę zmienił.

Jak owa jamka na pniu drzewa, tak téż i ciałka Müllera nie rozwijały się na Cecropii z Cercovado, która, jak nam wiadomo, zupełnie się bez mrówek obejść potrafi. Jest to jeszcze jeden ważny dowód, iż opisane wyżéj modyfikacye wywołane zostały tylko przez wzajemną adaptacyą.

---

(1) Ponieważ Müller pierwszy zauważył ten fakt—Schimper proponuje owe ciałka nazywać „ciałkami Müllera".

Wnioski tu wyprowadzane zyskują na prawdopodobieństwie, jeżeli zważymy, iż podobne strukturalne stosunki spotykamy i u innych roślin, pod względem systematycznym stojących zdala od Cecropii.

Najciekawsze z nich są: jedna z akacyi amerykańskich (*Acacia sphaerocephala*), odkryta przez naturalistę Belt'a i t. zw. *Clerodendron fistulosum*, opisane przez znakomitego podróżnika Beccari. Dziwny ów gatunek akacyi różni się tém od pozostałych, że nadzwyczaj wielkie posiada kolce z wydrążeniem wewnątrz i ścianką stosunkowo dosyć cienką. Żyją w nich mrówki. Oczywiście kolce nie mogą tu mieć obronnego charakteru, gdyż duże ich rozmiary zbyt wiele pochłaniają materyału a wewnętrzne wydrążenie jeszcze bardziéj osłabia ich konsystencyą; małe solidne kolce innych akacyi pod tym względem bardziéj celowi swemu odpowiadają. Otwór wchodowy wykłuwają mrówki zazwyczaj w blizkości wierzchołka kolców. I tu roślina dostarcza pokarmu swym obrońcom. Słodki płyn cukrowy wydzielany zostaje w t. zw. miodnikach pozakwiatowych a materye białkowate wydalane zostają w swoistych, na wierzchołku liści znajdujących się tworach, które zdradzają wielkie podobieństwo do poduszeczek Cecropii, rozwijając w sobie ciałka, żywo przypominające nam ciałka Müllera.

Nareszcie *Clerodendron fistulosum* przedstawia niezbyt rozgałęziony pół-krzew, którego pień składa się z pustych wydętych międzywęźli, związanych pomiędzy sobą przez cieńsze solidne węzły i zwykle mrówkom służących za schronisko. I tu miejsce, mające być przedziurawionem, składa się z tkanki o wiele cieńszéj, a dolna powierzchnia liści dźwiga wzdłuż środkowego nerwu nieliczne miodniki.

Nie chcąc nużyć uwagi czytelnika, nie będziemy tu przytaczać innych jeszcze spostrzeżeń, których liczba ostatniemi laty ogromnie się powiększyła (1). Wybraliśmy kilka najbardziéj typowych przykładów, zaobserwowanych przez tak ścisłego badacza, jakim jest bezwarunkowo Schimper, a że jaskrawe rzucają one światło na interesującą nas tu kwestyą, dobitnie ją ilustrując, sądzimy, iż śmiało można na nich poprzestać.

Żywe bardzo zajęcie, jakie wywołała praca tego uczonego, szeroko omawiana w prasie naukowéj, zdaje się zapowiadać szereg nowych badań na tém polu, tak wdzięcznem dla studyów poważnych a tak doniosłém dla ogólno-biologicznéj wiedzy. *Adam Lande.*

---

(1) Cytowany w przyp. 1 K. Schumann („Einige neue Ameisenpflanzen" opisuje bardzo dokładnie dwa gatunki roślin mrówkowych *Amojona* i *Düroia hirsuta*; a na końcu swéj pracy daje obszerny spis roślin w różnym stopniu zdradzających przystosowania, które służyć mają do wspólnego z mrówkami pożycia.

ŚMIERTELNOŚĆ W PARYŻU

W CZASIE OBLĘŻENIA 1870 — 1871 ROKU.

Na podstawie dokumentów zaczerpniętych z Prefektury Sekwany, oraz dzieł i rozpraw specyalnych: pp. Legoyt („*La mortalité à Paris avant et pendant le Siège*“, w „*Journal des Economistes*“, marzec 1872 r.); Duplnet (*Des principales causes de la mortalité à Paris pendant le siège*; Paryż, 1871); Bouchardat („*Anuaire de thérapeutique pour* 1871 *et* 1872“— „*Revue des cours scientifigues*, 1870“); Dupuy („*Etudes d'hygiène militaire*“, Paryż, 1872); Sueur („*Etude sur la mortalité à Paris pendant le siège*“; Paryż, 1872.

Kwestya, którą tu poruszamy, pominięta została prawie zupełnie w dwóch już historyi oblężenia dotyczących pracach, które przed niedawnym czasem znalazły pomieszczenie w „Ateneum“. Nadto, w pierwszéj z tych prac mimochodem uczyniona wzmianka przypuszczać by pozwalała, iż straszliwe próby, narzucone w onym czasie ludności Paryskiéj, nie miały, zagadkowym a rzec by prawie można cudownym sposobem, donioślejszego wpływu na jéj zdrowie. Wniosek taki byłby całkowicie błędny. Żadna cudotwórcza interwencya nie ujawniła się, niestety, w historyi tych dni bolesnych. Oblężona stolica uległa od początku do końca naturalnemu działaniu nie mniéj naturalnych sił i żywiołów; między temi ostatniemi zaś były, oprócz kul nieprzyjacielskich, takie, których mordercza skuteczność zaznaczyć się musiała we właściwym kierunku. Skądinąd, jeżeli w innych kierunkach niedostatek dokumentów utrudnia należyte zarejestrowanie zjawisk do téj pamiętnéj epoki należących, tedy odnośnie do przedmiotu obecnie, przez nas uwzględnionego nie nastręcza się żadna podobna trudność—chyba w treściwém zestawieniu niezmiernie obfitych danych, dostarczonych przez wyżéj wskazane źródła.

Takiém jest też zadanie, które podjęliśmy, w przekonaniu iż ta strona spółczesnéj historyografii obojętną pozostawać nie może dla ogółu czytelników, których interesują odnoszące się do owéj epoki zagadnienia.

I.

Jedyną daną, której ujęcie i wprowadzenie do rachunku może być tutaj przedmiotem niejakiéj wątpliwości i niejakiego kłopotu jest, co prawda, ta, którą przyjąć wypada za podstawę wszystkich obrachowań: ogólna cyfra ludności oblężonéj. Tablice śmiertelności, układane w prefekturze z dokładnością, któréj podejrzywać nie mamy powodu, przechowały się, ale do jakiéj liczby żyjących odnoszą się one? Podejrzany charakter spisów ludnościowych, sporządzonych w téj epoce, zaznaczony już został na tém miejscu, wraz z przyczynami, które wpłynęły na ich niedokładność. Po rozważnéni uwzględnieniu wszystkich rozporządzalnych w téj materyi świadectw i wskazówek, skłaniamy się osobiście do wniosku, iż cyfra 2,000,000 głów, przyjęta w ostatniéj wskazanéj w nagłówku pracy, ma za sobą dużo prawdopodobieństwa. Pozostaje nam wszelako jeszcze do unormowania w téj cyfrze stosunek płci i wieków, na którym odbić się musiała także wyjątkowość okoliczności. Co do liczby kobiét zamkniętych w murach stolicy, statystyka municypalna zdaje się dostarczać nam wymownéj wskazówki: w cyfrze dzieci urodzonych od 1 września 1870 r. do 1 marca 1871 r. Trafiamy tu wszelako na zjawisko, które od razu zbija nas z tropu. Cyfra ta, która w odnośnym peryodzie 1868—69 wyniosła 27,255 narodzin, a w następnym 1869—1870 27,469, podskakuje nagle w interesującym nas okresie do 28,484! Jak wytłómaczyć tę podwyżkę? Gdybyśmy podług niéj ustosunkować chcieli z zupełną absolutnością liczbę głów niewieścich, liczba ta wywracała by wszystkie dawniejsze nasze przypuszczenia odnośnie do ogólnego ruchu ludności w tym czasie. Ale mamy znowu do uwzględnienia tę okoliczność, że kobiéty, które opuściły miasto przed oblężeniem należały przeważnie do klasy zamożniejszéj, a więc do téj, która najmniéj daje dzieci; zastąpione zaś zostały kontyngensem należącym przeciwnie do warstw najpłodniejszych. Tym sposobem prawdopodobném zdaje się nam to, że cyfra kobiét pozostała w murach oblężonego miasta mniéj więcéj taką jaką była przed oblężeniem.

Inaczéj z płcią męzką; tu bowiem mamy do czynienia z danemi więcéj stanowczemi: wiemy, iż przed oblężeniem ubyć musiało z miejskiéj ludności około 75,000 mężczyzn, w wieku od 20 do 27 lat, których powołały do szeregu armie w polu działające. Weszło następnie do miasta 190,000 ludzi pod bronią, ale był to przeważnie żołnierz nierównie starszy.

W ostatecznéj tedy analizie tych wszystkich danych, przyjmujemy jako hypotezę możliwie przybliżoną do rzeczywistości to, że

było w murach miasta 2,000,000 głów, to jest o 100,000 więcéj nad normalną cyfrę; przewyżkę zaś utworzyli mężczyzni w wieku od 20 do 40 lat.

Przystępując wszelako do badania, na téj podstawie, ogólnego ruchu śmiertelności w interesującéj nas epoce, mniemamy, iż wykroczyć powinniśmy po za granicę samego oblężenia, aby zdać sobie sprawę z całego postępu i rozwoju zjawisk do tegoż ruchu należących. Tym końcem obieramy za przedmiot naszych obliczeń i spostrzeżeń okres, ograniczony dwoma datami historycznemi: 4 września 1870 i 18 marca 1871 r. Dla uzyskania zaś danych porównawczych, przedstawiających należytą ścisłość, zestawiamy z tym sześciomiesięcznym okresem idealnym, że się tak wyrazimy, okres normalny, osiągnięty za pomocą przeciętnéj wyprowadzanéj z cyfr należących, w odpowiadającym peryodzie czasu, do lat 1866—1872 (z pominięciem, ma się rozumiéć, okresu 1870—1871), to jest do epoki, w któréj mordercza działalność wyjątkowych czynników, wprowadzonych w grę przez oblężenie, nie ujawniała się jeszcze lub ujawniać się przestała.

Zapytajmy teraz, jakiemi były te czynniki i któremu z nich główną przypisać należy rolę? Na pierwszy rzut oka zdawać się może, jakoby upominała się o nią straszna zmiana, którą stopniowo ale i tak dość szybko zaprowadziło oblężenie w odżywianiu się ludności stołecznéj, i to pod podwójnym względem jakościowym i ilościowym. Aby wyrobić sobie należyte wyobrażenie o doniosłości téj zmiany, wziąć należy pod uwagę nie już tylko przyzwyczajenia téjże ludności, ale tę nawet ilość i jakość pokarmu, która powszechnie uznana została za niezbędne *minimum* dla utrzymania przy siłach i zdrowiu dorosłego człowieka. Żołnierz francuski, w polu będąc, otrzymuje dziennie: 735 gramów sucharów; 300 gr. mięsa świeżego, albo 250 gr. mięsa solonego, albo 200 gr. słoniny; 30 do 60 gr. ryżu albo jarzyn suchych; 16 gr. soli; 21 gr. cukru; 16 gr. kawy; 25 centylitrów wina, albo 6 centylitrów wódki. Żołnierz pruski: 957 gr. chleba albo 462 gr. sucharów; 244 gr. mięsa świeżego i 330 solonego; 99 gr. ryżu albo 115,5 gr. séra; 1 kilogr. 584 gr. kartofli, albo 244 gr. grochu itd. Żołnierz angielski: 924 gr. chleba; 396 gr. mięsa, itd. Żołnierz amerykański: 700 gr. chleba; 625 gr. mięsa świeżego; 375 gr. wieprzowiny itd. Rozbierając te rozmaite systematy alimentacyjne, znany fizyolog, Payen, zaleca jako normalną minimalną racyę dzienną: 1,000 gr. chleba, 286 gr. mięsa, z dodatkami zawierającemi 130 gr. materyi azotowych i 331 gr. materyi węglowych. Zważmy teraz, do czego pod tym względem przyszli mieszkańcy oblężonego Paryża. Racye dzienne mięsa najpierw, ograniczone

w dniu 8 października do 100 gr. dla osób dorosłych i 50 gr. dla dzieci, zeszły stopniowo do 85, 80, 70, 50 i wreszcie 33 gr. w ciągu kilku tygodni, które poprzedziły kapitulacyą. Chléb doczekał się podziału na racye dopiero 19 grudnia, ale już pierwéj konsumcya dzienna nie przenosiła 400 gr. na głowę mieszkańca. Po dniu 19 grudnia wynosiła ona 300 gr. dla osób dorosłych i 150 gr. dla dzieci (niżéj 5 lat). Jakim zaś był ten chléb?

„Oprócz mączki kartoflanéj, pisze profesor Bouchardat, wszystkie gatunki zboża, pszenica, żyto, ryż, jęczmień, owies wchodziły do jego składu. Ziarna te, bardzo powierzchownie zmielone, wydawały mąkę zaledwie przepuszczoną przez pytel, w któréj okruchy otrąb i słomy ukazywały się rozsiane w niewielkiéj ilości mąki. Trafiały się i odpadki żelaza z niedokładności używanych narzędzi wynikające, albo znowu całkowite ziarna nasion warzywnych. Chléb sprzedawany w dzielnicy St.-Antoine, czarny był jak atrament. Przy końcu oblężenia to, co sprzedawano w piekarniach pod tą nazwą, było tak twarde i cierpkie w smaku, że, mimo żywego apetytu, spożycie wymierzonéj ilości przedstawiało trudność. Spożywałem sam moję porcyą pod postacią zupy na oleju rzepakowym z 30 gramami mięsa końskiego... “

Na osobną wzmiankę zasługuje niedostatek mléka; odbił się on bowiem w charakterystyczny sposób na śmiertelności małych dzieci. Pod datą 28 listopada Paryż ograniczony został do 50 albo 60 litrów dziennego udoju, rozdzielanego między dzieci i starców w 20 okręgach stołecznych!

Ryb, w które zwyczajnie nawet nie obfituje Sekwana, zabrakło wkrótce; séry znikły bardzo szybko także; jaja doszły do ceny 3 fr. za sztukę; na targach warzywnych sprzedawano połówki marchwi. Jedna sól, któréj brak dał się najdotkliwiéj we znaki armii w Metz oblężonéj, pozostała na szczęście w dostatecznéj ilości.

Nietylko przeto głodził się oblężony Paryż, ale i truł się dostarczaną sobie nieodpowiednią strawą. Jednocześnie zaś marzł także—i to nie za jedną sprawą temperatury, która w ciągu téj pamiętnéj zimy odznaczyła się wyjątkową w stołecznym klimacie surowością. Marzł dla tego najpierw właśnie, że był głodnym, dla tego że, jak słusznie się wyraża p. Bouchardat, „człowiek broni się od zimna głównie ilością ciepła, którą sam wytwarza“, a która zawisła od ilości i jakości pożywienia. Marzł następnie dla braku opału. który razem z resztą wyczerpał się i uległ racyonowaniu. Marzł jeszcze w ciągu długich godzin spędzonych u drzwi sklepów rzeźniczych, piekarni i samych składów drzewa, zaopatrzonych w zielone wiązki gałęzi, dające więcéj dymu niż ciepła. Marzł na wałach

i nocnych posterunkach, niedostatecznie najczęściéj odziany a zawsze głodny. Jednocześnie zaś niepokoił się, irytował się, przechodził przez nieprzerywający się szereg gwałtownych wzruszeń, od boleści wywołanéj pierwszemi niepowodzeniami oręża francuskiego, do paniki sprowadzonéj bombardowaniem i rozpaczy, w którą rzuciła go kapitulacya.

Wpływ tych moralnych czynników nie da się oczywiście oznaczyć ze ścisłością, ale rozgorączkowanie, będące ich następstwem, musiało mieć swój udział w dokonaném dziele zniszczenia.

Nie chcemy zapominać o morderczém współpracownictwie kul i granatów niemieckich. Z jednéj wszelako strony cyfry, które niebawem przedstawimy, wskazują iż współpracownik ten pozostał stosunkowo najmniéj czynnym; z drugiéj zaś strony tablice śmiertelności, któremi rozporządzamy, zawierają jedynie liczbę tych żołnierzy, którzy umarli z otrzymanych ran w ambulansach miejskich, z pominięciem tych, którzy, padłszy w polu, pogrzebani zostali na placu.

Przypatrzmy się teraz ponuréj robocie, o któréj mowa. Podzieliwszy sześciomiesięczny okres, od d. 4 września 1870 do d. 18 marca 1871 na 28 tygodni, znajdujemy cyfy następujące.

Śmiertelność.

						w sześciomiesięcznym okresie oblężenia	w przeciętnym okresie porównawczym
			od	4	września		
przed oblężen.	1	tydzień	do	11	„	981	889
	2	„	„	18	„	1,263	852
	3	„	„	25	„	1,272	821
oblężenie	4	„	„	2	paździer.	1,344	766
	5	„	„	9	„	1,483	754
	6	„	„	16	„	1,610	737
	7	„	„	23	„	1,746	761
	8	„	„	30	„	1,878	754
	9	„	„	6	listopada	1,762	767
	10	„	„	13	„	1,885	781
	11	„	„	20	„	2,064	780
	12	„	„	27	„	1,927	793
	13	„	„	4	grudnia	2,023	833
	14	„	„	11	„	2,455	833
	15	„	„	18	„	2,728	884
	16	„	„	25	„	2,728	854
	17	„	„	1	stycznia	3,280	856
	18	„	„	7	„	3,680	838
	19	„	„	14	„	3,982	902
	20	„	„	21	„	4,465	903

	w sześciomiesięcznym okresie oblężenia	w przeciętnym okresie porównawczym
21 tydzień do 28 stycznia	4,376	936
22 „ „ 4 lutego	4,671	951
23 „ „ 11 „	4,451	955
24 „ „ 18 „	4,103	974
25 „ „ 25 „	3,941	995
26 „ „ 4 marca	3,500	984
27 „ „ 11 „	2,993	1,020
28 „ „ 17 „	2,576	975
	76,167	24,928

(zawieszenie broni)

A więc przeszło 51,000 ofiar, z ogólnym mnożnikiem śmiertelności, wynoszącym (przy cyfrze 2,000,000 głów, którą przypuszczamy) 0,0380, zamiast cyfry normalnéj 0,0131, co daje 380 wypadków śmierci na 10,000 osób, zamiast 131 stanowiących normalny procent—oto dzieło oblężenia. Rozpatrując się w szczegółach tego strasznego obrazu, spostrzegamy najpierw trzy wyraźnie odznaczające się kierunki ruchu postępowego i wstecznego cyfr do jego składu wchodzących. Od d. 4 września aż do tygodnia, objętego datami 27 listopada i 4 grudnia, ruch postępowy okazuje się stosunkowo dość powolnym, osiągając stopniowo cyfrę 2,000, okrągło, wypadków śmierci. Tu potęguje się nagle i gwałtownemi etapami zdąża aż do przerażającéj cyfry 4,671, w tygodniu następującym po zawieszeniu broni. Poczém słabnie znowu z równą szybkością, wracając przed 18 marca do cyfry 2,600. Od jakich wpływów zawisły te zwroty? Ograniczenie „racyi" mięsnych do 100 gr. w dniu 8 października odpowiada szybszemu ruchowi naprzód; tak samo rekwizycya drzewa opałowego w d. 30 października i kartofli w d. 21 listopada. Trzydziesto-gramowe „racye" mięsne i trzysto-gramowe „racye" chleba przypadają na koniec pierwszego z trzech strasznych miesięcy, w których blade widmo pomoru sunie krokami olbrzyma. Ścisłego wszelako związku między zestawionemi w ten sposób faktami i zjawiskami dopatrzyć trudno. Ale pozostaje nam do uwzględnienia jeden jeszcze z pomiędzy niszczących żywiołów, których działaniu podległa dziesiątkowana ludność: temperatura. I tu łączność zjawisk staje się uderzająca. Posiadamy, dzięki wskazówkom, których udzieliło nam obserwatoryum paryskie, średnią temperaturę każdego dnia między datami 4 września i 18 marca (1).

(1) Temperatury średnie niektórych dni, a mianowicie 16, 17, 18 i 19 września, oraz 10 października nie zostały zarejestrowane ani przez obserwatoryum paryskie ani przez obserwatoryum w Montsouris. Zastąpiliśmy je danemi, których dostarczyły nam obserwacye d-ra Berigny, w Wersalu czynione.

Owóż jak przedstawia się ona w zestawieniu z cyfrą każdotygodniowéj śmiertelności:

	Śmiertelność	Średnia temperatura w centygradach		Śmiertelność	Średnia temperatura w centygradach
1 tydzień	981	+ 15,6	15 tydzień	2,728	+ 5,6
2 „	1.263	+ 13,2	16 „	2,728	— 3,5
3 „	1,272	+ 13,2	17 „	3,280	— 6
4 „	1,344	+ 14,4	18 „	3,680	— 4,9
5 „	1,483	+ 12,2	19 „	3,982	— 2,04
6 „	1,610	+ 11,05	20 „	4,465	+ 2,1
7 „	1,746	+ 10,5	21 „	4,376	+ 1,1
8 „	1,878	+ 10,4	22 „	4,671	+ 2,3
9 „	1,762	+ 7,6	23 „	4,451	+ 6,6
10 „	1,885	+ 3,2	24 „	4,103	+ 4,8
11 „	2,064	+ 5,7	25 „	3,941	+ 6,1
12 „	1,927	+ 9,07	26 „	3,500	+ 8,5
13 „	2,023	+ 3,05	27 „	2,993	+ 9,3
14 „	2,455	— 1,8	28 „	2,576	+ 6,4

Od d. 4 września tedy do d. 1 listopada temperatura waha się między +15 a +10 stopni, i śmiertelność nie przenosi 1,900 osób tygodniowo; schodzi nawet, między d. 30 października a d. 6 listopada do 1,762. Począwszy od d. 31 października, temperatura spada aż do +1°,1 w dniu 10 listopada, (notujemy tu cyfry, które posłużyły nam do wyprowadzenia średnich temperatur tygodniowych), i natychmiast, w tygodniu następnym, od d. 13 do d. 20 listopada, śmiertelność podnosi się do 2,064.

Zaznaczamy iż, łatwym do zrozumienia sposobem, wpływ temperatury, tak jak i innych morderczych czynników, a nawet samych kul rany sprowadzających, jest rzadko natychmiastowym; odbija się najpospoliciéj na śmiertelności tych dopiero dni, które następują w daném podwyższeniu się np. lub spadku termometru.

Między d. 10 a 23 listopada termometr wykazuje podwyżkę, przechodząc od +1°,1 do +10°,5, i śmiertelność schodzi w następującym tygodniowym okresie z 2,064 do 1,927. Tu dopiero zjawia się nagły skok naprzód tygodniowych wykazów i szybkie ich posuwanie się ku maksymalnym cyfrom, osiągniętym w pierwszych dniach lutego. Otóż teraz właśnie temperatura przechodzi z odpowiadającą akuratnie gwałtownością, od +10°,5 w d. 23 listopada do— 2°,9 w dniu 2 grudnia. W trzeciéj części tego postępowego ruchu widać chwilową przerwę: w miejscu stałéj z jednego tygodnia na drugi, a 400 do 500 ofiar obejmującéj podwyżki, cyfra 2,728 utrzymuje się między datami 18 i 25 grudnia. Owóż właśnie znowu między d. 11 a 14 grudnia temperatura przechodzi z —4°,8 do +12°, i utrzymuje się na téj wysokości przez całe 6 dni, wahając się między +12° a +7°,3.

Nie może być chyba wątpliwości co do rzeczywistego związku zachodzącego między schodzącemi się w ten sposób zjawiskami.

W ciągu pięciu następnych dni, termometr spada ciągle, aż do —9°,4 dnia 24 grudnia, w którym to dniu trafia się także najniższa m i n i m a l n a temperatura zarejestrowana w téj epoce: —11,2. W stosunku do średniéj temperatury poprzedzających tygodni jest to przeskok 16°,8 wynoszący. I natychmiast téż śmiertelność wraca do przerwanego chwilowo postępowego ruchu, przenosi o 552, między d. 25 grudnia a 1 stycznia, cyfrę w poprzedzającym tygodniu zapisaną, i dochodzi do 3.280. Zimno utrzymuje się przez 15 dni. Dnia 7 stycznia zjawia się podwyżka (termometr pokazuje +3,4), ale zbyt chwilowa, aby miéć mogła wpływ donioślejszy. Dopiero z d. 15 na 16 tegoż miesiąca przechodzi termometr, w ciągu 24 godzin, z —6°,6 do +3°,7; sięga w dniu następnym +4°,3, i utrzymuje się nad zerem, między +4° a +2° przez całe 10 dni, od d. 16 do d. 26 stycznia. Cóż dzieje się ze śmiertelnością w tym czasie? Jest to czas odpowiadający 21-mu tygodniowi w zamieszczonéj wyżéj tablicy, a więc tygodniowi, w którym właśnie postępowy ruch ulega nowéj przerwie, schodząc z 4,465 do 4,376 przed osiągnięciem swego maksymalnego kresu. D. 27 stycznia odnajdujemy temperaturę na nizkim poziomie —4°,5, i zaraz téż w ciągu siedmiu dni następnych, śmiertelność sięga pamiętnéj cyfry 4,671, zamiast 951 wypadków stanowiących normalną, przeciętną cyfrę. Następuje potém szybki ruch w odwrotnym kierunku, ale téż i temperatura podnosi się równomiernie, przechodząc, między d. 27 stycznia a d. 8 lutego, z —4°,5 do +10°; jeżeli zaś spada znowu w dniach 11 i 12 lutego do —1°1 i —0°,9, to aby wrócić natychmiast do +6° i przedstawić nam szereg oscylacyi, których kresem jest +12°,5.

Czy jednak twierdzić chcemy na podstawie tych danych, iż zimno było jedynym wynikiem, od którego mniéj lub więcéj spotęgowanéj działalności zależnym stał się w téj epoce stan zdrowia publicznego pośród zamkniętéj w Paryżu ludności? Nie, zaiste, ale mniemamy, iż odgrywało ono, pośród innych, energiczniéj jeszcze może działających żywiołów, rolę regulatora, i zdaje się nam, że przedstawione wyżéj czytelnikowi wskazówki nie dopuszczają innego domysłu. Mniemamy, iż większość osób, przebywających narzucone oblężeniem próby, znajdowała się w tym stanie chorobliwego przysposobienia, który w specyalnéj terminologii francuskiéj zwie się *imminence morbide*, a któremu p. Bouchardat daje zastosowaną bliżéj do okoliczności nazwę „n ę d z y f i z y o l o g i c z n é j“ (*misère physiologique*), w tym zaś stanie zimno stawało się kroplą wody sprowadzającą przepełnienie.

II.

Przystępujemy teraz do rozgatunkowania ustanowionego wyżéj bilansu śmiertelności, spowodowanéj oblężeniem, podług wieku, płci i chorób. Zaczynamy od wieku w tym celu powziąć nam wypada najpierw wyobrażenie, jak się normalnie ludność stołeczna co do wieku dzieli. Posługując się w tym względzie danemi, których dostarcza nam urzędowa statystyka, dochodzimy do następujących rezultatów. Na 1,000 mieszkańców znajduje się:

	we Francyi	w Paryżu	Różnica z prowincyą
w wieku od 0 — 5 lat	98	63	—0,035
„ „ 5 — 15 „	172	126	—0,046
„ „ 15 — 25 „	168	188	+0,020
„ „ 25 — 40 „	223	316	+0,093
„ „ 40 — 60 „	228	233	+0,005
„ „ 60 — X „	111	74	—0,041

Znaczna różnica w liczbie dzieci między Paryżem a prowincyą tłomaczy się przez tę okoliczność, iż spory procent nowo-narodzonych wśród klasy uboższéj wysyłany bywa stale ze stolicy na prowincyę, *en nourrice*, podług utartego wyrażenia. Liczba starców okazuje się także dość szczupłą stosunkowo w Paryżu, co znowu jest następstwem z jednéj strony większéj śmiertelności w téj kategoryi, z drugiéj strony, i głównie téj okoliczności, iż urodzeni na prowincyi mieszkańcy stolicy, doszedłszy do pewnego wieku, wracają chętnie na miejsce urodzenia. Co się tyczy znowu znacznéj przewyżki w mieszkańcach od 25 do 40 lat, którą wykazuje statystyka stołeczna, ta ma bardzo naturalną przyczynę w tym ciągłym napływie ludzi szukających zajęcia, a będących pospolicie w sile wieku, których ściąga każde wielkie ognisko społecznego ruchu.

W normalnéj śmiertelności tych sześciu grup od 0 do X lat zachodzą także znaczne różnice między Paryżem a prowincyą. Biorąc ogółem w rachubę cyfry urzędowych statystyk, dochodzimy, do tego, że na 100,000 mieszkańców, umiéra rocznie:

	we Francyi	w Paryżu
od 0 — 5 lat	786	812
„ 5 — 15 „	116	85
„ 15 — 25 „	145	233
„ 25 — 40 „	219	426
„ 40 — 60 „	362	515
„ 60 — X „	798	549
	2,426	2,620

Ale cyfry te nie wykazują nam jeszcze normalnego procentu śmiertelności w każdéj grupie. Zestawiając je dopiéro z cyfrą ludnościowego kontyngensu, należącego do każdéj grupy, zaspokoić możemy w tym względzie naszą ciekawość. Tą drogą zaś osiągamy rezultat całkiem odmienny; znajdujemy bowiem że, na 1,000 mieszkańców, umiera rocznie:

	we Francyi	w Paryżu	Różnica mnożników
od 0 — 5 lat	80	129	0,049
„ 5 — 15 „	6	6	0,000
„ 15 — 25 „	8	12	0,004
„ 25 — 40 „	9	13	0,004
„ 40 — 60 „	15	22	0,007
„ 60 — X „	71	73	0,002

Jeżeli przeto w wieku od od 5 do 15 lat mniéj jest umiérających w Paryżu niż na prowincyi, to dla tego tylko, że mniéj jest w stolicy mieszkańców, do tego wieku należących. Tak samo z umiérającymi w wieku od 60 do X lat, których o g ó ł e m mniéj jest w Paryżu, a s t o s u n k o w o — więcéj.

Zobaczymy teraz co się z cyframi temi dzieje w sześciomiesięcznym okresie oblężenia. Dla uzyskania danych porównawczych, obieramy sześciomiesięczny okres w latach 1868 – 1869, jako taki, w którym nie było żadnych wyjątkowych i na normalną śmiertelność wpłynąć mogących okoliczności, żadnéj epidemii i żadnego powodu błędu w wykazach statystycznych. Otóż zestawienie dwóch tych okresów wykazuje, że o d d n i a 1 w r z e ś n i a d o d. 28 l u t e g o umarło w Paryżu:

	W okresie oblężenia	W odpowiednim okresie 68—69	Stosunek
w wieku od 0 do 5 lat	19,016	6,525	2,91
„ „ 5 — 15 „	2,342	715	3,27
„ „ 15 — 25 „	10,760	1,694	6,35
„ „ 25 — 40 „	11.554	3,527	3,27
„ „ 40 — 60 „	10,732	4.500	2,38
„ „ 60 — X „	13,548	5,019	2.69

Zastanawiając się nad temi cyframi, zauważyć najpierw musimy, że potrojona liczba ofiar w wieku od 0 do 5 lat nie może być bezwzględnie przypisana wpływowi zabójczych żywiołów, działających w czasie oblężenia. Wspomnieliśmy już o tém, że znaczny procent dzieci przychodzących na świat w Paryżu, w normalnym czasie, opuszcza natychmiast stolicę. Podług p. Husson, członka akademii medycznéj, procent ten wynosi w latach 1860 — 65 do 18,000 rocznie na 53,335 nowo-narodzonych. Trzymając się téj

danéj, przychodzimy do wniosku, że z liczby 27,255 dzieci, urodzonych w sześciomiesięcznym okresie 1868—69, zostało się w stolicy tylko 18,255 i do téj to ostatniéj liczby stosuje się cyfra 6,525 wypadków śmierci wyżéj zarejestrowana. Gdyby więc te 9,000 dzieci, które opuściły miasto, były zostały w jego obrębie, cyfra 6,525 byłaby się wzmogła liczbą wypadków śmierci w wieku od 0 dni do 6 miesięcy. Owóż ta liczba, którą obrachować możemy w przybliżeniu, wynosi mniéj więcéj 970; dodawszy ją zaś do 6,525 otrzymujemy cyfrę 7,495, która przedstawia tę liczbę dzieci, jaka byłaby umarła rzeczywiście w Paryżu w sześciomiesięcznym okresie 68/69 r., gdyby żadne dziecko nie było dostało się na prowincyą w tym czasie. Owóż jeszcze hypoteza to, która właśnie urzeczywistniona została w epoce oblężenia: to co urodziło się w Paryżu, od dnia 18 września 1870 r. do d. 28 stycznia 1871 r., i prawdopodobnie dłużéj, zostało w Paryżu. Tym sposobem narzuca się ostatecznie wniosek, że z ogólnéj liczby 19,016 wypadków śmierci w wieku do 5 lat, przypadającéj na czas oblężenia, cyfra 12,521 nie zaś 13,491, odpowiada rzeczywistéj przewyżce dziecinnéj śmiertelności i daje się przypisać cierpieniom przez oblężenie spowodowanym, a w szczególności temperaturze i niedostatkowi mleka.

Z innych grup na szczególną uwagę zasługują dwie średnie, przedstawiające w wieku od 15 do 25 lat podwyżkę śmiertelności od 1 do 6,35, w wieku od 25 do 40 lat nierównie mniejszą, ale zawsze znaczną od 1 do 3,27. Miało się tu ochotę do tłumaczenia tego zjawiska powiększeniem się liczby mieszkańców miasta w tych dwóch grupach. Przypuszczenie to wszelako spotyka się z poważnym argumentem *contra*. Cyfry, któreśmy wyżéj podali, przedstawiają ogólny wypadek śmiertelności w epoce oblężenia; owóż śmiertelność ta nie była jednostajna od początku do końca oblężenia w żadnéj grupie. Badając szczegółowo jéj ruch i zwroty rozmaite, znajdujemy, że np. w grupie od 40 do 60 lat koniec oblężenia dopiéro sprowadził gwałtowniejsze przerzadzanie się szeregów, co zapewne położyć wypada na karb wycieńczenia, sprowadzonego pomiędzy starcami szeregiem prób przebytych. I tak zaś przewyżka śmiertelności, w téj ostatniéj grupie powstała, stosunkowo jest najmniejsza. Co się zaś tyczy mężczyzn i kobiet od 25 do 40 lat, widzimy, iż na początku oblężenia nie umiéra ich stosunkowo więcéj niż w innych grupach. I tu przy końcu dopiéro sześciomiesięcznego okresu zjawiają się grube cyfry, które tworzą przewyżkę zaznaczoną w ogólnym bilansie. Oto zresztą dane, do których doszliśmy w tym względzie:

Śmiertelność	od 0 do 5	5—15	15—25	25—40	40—60	60—X lat
We wrześniu 68 r.	1,191	110	295	544	629	647
„ wrześniu 70	1,503	236	527	966	951	1,029
„ październ.	2,259	248	931	1,441	1,238	1,275
„ listopadzie	2,402	294	1,033	1,586	1,511	1,372
„ grudniu	3,521	418	2,157	2,140	1,806	2,244
„ styczniu 71 r.	4,748	580	3,434	2,959	2,740	4,261
„ lutym	4,583	566	2,678	2,462	2,486	3,367

Dodajmy, że we wrześniu, październiku i listopadzie grasowała epidemia ospy, która podług sprawozdań lekarskich, dotknęła głównie nie ów średni kontyngens mieszkańców od 15 do 40 lat. Dodajmy jeszcze, że jak to później zobaczymy, przewyżkę śmiertelności w téj grupie utworzyła liczba wypadków śmierci w płci męskiéj. Co wszystko uwzględniwszy, stawiamy jako pewnik, że zaznaczony na wstępie anormalny napływ do murów oblężonego miasta męskiego kontyngensu w wieku od 20 do 40 lat, tłómaczy do pewnego stopnia przewyżkę, o którą chodzi, ale nie tłómaczy jéj dostatecznie, że biorąc nawet w rachubę przewrócony tym napływem wśród miejskiéj ludności stosunek normalny płci i wieków, umarło proporcyonalnie więcéj mężczyzn w wieku od 15 do 40 lat, niż innych mieszkańców, i że przeto właściwa przyczyna tego zjawiska musi tkwić gdzieindziéj. Najprawdopodobniéj szukać jéj należy w służbie wojskowéj i w tych licznych zabójczych żywiołach, których działaniu podlegają pełniący ją ludzie nietylko za sprawą kul nieprzyjacielskich, ale wskutek przeziębienia, zmęczenia, niedosypiania, złéj strawy i t. d. Niedostatek snu mianowicie należy, w naszém przekonaniu, do przyczyn najzgubniéj oddziaływających w téj sferze, choć najmniéj uwzględnianych. Pospolity żołnierz spoczywa dwie nocy zaledwie na trzy. Dodajmy, że najczęściéj spoczywa zimową porą pod nakryciem, wcale niewystarczającém dla osłonięcia go od zimna, i to jeszcze, że w powszechnie przyjętéj praktyce, żołnierz, który ma przespać nadchodzącą noc i ten, który ma czuwać na wietrze i słocie jedzą o téj saméj porze i z tego samego kotła. Żołnierz czuwający rozgrzewa się wprawdzie na nocnym swoim posterunku kawą i wódką, które ma sobie dostarczone; są to wszelako paliatywy niedostateczne albo zgoła szkodliwe. Wnioski nasze w tym względzie stwierdzają się jeszcze w świetle tych wskazówek, których dostarcza rozgatunkowanie badanéj przez nas śmiertelności podług płci.

III.

Nader błędnemi są pojęcia rozpowszechnione i powagą dzieł specyalnych poparte, o normalnym stosunku zachodzącym w lu-

dności, nietylko francuskiéj ale i ogólno-światowéj, między dwoma płciami. „Wszędzie i zawsze, pisze p. Moreau de Jonnès („*Elements de statistique*“, s. 309) kobiety przewyższają liczebnie mężczyzn... W wielkich miastach przewyżka ta jest znaczniejszą, sięgając w Paryżu 1/7“. Spis ludności dokonany we Francyi w 1866 r. prowadzi do wręcz przeciwnych konkluzyi. Wykazuje on we Francyi na 100,000 mieszkańców, 50,006 mężczyzn a 49.994 kobiet; w Paryżu 50,900 mężczyzn a 49,100 kobiet. Przy uwzględnieniu różnic wieku, stosunek ten przedstawia się jak następuje:

Na 1,000 mieszkańców jest

	we Francyi			w Paryżu		
		z których męż.	kobiet		z których męż.	kobiet
Od 0 do 5 lat	97	49	48	61	30	31
„ 5 — 15 „	175	89	86	125	63	62
„ 15 — 25 „	167	83	84	191	103	88
„ 25 — 40 „	222	112	110	316	161	155
„ 40 — 60 „	228	115	113	233	121	112
„ 60 — X „	111	53	58	74	33	41
	1,000	501	499	1,000	511	489

Co się tyczy śmiertelności normalnéj w obu płciach, to posiadane przez nas cyfry statystyczne pozwalają ustosunkować w następujący znowu sposób:

Umiéra rocznie:

	we Francyi		w Paryżu	
	na 1,000 męż.,	na 1,000 kobiet	na 1,000 męż.	na 1,000 kobiet
Od 0 do 5 lat	84	76	136	122
„ 5 — 15 „	6	6	6	7
„ 15 — 25 „	8	8	11	12
„ 25 — 40 „	9	10	13	13
„ 40 — 60 „	17	14	24	19
„ 60 — X „	70	71	76	71

Nie jesteśmy, na nieszczęście, w możności poddania równie szczegółowéj analizie wyjątkowéj śmiertelności paryskiéj z epoki oblężenia. Brakuje nam bowiem, jak o tém uczyniliśmy już wzmiankę, dokładnéj informacyi o różnicy, jaką wypadki wojenne sprowadzić musiały w składzie ludności stołecznéj. Wiemy ile umarło mężczyzn i kobiet, ale nie wiemy, z zupełną pewnością, ile było mężczyzn a ile kobiet. Drogą przypuszczeń tylko doszliśmy do wniosku, iż liczba tych ostatnich nie uległa donioślejszéj zmianie, podczas gdy męski kontyngens powiększył się, w przybliżeniu, o 100,000 głów. Musimy wszelako poprzestać na téj danéj, i musimy także ograniczyć się na zestawieniu tego, co nam jest wiadome o ruchu śmiertelności w obu płciach podczas oblężenia, z odpowiedniemi danemi, należącemi do okresu porównawczego 1868—

1869. Otóż znajdujemy, że zmarło od dnia 1 września do d. 28 lutego:

	w sześciomiesięcznym okresie oblężenia		w okresie porównawczym 1868—1869	
	mężczyzn	kobiet	mężczyzn	kobiet
Od 0 — 5 lat	9,975	9,041	3,453	3,072
„ 5 — 15 „	1,127	1,215	378	331
„ 15 — 25 „	8,242	2,518	812	883
„ 25 — 40 „	7,076	4,478	1,741	1,786
„ 40 — 60 „	6,435	4,297	2,606	1,887
„ 60 — X „	6,265	7,283	2,343	2,683
	39,120	28,832	11,333	10,642

Przy rozpatrywaniu tych cyfr, uderza nas najpierw różnica, jaka uwydatnia się między dwoma płciami nietylko w ogólnym wzroście śmiertelności spowodowanym przez oblężenie, ale w stosunku tegoż wzrostu do rozmaitych wieków. Widzimy mianowicie, że u kobiet ten stosunek pozostaje jednostajnym mniéj więcéj we wszystkich wiekach. Umarło blisko trzy razy tyle kobiét podczas oblężenia, ile ich umarło w okresie 1868—1869, ale tak samo w młodszym jak i w starszym wieku. Inaczéj zgoła z płcią męzką. W czterech grupach: od 0 do 5 i od 40 do X lat stosunek między śmiertelnością dwóch okresów, przedstawia tę samą jednostajność i tę samą nawet liczebną wartość co u płci żeńskiéj, dając się wyrazić w przybliżeniu przez 2,50. Ale w dwóch pozostających grupach symetryczność ta ulega zupełnemu przewrotowi: w grupie od 15 do 25 lat stosunek, o którym mowa, wynosi 10,1; w grupie od 25 do 40 lat schodzi do 4,04. Czyli, że w pierwszéj z dwóch tych kategoryi umarło przeszło d z i e s i ę ć, w drugiéj zaś przeszło cztery razy więcéj mężczyzn. Przypuszczając zaś nawet, co zresztą zdaje się dość prawdopodobném, że wzrost ludności męskiéj w wieku od 15 do 40 lat, 100,000 głów w przybliżeniu wynoszący podczas oblężenia rozłożył się równomiernie w obu kategoryach, znajdujemy jeszcze, szukając absolutnego mnożnika śmiertelności, w pierwszéj kategoryi: 0,035 zamiast 0,005, w drugiéj 0,019 zamiast 0,006. Czyli że w pierwszéj umarło w przybliżeniu siedm razy więcéj mężczyzn na tysiąc głów, w drugiéj przeszło trzy razy więcéj.

Nie dość na tém; uwzględniając z kolei rozmaite epoki oblężenia, widzimy, że u płci żeńskiéj postęp rozwijającéj się stopniowo śmiertelności, pozostaje od początku do końca prawie równomiernym z miesiąca na miesiąc. I tak samo dzieje się u płci męskiéj, ale tylko w ciągu trzech pierwszych miesięcy. Później zjawiają się nagłe skoki, spowodowane głównie, a nawet prawie wyłącznie

wzrostem gwałtownym śmiertelności męskiéj w wieku od 15 do 60 lat, czyli w wieku służby wojskowéj, ale najwięcéj w wieku od 15 do 25 lat. A mianowicie, umarło:

	mężczyzn			kobiet		
	15—25 lat	25—40	40—60	15—25	25—40	40—60
We wrześniu	283	522	523	244	444	428
w październiku	600	808	737	331	633	501
„ listopadzie	673	899	856	360	687	655
„ grudniu	1,700	1,300	1,083	457	840	723
„ styczniu	2,842	1,989	1,720	592	970	1,020
„ lutym	2,144	1,558	1,516	534	904	970

A zatém służba wojskowa i mniejsza w młodych organizmach zdolność do wytrzymania prób przez tęż służbę narzuconych — oto, w ostatecznéj analizie, główna, jeżeli nie jedyna przyczyna różnic, ujawniających się tak między płciami, jak i między wiekami w ogólnym bilansie ofiar nagromadzonych przez oblężenie. Pośród ludności, która nie wzięła udziału w obronie miasta, oblężenie potroiło prawie śmiertelność w obu płciach. W drugiéj połowie ludności, mężczyźni od 40 do 60 lat najmniéj stosunkowo zostali dotkniętymi, nie pełniąc służby czynnéj i większą okazując wytrzymałość. Ta sama siła oporu ujawniła się i w kontyngensie męskim od 25 do 40 lat, aczkolwiek więcéj narażonym. Nakoniec młodzież męska w wieku od 15 do 25 lat, broniąc się jako tako przez pierwsze trzy miesiące, uległa następnie wycieńczeniu niezahartowanych dostatecznie sił, i została zdziesiątkowana w literalném znaczeniu tego słowa.

Pozostaje nam rozpatrzyć się w narzędziach, które posłużyły do tego dzieła zniszczenia.

IV.

Brakuje nam, niestety, danych, które by nam pozwoliły wywiązać się zupełnie zadawalniająco z podjętego obecnie zadania, odpowiedziéć mianowicie z należytą ścisłością na pytanie: z czego umarła każda z 76,167 osób pogrzebanych od d. 4 września 1870 do d. 18 marca 1871 r.; odróżnić śmiertelność lekarską od śmiertelności chirurgicznéj, ustanowić procent chorób i procent ran śmiertelnych. Nozologiczny systemat, zastosowany w tablicach, których dostarczyła prefektura, nie udziela nam téj moż-

ności. Zaznaczyć jednak jesteśmy w stanie, że, z liczby chorób, o których morderczéj działalności mamy dokładną wiadomość, sześć jest tylko takich, o których powiedzieć można, że odgrywają poważną rolę w wiadomém nam powiększeniu śmiertelności ogólnéj. Te sześć chorób, a mianowicie: o s p a, b r o n c h i t i s, p n e u m o n i a, g o r ą c z k a t y f o i d a l n a, d i a r y a i d y s e n t e r y a, figurują w ogólnym bilansie z cyfrą 29,759 ofiar. Owóż przypadająca na czas oblężenia przewyżka śmiertelności wynosi, w stosunku do średniéj przeciętnéj cyfry 51,239. Pozostaje więc tylko 21,480 wypadków śmierci, które reprezentować mogą mordercze dzieło innych chorób i kul nieprzyjacielskich. W jakim stosunku, powiedzieć nie możemy dokładnie, ale zaznaczyć możemy ogólnikowym sposobem, że statystyka medyczna spółczesna nie wykazuje żadnéj poważniejszéj różnicy w normalnym etacie ani szkarlatyny, ani odry, ani róży, ani suchot, ani wreszcie jakiejkolwiek choroby po za sześcioma wyżéj wskazanemi. Prawdopodobném jest więc to, że owe 21,480 ofiar odpowiadają właśnie i prawie wyłącznie procentowi ran śmiertelnych.

A więc jeszcze, ze stanowiska naukowego interes zagadnienia, obecnie przez nas poruszonego, streszcza się w badaniu tych sześciu wyróżniających się chorób, ich rozwoju i postępu. Rozwój zaś ten i postęp nie okazuje się ani jednostajnym od początku do końca oblężenia, ani równomiernym. Jedna mianowicie z sześciu chorób wyszczególnia się od swych towarzyszek w ten sposób, iż *maximum* intensywności osiągniętéj przez nią schodzi się, co do czasu, z *minimum* intensywności rozwiniętéj przez inne choroby. Choroba tą jest ospa. Dwie choroby dochodzą do *maximum* wtedy, kiedy inne objawiają w pełni dążność zniżkową. Są to diarya i dysenterya. Trzy choroby nakoniec kroczą od początku do końca równolegle z linią krzywą, jaka da się wyprowadzić za pomocą każdodziennych cyfr ogólnéj śmiertelności, stosując się z matematyczną ścisłością do wszystkich jéj zwrotów, wypukłości i wklęsłości. Są to bronchitis, pneumonia i gorączka tyfoidalna. Jeżeli przeto d r Bouchardat daje nazwę chorób o b l ę ż n i c z y c h (*maladies obsidionales*) dysenteryi, szkorbutowi i tyfusowi, jako zawisłym od wyjątkowych warunków hygienicznych, to nazwa ta przypadać zdaje się właściwiéj jeszcze tamtym trzem chorobom, jako takim, w których taż wyjątkowość warunków znajduje najwierniejsze, bo najtrwalsze i najwyraźniejsze odbicie.

Cyfry, któreśmy zebrali, przedstawiają się w synchroniczném zestawieniu jak następuje:

Od d. 4 września 1870 do d. 18 marca 1871 r. umarło:

		na ospę	bronchitis	pneumonię	gorączkę tyfoidalną	diaryę	dysenteryę	Śmierteln. ogólna	Temperatura
przed obleżeniem	Od d. 4 Września								
	do d. 11 „ w 1-m tygd.	116	45	54	39	25	8	981	+ 15,6
	do d. 18 „ w 2-m „	168	55	66	45	65	10	1,263	+ 13,2
Obleżenie	do d. 25 „ w 3-m „	158	61	62	45	43	9	1,272	+ 13,2
	do d. 2 Paźdz. w 4-m „	210	36	46	56	46	23	1,344	+ 14,4
	do d. 9 „ w 5-m „	212	56	50	54	69	18	1,483	+ 12,02
	do d. 16 „ w 6-m „	311	55	64	54	72	26	1,610	+ 11,05
	do d. 23 „ w 7-m „	360	70	66	55	76	23	1,746	+ 10,5
	do d. 30 „ w 8-m „	378	77	71	62	99	49	1,878	+ 10,4
	do d. 6 Listop. w 9-m „	380	72	69	61	87	32	1,762	+ 7,6
	do d. 13 „ w 10-m „	419	82	79	62	91	39	1,885	+ 3,2
	do d. 20 „ w 11-m „	431	92	73	94	91	25	2,064	+ 5,7
	do d. 27 „ w 12-m „	386	89	81	103	92	25	1,927	+ 9,07
	do d. 4 Grud. w 13-m „	412	99	92	140	76	25	2,023	+ 3,05
	do d. 11 „ w 14-m „	398	107	108	137	83	33	2,455	— 1,8
	do d. 18 „ w 15-m „	391	190	131	173	103	38	2,728	+ 5,6
	do d 25 „ w 16-m „	388	172	147	221	73	30	2,728	— 3,5
	do d. 1 Stycz. w 17-m „	454[1]	258	201	250	98	51	3,280	— 6
	do d. 7 „ w 18-m „	329	343	262	251	151	52	3,680	— 4,9
	do d. 14 „ w 19-m „	339	457	390	301	143	46	3,982	— 2,04
	do d. 21 „ w 20-m „	380	598	426	375[4]	137	42	4,465	+ 2,1
Zawieszenie broni	do d. 28 „ w 21-m „	327	548	478	313	134	48	4,376	+ 1,1
	do d. 4 Lut w 22-m „	258	627[2]	465	324	150	63	4,671	+ 2,3
	do d. 11 „ w 23-m „	225	593	468	260	144	57	4,451	+ 6,6
	do d. 18 „ w 24-m „	174	539	471[3]	298	158	59	4,103	+ 4,8
	do d. 25 „ w 25-m „	134	557	410	301	181	52	3,941	+ 6,1
	do d. 4 Marca w 26-m „	147	424	338	260	190	50	3,500	+ 8,5
	do d. 11 „ w 27-m „	85	379	267	258	142	60	2,993	+ 9,3
	do d. 17 „ w 28-m „	98	301	188	229	104	49	2,576	+ 6,4
		8,385	6,982	5,631	4,832	2,915[5]	1,013[6]	76,167	

Jak się z powyższego rozkładu cyfr pokazuje, w ciągu 13-tu pierwszych tygodni, od d. 4 września do 4 grudnia, ospa jest główną, jeżeli nie wyłączną sprawczynią podniesienia się poziomu ogólnéj śmiertelności. Widocznėm jest także to, że istniała już ona

---

[1]) Od d. 4 września 1869 do d. 18 marca 1870 r. liczba wypadków śmierci spowodowanych ospą, wyniosła tygodniowo od 6 do 112. Między d. 25 grudnia a 1-m stycznia, to jest w peryodzie odpowiadającym 17-mu tygodniowi nie przeszła 30.

[2]) Między d. 30 stycznia a 5 lutego 1870 r. było tylko 6 wypadków, spowodowanych przez bronchitis.

[3]) Między d. 21 stycznia a 18 lutego 1870 r. (21, 22, 23 i 23 tydzień) pneumonia utrzymała się w statystyce śmiertelności między 90 a 119 wypadków tygodniowo.

[4]) W tym samym tygodniu 1870 ogół zmarłych na gorączkę tyfoidalną wyniósł tylko 16 a w ciągu 28 tygodni odpowiadających r. 1869—70 wahał się między 15 a 30.

[5]) i [6]) W sześciomiesięcznym odpowiadającym okresie 1869—70 średnia śmiertelność na diaryą wyniosła 8 do 20 wypadków tygodniowo, a tylko 12 między d. 23 lutego a 5 marca. Dysenterya dostarczyła od 1 do 5 wypadków, a między d. 30 stycznia a 5 lutego: 2.

z charakterem epidemicznym przed rozpoczęciem oblężenia; wzmogła się zaś, bez żadnéj możliwéj wątpliwości za sprawą wiadomego napływu obcych przybyszów, między którymi znalazł się spory procent młodzieży, któréj nie można było na razie poddać powtórnemu zastosowaniu ochronnego zaszczepienia. Zauważymy następnie, że zapisane w 17-ym tygodniu *maximum* nie odpowiada w rzeczywistości najwyższemu stopniowi rozwoju, osiągniętemu przez epidemię; jest to bowiem wyskok. przed którym i po którym figurują cyfry wskazujące stałą, począwszy od 12-go już tygodnia, dążność zniżkową, podczas gdy między 6-ym a 11-ym tygodniem spotęgowany ruch zwyżkowy występuje bardzo wyraźnie. Wyskok, o którym mowa, ma zapewne swoje wytłómaczenie w równoczesném obniżeniu się temperatury, która, jak to widzieliśmy, odbiła się na wzroście ogólnéj śmiertelności. Pomijając wszelako ten epizod, rozwój i ruch choroby, nad którą zastanawiamy się obecnie, zachowuje od początku do końca swoją odrębność, wyprzedzając wszystkie inne w szybkich swych postępach na początku oblężenia, a nie towarzysząc im w zwyżkowym ruchu, który doprowadza je do kulminacyjnego punktu między d. 28 stycznia a 4 lutego.

Cyfry przez nas podane uwydatniają łączność, którąśmy zaznaczyli między diaryą, a dysenteryą. Dodajmy że, gdy, podług świadectwa powag lekarskich a w szczególności d-ra Bouchardat, nie było podczas oblężenia dysenteryi zaraźliwéj, ścisłość diagnozy w rozgraniczeniu dwóch chorób musiała często zostawiać do życzenia. Trzymając się cóżkolwiekbądź danych, któremi rozporządzamy, widzimy, iż cyfra wypadków śmiertelnych, spowodowanych przez diaryę, przenosi o wiele cyfrę śmiertelności zapisanéj na karb dysenteryi. Zresztą zaś postęp obu chorób okazuje się jednostajnym, podzielić się dając na cztery dość wyraźnie odgraniczone okresy. W pierwszym, obejmującym czas od 4 września do 23 października, widać stały ruch zwyżkowy; późniéj, między d. 23 października a d. 18 grudnia zastój na poziomie wyższym od poprzedzającego; późniéj jeszcze, od d. 1 stycznia do d. 4 marca, nowa stacya na nowym i wyższym jeszcze poziomie, oznaczonym maksymalną cyfrą 190 wypadków, osiągniętą przez diaryę; nakoniec w dwóch ostatnich tygodniach ruch odwrotny ku dołowi. Dysenterya osięga dwa uwydatniające się w jéj biegu, a cyframi 63 i 60 oznaczone, wierzchołki, między d. 28 stycznia a d. 4 lutego i między d. 4 a 11 marca. *Maximum* jéj odpowiada przeto, co do czasu, maksymalnemu rozwojowi śmiertelności ogólnéj. Ale dwa wierzchołki, o których mowa, połączone się okazują linią prawie poziomą, tak iż w rzeczywistości znajdujemy tu *maximum* trwające

sześć tygodni; całość zaś ruchu obu chorób nie przedstawia żadnéj bliskiéj łączności z biegiem śmiertelności ogólnéj. Między d. 23 a 30 października ogólna zwyżkowa dążność uwydatnia się wprawdzie i w ich postępie, ale późniéj szybkie podwyższenie się ogólnego poziomu między d. 4 a 14 grudnia zostawia je w tyle, mimo spółczesnego obniżenia się temperatury, które powinno było oddziałać na ich rozwój. Powrót chwilowy ciepła między d. 18 a 25 grudnia sprowadza je na dół, następny zaś tydzień dźwiga je znowu w górę razem ze śmiertelnością ogólną; ale ten ruch zwyżkowy, wywołany jednocześnie przez zimno, przez ograniczenie racyi mięsnych do 30 gr. i racyi chleba do 300 gr., nie utrzymuje się; trwa dla diaryi tylko dwa tygodnie, a dla dysenteryi ośm dni. Obie choroby poprzestają na osiągniętym poziomie, aż do chwili, w któréj rozpocząć mają ostateczny ruch w odwrotnym kierunku. Stacya na wysokości przeciąga się jednak, zauważyć to trzeba, aż do początku marca, to jest do chwili, w któréj działalność sprzymierzonych poprzednio zabójczych żywiołów, jako to zimna i niedostatecznego a złego pożywienia usunięta już została. Uwydatnioną mamy w ten sposób trwałość skutków, przeciągającą się, w téj kategoryi zjawisk, po za istnienie tłómaczących je przyczyn, a stwierdzony zarazem nie zaraźliwy charakter dysenteryi, z którą się tu spotykamy. Przy innym bowiem charakterze téj choroby, wywołana przez nią śmiertelność nie była by się rozłożyła z taką jednostajnością na tak długi przeciąg czasu.

Streszczając te uwagi, powiemy, że wogóle ruch obu chorób, nad któremi zastanawiamy się obecnie, okazuje się odrębnym; że różnica między najniższym a najwyższym poziomem, osiągniętym przez nie, mniejsza jest o wiele od dostrzeganéj gdzieindziéj; że kurs ich maksymalnego rozwoju zjawia się najpóźniéj, bo w pięć tygodni dopiero po dojściu innych chorób do takiegoż kresu; że wreszcie o ile zależność ich od nędzy spowodowanéj przez oblężenie ujawnia się bardzo wyraźnie, o tyle wpływ temperatury mniéj widoczny jest w ich postępie, niż w postępie innych chorób. To ostatnie wszelako zjawisko domaga się wyjaśnienia.

„Byłem, pisze dr. Sueur, przy oblężeniu Thionville świadkiem epidemii, obejmującéj diaryę i dysenteryę nie zaraźliwą. Dwa blisko bataliony *mobiles*'ów, zwerbowanych w okolicy weszło do miasta i epidemia objawiła się między nimi we wrześniu, to jest w pięknéj porze roku. Wszyscy prawie dotnięci zostali i wiele ofiar padło, w ich liczbie kilku leśników i kilku wiekowych celników. W wojsku liniowém, w artyleryi i w szwadronie dragonów wypadki były nieliczne. Żywności nie zabrakło nigdy, nie można przeto tłóma-

czyć tego, co zaszło, nędzą, ani oskarżać srogość temperatury. Kilku młodych żołnierzy dopuściło się nadużyć z owocami, ale to nie wystarcza; pozostaje więc tylko zmiana warunków życia i pożywienia, a nadewszystko służba nocna, to jest c z u w a n i e n a c z c z o, połączone z nocnym chłodem, jedném słowem, działanie zimna, które nie będąc nawet bardzo silném, znajduje organizm doskonale przygotowany dla poddania się jego wpływowi. Coś podobnego miało miejsce w oblężonym Paryżu. Wysokość, osiągnięta przez diaryę w pierwszym okresie jéj rozwoju, nie może być wytłómaczona stanem atmosferycznym, skoro termometr wahał się około 10 stopni. Ale noce były chłodne, nocne posterunki częste, ludzie zaś bynajmniéj nie przysposobieni do tego rzemiosła. Przyczyna ta zachowała stałą działalność; niezmierna nędza przyłączyła się do niéj dla spotęgowania jéj wpływu, ale peryod bardzo niskich temperatur nie wywarł tu stosunkowo tego skutku, jaki się daje zaznaczyć przy badaniu innych chorób, dla tego że, jak sądzę, w przypadku, który nas zajmuje, zimno działa mniéj przez i l o ś ć niż przez j a k o ś ć swoję".

Dr. Béhier (*Revue des Cours scientifiques*) przypisuje ze swojéj strony wielką rolę w rozwoju chorób, o których mowa, napojom alkoholicznym, używanym w nadmiernéj ilości, lub w złym gatunku a także nadmiernemu używaniu tytuniu. Dr. Dupinet podziela ten sposób widzenia. Inaczéj dr. Sueur. „Tytuń tak, jak i alkohol, pisze on, działa o tyle energiczniéj, o ile się jest więcéj na czczo; żołnierz pali o tyle więcéj, o ile jé mniéj; nadmierne przeto używanie tytuniu jest świadectwem n ę d z y, któréj przypisać wypada całą winę w tym względzie".

Godzi się nakoniec wspomniéć, iż do liczby ofiar zabranych przez diaryą bardzo znaczny kontyngens przyniosły dzieci, pozbawione mléka i jaj, to jest pokarmu najodpowiedniejszego dla nich, i dotknięte w wielkiéj ilości przez tę specyalną formę diaryi, która w terminologii lekarskiéj zwie się l i e n t e r y c z n ą, a którą wywołuje wprowadzenie do aparatu trawiącego pokarmów źle trawionych i działających przeto jako ciała obce.

Przystępujemy teraz do trzech chorób, którym skłonni jesteśmy przypisać specyficzny charakter chorób o b l ę ż n i c z y c h. Jak to wskazują wyżéj zestawione cyfry, choroby te kroczą jedna obok drugiéj przez ośmnaście pierwszych tygodni, rozdzielając się dopiero na początku stycznia. W pierwszéj trzeciéj części drogi, poziom ich wspólny pozostaje stosunkowo niższy od ogólnego poziomu śmiertelności, co się tłómaczy górującém w téj epoce szerzeniem się ospy. Najwyższego kontyngensu ofiar dostarczyła od początku do

końca *bronchitis*; ztąd też zapewne związek tak ścisły z ruchem śmiertelności ogólnéj, przyczém zaznaczamy, iż związek ten ujawnia się dopiero z chwilą, w któréj choroba owa nabiéra większego natężenia. Aż do d. 11 grudnia, w rzeczy saméj, niemasz jeszcze ścisłéj łączności między obustronnemi ruchami; *bronchitis* zostaje nawet w tyle o całe ośm dni. Dopiero od téj daty podąża ona w górę nagłym rozpędem, spada następnie, między d. 18 a 25 t. m. razem ze śmiertelnością ogólną, pod wpływem wyjątkowéj temperatury i razem z nią podnosi się znowu z większą nawet szybkością i gwałtownością. Oscylacye, które dają się zauważyć w poziomie śmiertelności ogólnéj u jéj kulminacyjnego kresu, powtarzają się dokładnie i w jéj własnych zwrotach, z dodatkiem jednéj oscylacyi więcéj między d. 18 a 25 lutego, któréj jednak odpowiada jeszcze równoczesny zastój w spadkowym zwrocie śmiertelności ogólnéj.

Najcharakterystyczniejszą wszelako i najwięcéj pouczającą jest stała łączność téj choroby ze zwrotami temperatury. W ciągu pierwszych ośmiu tygodni średnia temperatura utrzymuje się między 10 a 15 stopniami; zaczém *bronchitis* pozostaje na niskim poziomie, nie biorąc udziału w oscylacyach ogólnéj śmiertelności. Przez trzy tygodnie następne termometr zniża się stopniowo aż do +1 i *bronchitis* podnosi się równocześnie, ale z równém także umiarkowaniem. Nagle, z początkiem grudnia nadchodzi spadek termiczny poważny i szybki, i oto *bronchitis* odpowiada nań natychmiast ruchem zwyżkowym, równie gwałtownym, przyjmując teraz już kierunek i miarę każdodziennego postępu, który doprowadzić ją ma aż do kulminacyjnego kresu. W kilka dni późniéj wprawdzie raptowne podniesienie się temperatury sprowadza ją chwilowo na dół, ale nowy, niebawem następujący spadek termometru prze ją znowu w górę. Dąży ona wyżéj i wyżéj jeszcze bez zatrzymania się przez piętnaście dni tak osobliwie mroźnych, objętych datami 21 grudnia i 5 stycznia, i nawet stosunkowe złagodzenie się powietrza między 6 a 7 stycznia nie hamuje jéj rozpędu. Dopiero trwalszy powrót ciepła w 20-ym tygodniu narzuca jéj pęta. Między 21 a 28 stycznia zwrot na dół rysuje się bardzo wyraźnie. Ale mróz d. 25 t. m. podnieca ją znowu i dźwiga szybko już tym razem do ***maximum***: 627 wypadków śmierci w ciągu 7 dni. Tu rozpoczyna się stały i także szybki ruch w odwrotnym kierunku, przerwany jedynie krótkim wyskokiem w górę, wiążącym się z poprzedzającą go zniżkową oscylacyą termiczną w dniach 9 i 10 lutego. Po za tą oscylacyą termometr wznosi się stale w ciągu ostatnich pięciu tygodni aż do +10 i *bronchitis* schodzi równocześnie i równomiernie do cyfry 301 wypadków tygodniowo, zapisanéj pod datą 18 marca.

Nie może przeto być wątpliwości: zimno stało się i pozostało od początku do końca zapewne nie jedyną, ale główną przyczyną téj choroby. Wycieńczenie spowodowane wiekiem, lub niedostateczném odżywianiem organizmu odgrywało bez wątpienia swoją rolę: przyspasabiało organizm do działania nizkiéj temperatury; ta wywoływała ostatecznie choroby. Trafiać się musiały także błędy w dyagnozie, wypadki wątpliwe, w których nie wiedziano czy *bronchitis* jest chorobą lub tylko komplikacyą choroby innéj, ale położenie na karb tych komplikacyi całego ogromu wypadków zarejestrowanych pod tą rubryką, jak to czyni mianowicie dr. Dupinet, zdaje się nam tezą paradoksalną wobec zaznaczonych wyżéj faktów.

Dodajmy, że za sprawą tych samych dyagnostycznych trudności, w wypadkach tych znalazł się bezsprzecznie także pewien procent suchot, które i do sąsiedniéj rubryki pod nazwą *pneumonii* wciągnięte zapewne zostały.

Pneumonia, która w ogólnym bilansie śmiertelności zajmuje drugie po *bronchitis* miejsce, nie przedstawia równie ścisłego związku ze zmianami temperatury. Skłonniejszymi téż jesteśmy do przyjęcia w zastosowaniu do niéj tego, co dr. Dupinet stosuje do wszystkich wogóle chorób piersiowych, mówiąc, że „wzmogły się one przez konstytucyę medyczną, któréj były jednym z głównych żywiołów, wiążąc się z jednéj strony z gorączkami wysypkowemi, z drugiéj z chorobami tyfoidalnemi i że mieszały się wszystkie razem w pewném tle wspólném“.

Uderzającém zjawiskiem w cyfrach, które nam przedstawiają ruch *pneumonii*, jest uwydatniony przez nie brak oscylacyi, jednostajność postępu od początku do końca. Poziom jéj wznosi się i spada kolejno bez żadnych wstrząśnień. W ciągu 11 pierwszych tygodni poziom ten pozostaje dość nizkim, trzymając się równolegle z umiarkowaném dotąd wzniesieniem *bronchitis*. Dwunasty i trzynasty tydzień, od 20 listopada do 4 grudnia, sprowadza małą podwyżkę, choć temperatura jest łagodna. Między d. 4 a 18 grudnia nowy i wyraźniejszy ruch w górę, w którym jednak nie widać ścisłéj łączności ani z nagłym spadkiem termometru na początku tegoż miesiąca, ani z chwilowym powrotem ciepła w jego połowie: pierwszy nie pobudza jéj wyraźnie, drugi nie zatrzymuje. Ruch jéj zwyżkowy pozostaje jednostajnym; przyśpiesza się nieco z d. 25 grudnia, równa się prawie z postępami *bronchitis* i schodzi się wtedy ze spotęgowanym po chwilowéj przerwie, ruchem śmiertelności ogólnéj. Powiększona ta szybkość utrzymuje się z nieustającą energią w ciągu trzech najmroźniejszych tygodni oblężenia,

od d. 21 grudnia do d. 5 stycznia; ciepłe dni 6 i 7 stycznia nie paraliżują jéj; dopiero między d. 14 a 21 t. m. widać lekkie osłabnięcie ruchu i wolniejszy odtąd postęp do maksymalnego kresu, osiągniętego w następnym tygodniu. Owóż właśnie ta dwutygodniowa folga odpowiada przedostatniemu podskokowi ogólnego poziomu śmiertelności i gwałtownemu wzniesieniu się nad dotychczasowy poziom *bronchitis*, ospy i gorączki tyfoidalnéj; nadto zjawia się ona bezpośrednio po kilku silniejszych mrozach, a *maximum* znowu następujące po téj foldze, schodzi się z równoczesném osłabnięciem tych samych chorób, poprzedza go zaś bezpośrednio znowu cały tydzień względnego ciepła.

Charakter „komplikacyi", z którym *pneumonia* nastręcza się w wielu chorobach, a zwłaszcza w tych, które grasowały podczas oblężenia, tłómaczyć może do pewnego stopnia te osobliwości. Zresztą poprzestać musimy na zaznaczeniu zjawiska.

Po ospie gorączka tyfoidalna jest tą chorobą, która najprędzéj dochodzi do swego *maximum*, pozostając jednak długo, razem z *bronchitis* i *pneumonią*, na nierównie niższym poziomie. W ciągu dwóch pierwszych miesięcy, poziom ten waha się między 40 a 60 przypadkami; począwszy wszelako od d. 13 listopada zjawia się ruch zwyżkowy, nieustający już aż do kresu. Stanowczym kierunkiem swoim ruch ten wyprzedza przeto postęp innych chorób, (*bronchitis* mianowicie rozpoczyna ruch odpowiedni dopiero d. 11 grudnia) natomiast okazuje się on najpowolniejszym. Najszybszym względnie jest jego początek, następujący po trzechtygodniowym zastoju, od d. 23 października do d. 13 listopada, na poziomie 60, podczas gdy w ruchu śmiertelności ogólnéj ujawniają się przeciwnie dość charakterystyczne oscylacye. Schodzi się natomiast ta początkowa podwyżka z wzniesieniem się ogólnego poziomu, między d. 13 a 20 listopada i z pierwszym spadkiem temperatury. W ogólnym ruchu śmiertelności, następuje wszelako natychmiast dwutygodniowa przerwa, poprzedzająca ostateczny zwrot w górę; owóż gorączka tyfoidalna zachowuje się wręcz przeciwnie: wznosi się bowiem najpierw nieustannie, a potém zatrzymuje się razem z *bronchitis*, wtedy właśnie, kiedy ogólny ruch zwyżkowy przychodzi do skutku. W dalszym jéj postępie szesnasty tydzień i poprzedzające go bardzo znaczne podwyższenie się temperatury, nie przynoszą żadnéj zmiany. Jest to razem z *pneumonią* jedyna choroba, na którą okres ten pozostał bez wpływu. Natomiast, w peryodzie wielkich mrozów zjawia się w jéj rozwoju nagła przerwa, podczas właśnie, gdy śmiertelność ogólna potęguje się, jak to widzieliśmy. Wyprzedziwszy następnie inne choroby w osiągnięciu swego *ma-*

ximum, między d. 14 a 21 stycznia, gorączka tyfoidalna schodzi odtąd stale w dół, ale nierównie wolniéj, przedstawiając wszystkie oscylacye bronchitis, ale dłużéj się utrzymując na wysokich poziomach.

Co się tyczy kategoryi osób, które najwięcéj dotknięte zostały tą chorobą i form, które przybierała ona najpospoliciéj, powtórzymy słowa dr. Dupinet.

„Cyfra śmiertelności przypisana téj chorobie zdaje się nam zbyt nizką, bądź za sprawą omyłek w dyagnozie, bądź wskutek częstego przypisywania śmierci nie chorobie głównéj, lecz jéj komplikacyom, jako to: *bronchitis*, *pneumonii*, *broncho-pneumonii*. Formą przeważającą w tych gorączkach była forma ataxo-adynamiczna; często, schodząc się z epidemią szkorbutu, pojawiały się w okresie powrotu do zdrowia wyrzuty czerwone (*pétréliales*) na nogach, z bąblami (*oedème*) u kończyn i powtarzającemi się powrotami *epistaxis*, a czasem drobnemi wylewkami krwi pod skórą (*ecchymoses sous-cutanées*). W niektórych razach zauważyliśmy także obfitą diaryę. Tak samo jak ospa i odra, gorączki tyfoidalne rozwinęły się głównie w szeregach armii i pośród ludności napływowéj, którą oblężenie wypłoszyło z okolic podmiejskich. Nie sądzimy, aby właściwa ludność paryska dotknięta została więcéj, niż przed oblężeniem. Znaczna liczba wyleczonych z gorączki i do zdrowia powracających, umarła skutkiem braku pożywienia dostatecznego dla odrestaurowania i wzmocnienia wycieńczonego organizmu."

Dr. Dupinet wspomina o epidemii szkorbutu. Kwestya istnienia téj epidemii pozostaje dotąd sporną między powagami lekarskiemi, i to starczy samo przez się za świadectwo, że jeżeli istniała ona w saméj rzeczy, to w niezmiernie szczupłych granicach. Dr. Sueur odwołuje się do uwag udzielonych sobie w tym względzie przez profesora Gubler'a, a które brzmią jak następuje:

„Każdéj zimy trafiają się w szpitalach indywidua, wycieńczone brakiem pokarmu, nadużyciami, lub wiekiem, u których widać drobne wylewy krwi (*ecchymoses*) na nogach, albo jeszcze dziąsła wyschnięte, obrzucone naróściami (*fongueuses*), lekko zakrwawione. Otóż prawdopodobną jest rzeczą, że dopatrzono szkorbutu w wielu przypadkach, które w zwykłym czasie, byłyby nazwane poprostu p u r p u r a l n e m i. Szkorbut był chorobą, którą tropiono, na którą czyhano niejako; ta okoliczność mogła wprowadzić w błąd niektórych młodszych lekarzy, niedostateczném opatrzonych doświadczeniem, a skłonnych do niepokojenia się."

Przedmiotem sporu jest także kwestya t y f u s u. Dr. Dupinet przypisuje mu trzy wypadki śmiertelne. D-rowie Bouchardat i Gubler przeczą jego istnieniu. Dr. Constantin Paul poprzestaje na zaznaczeniu, iż nie spotkał się w swojéj służbie szpitalnéj z żadnym wypadkiem tego rodzaju. Dr. Sueur wreszcie skłania się do wniosku, iż w razie przedłużenia się tych hygienicznych warunków, w których znalazł się Paryż w końcu stycznia, tak tyfus, tuż tuż groźny, jak i szkorbut, którego pojawiło się kilka wypadków, byłyby się rozwinęły i znalazłyby się w téj skali chorób naczelnych, w któréj o s p a trzyma pierwsze miejsce, b r o n c h i t i s drugie, p n e u m o n i a trzecie, gorączka tyfoidalna czwarte, diarya i dysenterya piąte i szóste (1). *X.*

---

(1) Zastrzedz się widzimy potrzebę przeciwko nieporozumieniu, którego moglibýsby paść ofiarą ze strony tych czytelników, co powołując się na wskazane powyżéj dzieła specyalne, chcieliby poddać kontroli cyfry podane przez nas w téj pracy, gdyż znaleźćby mogli w tych dziełach cyfry nieco odmienne. Nadmieniamy przeto, że skorzystaliśmy z uwag i wskazówek, których dostarczyły nam te dzieła, ale co się tyczy c y f r zawierzyliśmy wyłącznie własnym obliczeniom, opartym na danych urzędowych. Znaleźliśmy się tym sposobem w niezgodzie z dr. Sueur np., ale zauważyliśmy jednocześnie, że własne obliczenia tego bardzo poważnego specyalisty dokonane zostały z taką niedokładnością, iż nie ma w cennéj jego skądinąd pracy jednego prawie dodawania, chociażby najprostszego, któreby wolne było od omyłek. I tak znajduje dr. Sueur, że na 1.000 mieszkańców jest we Francyi 498 mężczyzn a 497 kobiét (s. 60); dodając cyfry 367, 59, 72, 112, 169 i 417, wyrażające liczbę kobiét, która umiera we Francyi na 100,000 mieszkańców: dochodzi do całkowitéj sumy 1.196 zamiast 1189 (S. 64) i tak daléj.

„HOMUNKULUS".

POETYCZNE ZWIERCIADŁO NASZYCH CZASÓW.

Cienie i mroki współczesnéj cywilizacyi były już niejednokrotnie przedmiotem gorących rozpraw filozoficzno-społecznych, jak poezyi i powieści i to nie tylko wśród zachowawców i wsteczników, lecz także wśród samychże postępowców.

Różnica w sposobie przedstawiania tych cieni i mroków przez zwolenników zapatrywań odmiennych na tém głównie polegała i polega, że wstecznicy dostrzegają w rozwoju dzisiejszym same jedynie ujemne strony i radziby powrócić do jakichś „złotych czasów", których daty oznaczyć nie umieją, postępowcy zaś nie łudząc się już dawniejszemi optymistycznemi poglądami o bezwzględnéj wartości tego wszystkiego, co z sobą nowe czasy przyniosły, widzą jednakże w idei postępu i w dążności do jéj urzeczywistnienia podstawę do osiągnięcia lepszéj przyszłości, do rozproszenia choć częściowego owych mroków i cieni, czyli inaczéj, twierdzą, że „złote czasy" (przynajmniéj względne) przyjść mają kiedyś dopiero.

O powrocie do „stanu natury", czy do „dawnych dobrych czasów" można marzyć poetycznie, kiedy się boleśnie odczuwa ciosy stosunków dzisiejszych, ale naseryo myśléć niepodobna ani pod względem fizyologicznym, ani umysłowo-moralnym. W dziejach nic się nie powtarza. Istnieje wprawdzie teorya historyozoficzna o wracaniu pewnych stanów cywilizacyjnych (*corsi* i *ricorsi* Vico'a); ale i ona wskazać może tylko pewne analogie mniéj lub więcéj wybitne między tém, co było dawniéj a tém, co zaszło późniéj; tożsamości dowieść nie może. Wszystko płynie—jak powiedział Heraklit—wszystko ulega ciągłym, nigdy nie ustającym przemianom, zarówno rzeczy martwe jak ożywione, zarówno rośliny jak zwierzęta, za-

równo jednostki jak i społeczeństwa. Do tych zmian, które zachodzą bez przyczynienia się naszéj świadomości, przybywają jeszcze inne, świadomie przez ludzi dokonywane dla osiągnięcia pewnego zamierzonego z góry celu. Te ostatnie zmiany, raz urzeczywistnione, wchodzą już w nierozerwaną łączność z czynnikami nieświadomie działającemi, i tak jedne jak drugie nigdy cofniętemi być nie mogą, bo stanowią spójne ogniwa nieskończonego łańcucha przyczyn i skutków.

Wszystko, co minęło, pochwycił czas w swą paszczę i połknął, ale pozostaje nam cała przyszłość a z nią wszelkiego rodzaju zmiany, więc też i zmiany na lepsze. Możemy się do nich przyłożyć i być choć w drobnéj cząstce sprawcami pogodniejszéj doli. Świadomość nasza jest źródłem tortur, uprzytomniając nam braki i ułomności, szkody i klęski, oraz potęgując wrażenie przez nie wywarte, lecz równocześnie jest źródłem pociechy, wskazując dla czynnych popędów naszych rozległe pole owocnéj pracy w przyszłości.

Ażeby pobudzić myśl ku szukaniu środków udoskonalenia tego, co istnieje, potrzeba przedewszystkiém wskazać, że jest źle. Stąd wynika jedynie uprawniona krytyka teraźniejszości. Krytykować przeszłość na niewiele się przyda, bo zmienić jéj niepodobna; chyba że chcemy ubocznie zwrócić uwagę na objawy podobne w czasach obecnych i tym sposobem pośrednio wykonywamy czynność uświadamiania ciemnych stron życia dziejszego. Krytykować przyszłość byłoby rzeczą chimeryczną, bo ona jeszcze nie istnieje, a analizować to, co poczytuje ktoś za konieczne następstwo teraźniejszych stosunków, może być uważaném za pożyteczne chyba jedynie z tego względu, iż jaskrawsze rzucić może światło na objawy współczesne.

Skądkolwiek zatém zaczepimy sprawę pochodu ludzkości, zawsze dojdziemy do tego ogniska, wśród którego sami żyjemy, bo myśli nasze i uczucia w nim się koncentrują i z niego rozchodzą.

Spostrzeżenia powyższe wywołane zostały odczytaniem niedawno wyszłego poematu: „Homunculus“ (Człowieczek (1)) napisanego przez Roberta Hamerlinga, najznakomitszego obecnie, od śmierci Scheffla, wieszcza niemieckiego.

Hamerling jest wychowańcem romantyzmu i prądów całkiem nowożytnych. Rozum jego wchłaniał i wchłania wszystko, co ludzkość zdobywa w dziedzinie umysłowéj przez doświadczenie i rozmyślanie, zmysł jego obserwacyjny śledzi bacznie wszelkie zmiany,

(1) Robert Hamerling, „*Homunculus*, Modernes Epos in zehn Gesängen,“ Hamburg und Leipzig, 1888, str. 320.

jakie cywilizacya z sobą przynosi, ale fantazya jego lubuje się w pełnych czaru i uroku wyobrażeniach romantyki, branych przezeń wszelako w znaczeniu symbolów filozoficznych. Cechą bowiem znamienną utworów Hamerlinga, poczynając od najwcześniejszych pieśni lirycznych, wydanych przed trzydziestu laty, aż do obszernych poematów epicznych lub dramatów, jest jakaś myśl głębsza, która utworom dała życie i znaczenie. Myśl ta atoli przyobleka się w piękne szaty artyzmu, Hamerling bowiem jest znakomitym i świetnym kolorystą stylowym, umiejącym za pomocą trafnie dobranych przymiotników, przysłówków, porównań i przenośni wynagrodzić niektóre braki, jakie w rzeźbiarskiéj stronie stylu jego dostrzegać się dają.

Uczucie jego głębokie i subtelne z tęsknotą rwie się ku ideałowi, a więc musi zapływać goryczą na widok skaz i plam, jakie urzeczywistnieniu tegoż na ziemi towarzyszą. Wytwarza się więc w duszy jego smutek, ale nie potęguje się w pessymizm. Wyrazem najczęstszym tego smutku jest humor a może raczej owa ironia romantyczna, którą za najważniejszy czynnik poezyi w szkole romantycznéj poczytywano, a która zarówno się stosuje do rzeczy zewnętrznych, do stanu dusz innych ludzi, jak i do samego piewcy. Od kaznodziejskiego tonu powstrzymuje się poeta, ale nie lęka się bynajmniej obrazów i wyrazów jaskrawych, mając tylko zawsze na względzie prawdziwą miarę artystyczną.

Najnowszą swą pracę nazwał Hamerling epopeją nowożytną (*Modernes Epos*), niewątpliwie nie w innéj jak w ironicznéj myśli. Chodzić mu oczywiście nie mogło o współubieganie się z przedstawicielkami starożytnéj i średniowiecznej cywilizacyi—z Iliadą i Boską komedyą—chciał jedynie zarówno tytułem utworu: „Człowieczek“ jak i tym dodatkiem „epopeja nowożytna“, zaraz na samym wstępie uwydatnić myśl ironiczną, przeprowadzoną w poemacie, że ludzie dzisiejsi ich sprawy są drobne i kruche, że nawet, co się olbrzymiém wydaje w przedsięwzięciach nowożytnych, dokonywane bywa przez pokolenie drobne, w sposób karli i na stopę karlą. Opowiadać wam będę—zdaje się mówić autor—nie o bohaterskich czynach półboskich herosów z całą prostotą i naiwnością uwielbienia, ani téż o wielkich cierpieniach i wielkich rozkoszach ludzi wprawdzie mniejszych, ale szczerze i otwarcie namiętnych, kochających i nienawidzących całą duszą, lecz o tém sztucznie wychowaném w atmosferze spółczesnéj cywilizacyi pokoleniu, które zabiło w sobie uczucie przez refleksyą, a refleksyą tę skierowało albo do gorączkowych przedsięwzięć mających zapewnić dobrobyt materyalny, albo do pesymistycznego systemu zabijania nawet chęci do ży-

cia. Ton też epopei mojéj musi być dostrojony do takiego wątku; nie w podniosłych nawet samą prostotą słowach, nie w natchnionych wizyach rozwinę przed oczyma waszemi szereg obrazów, któreby was grozą lub uwielbieniem przejęły, lecz w lekkich, swobodnych, niekiedy swawolnych wyrażeniach, w poskocznym trochaicznym rytmie, z uśmieszkiem na ustach przesunę wobec was ustawicznie się zmieniający, podobnież jak wasze myśli, uczucia i pragnienia, kalejdoskop scen i scenek, starając się zabawić waszę wyobraźnię rozmaitością i drastycznėm ich wykonaniem. Zawrę ja i myśl poważniejszą w mém dziele, ale nie będę na nią robił nacisku; kto zdoła, to ją wyłuska z obsłonek; a dla tłumu czytelników, lubiącego rozrywkę tylko, niech będzie ukryta, bo jéj nie zrozumié, bo dla niego rzeczy banalne jedynie albo też dobrze opieprzone mają smak i powab.

Taką była, zdaje się, myśl poety, gdy „Homunculusa“ przezywał „epopeją nowożytną;“ nie objaw to jego zarozumiałości, ale ironii ze świata spółczesnego i z siebie jako piewcy. Sarkazmu „Don Juana“ Byronowskiego nie chciał stosować w swém dziele Hamerling, bo czuł się członkiem tegoż społeczeństwa, które opisywał, ale pozwolił i sobie i innym uśmiechać się pobłażliwie nad światem dzisiejszym, odtworzonym w zwierciedle jego ducha.

* * *

„Człowieczek“ na początku poematu wyskakuje raźnie z retorty uczonego już całkiem gotowym do krytyki, już klepiącym swego ojcaszka po ramieniu z uznaniem za ogół swéj budowy, ale z wymówkami za szczegóły, już nudzącym się i nużącym łatwo, już rozdrażnionym nerwowo i szukającym silnie działających lekarstw, już nawet, po krótkiéj z tatkiem rozprawie, wypowiadającym zdanie, że lepszy niebyt od bytu.

Uczony twórca tego „całkiem naturalnego wyniku udoskonalonéj wiedzy“ zmiarkował niebawem, że ten „wynik“ jest chory na newrozę zaraz po wyjściu z retorty, że zatém przy jego fabrykacyi zaszła jakaś pomyłka, że rozwój jego był zbyt przyśpieszony i wymuszony przez zbyt wielki stopień ciepła w ognisku i przez nadmiar pożywienia. Chcąc więc poprawić swój utwór a przytém i pozbyć się utrapieńca, który stawał się coraz nieznośniejszym w kaprysach i wymówkach, pogrąża go w stan hipnotyczny i rozkłada na pierwiastki, z których go poprzednio utworzył, a wziąwszy tylko cząstkę zasadniczą istoty żywéj, wprowadził ją „w sposób tajemniczy“ do łona żony biednego nauczyciela wiejskiego, ażeby rozwój téj cząstki, wytworzonéj sztucznie, odbył się według praw natury.

W gruncie pozostał człowieczek tą samą w retorcie przygotowaną istotą, naturalnego ojca nie miał, ale w skutek przebywania w łonie matki rzeczywistéj nie dojrzał przedwcześnie i przynajmniéj cośkolwiek z natury w sobie zawarł—tyle, ile mu soki odżywcze matki dostarczyć jéj mogły.

Zdolności Homunkula były bardzo wielkie, ale charakter bardzo niestateczny. Twórca jego zarodka chciał był dołączyć i pierwiastek żelaza, jako jeden ze składników, ale się pomylił, zamiast żelaza dodał rudy złotéj; a ten pierwiastek ciągle późniéj domagał się odnowy, stąd ustawiczne pragnienie złota we „krwi“ Człowieczka.

Wyuczywszy się wszystkiego, czego w szkole słuchał, zaczął on działalność swoję od poezyi. Zrazu pisywał o kwiatach, wiośnie i miłości, potém o nędzy socyalnéj, poszukując nowych tematów, potém zrozpaczywszy, iżby w poezyi coś nowego wynaleźć się dało, obierał temata w modzie będące i utworzył epopeję w duchu średniowiecznym; epopeję tę dał bogatemu nakładcy, który miał córkę na wydaniu; nakładca wydrukował ją, ale gdy po upływie roku sprzedał tylko trzynaście egzemplarzy, wskazał poecie drzwi, a córkę wydał za innego.

Zawiedziony w dziedzinie poezyi chwytał się Homunkulus najprzeróżniejszych zajęć, był sekretarzem młodego a bogatego Don Juana, jezuitą, socyalistą, karlistą w Hiszpanii, aktorem, grał w karty i na giełdzie, pisywał do gazet sprawozdania z pola bitwy, służył za medyum, za marszałka u podróżującéj śpiewaczki, za sekretarza u książąt pozbawionych tronu, za konsula księstwa Reuss w Tumbuktu, za jeźdzca cyrkowego, klowna, za zbieracza podpisów, korzeni, ziół, gałganów, abonentów... „Cokolwiek pitagorejczycy uczyli o wędrówce dusz — dodaje poeta, wyliczywszy cały szereg przeobrażeń, jakim ulegał Człowieczek — cokolwiek bramini w legendach, a Owidyusz w piętnastu księgach o Przemianach ludzi czy bogów opowiadają; to nie może się mierzyć z tém, czego dokonał nasz Homunkulus w sztuce przemieniania siebie samego, wędrowania duszy, w zmianie barw, odzieży i sposobu myślenia — i to w przeciągu ulotnych lat kilku.“

Jakieś przestępstwo zawiodło go przed kratki, poczém zniknął on na czas pewien z przed oczu świata, aż wypłynął znowu jako założyciel wielkiéj, nigdy nie bywałéj gazety pod napisem: „*Blatt für Alles und für Alle*,“ dawanéj abonentom darmo a nawet z dołączeniem premiów takich, jak jaja wielkanocne i t. p., pod jedynym tylko warunkiem, żeby czytali inseraty. Honoraryum nie płacił Homunkulus wcale, owszem, brał i to wysokie od tego, co

drukował; najwyższe nawet sfery spółubiegały się o spółpracownictwo; artykuły wstępne pisywali radcy stanu i przewódcy potężnych „mogących płacić“ stronnictw. Wielkie firmy bankierskie i handlowe dostarczały sprawozdań finansowych i ekonomicznych, płacąc bajeczne sumy za zaszczyt drukowania utworów swoich w piśmie Homunkula.

Wewnętrzne urządzenie redakcyi było godne widzenia. Biuro redakcyjne liczyło cztery siły „wewnętrze“ (*interne*). Dwie pierwsze miały sobie powierzoną sprawę redagowania artykułów; były to: czerwony ołówek i nożyce. Trzecią siłę stanowił brytan, rzucający się do łydek tym, na których go poszczuto. U czwartego członka redakcyi ze wszystkich organów rozwinięty był tylko organ „odpowiedzialności.“ nazywany także organem siedzenia. Homunkul z pomiędzy zajęć redakcyjnych zatrzymał przy sobie tylko obowiązek milczenia i przemilczania—a ten opłacał się najlepiéj.

W magazynach biura redakcyjnego znajdowała się olbrzymia beczka słodyczy, zawierająca wszelkiego rodzaju przymiotniki od najpospolitszych do najwyszukańszych, stosowanych do ludzi i rzeczy według umówionéj ceny; każdy kupiec miał wybór jaknajobfitszy. Ale obok téj beczki ze słodyczami stała druga z wszelkiemi ostremi przyprawami, które się dostawały nieprzyjaciołom Homunkula lub jego kundmanów. Do magazynów owych przytykał wielki, sławny na cały świat „pensyonat poglądów.“ Tu oddawano na wyżywienie wszelkie przekonania publiczne zarówno, jak prywatne i — rozumie się za pieniądze — tak je tu hodowano i upiększano, że gdy w tym wyświeżonym stanie wróciły do człowieka, nie mógł sobie życzyć niczego lepszego. — Dziennik ten Homunkula miał tak olbrzymie powodzenie, tak się wszyscy przed nim gięli od książąt i ministrów do żydów i aktorek, że wszystkich znajdował przedajnemi, bo był na przedaż dla wszystkich.

Doszedł Homunkul za jego pośrednictwem do wielkiéj świetności i czci, ale gdy nastała era wysokiego rozwoju ekonomicznego, era gorączkowego spółzawodnictwa, era dzikiego, korybanckiego tańca w koło złotego cielca; gdy szwindel wybujał, a każdy rzucał co miał, by dojść do czegoś większego; i Homunkulus téż sprzedał swe pismo jakiemuś towarzystwu akcyjnemu, a sam został „gründerem.“

Powiodło mu się w tym zawodzie nadzwyczaj szczęśliwie; uważany był niebawem za pierwszą na świecie finansową potęgę. Wielka parowa maszyna dniem i nocą rżnęła jak sieczkę stosy kuponów od papierów wartościowych. Pałac jego błyszczał nieopisanym przepychem, karetę jego ciągnął między innemi Pegaz z obciętemi

skrzydłami i zbitém kopytem, za hajduka służył mu sam dyabeł w postaci murzyna, kochanki najpiękniejsze miał z Czerkasyi, Polski, Węgier i Rumunii. Wzmogła się jeszcze jego sława, gdy zawiązał towarzystwo w celu wydobycia z Renu skarbu Nibelungów. Za tak patryotyczny zamiar sławiono go pod niebiosa, a wizerunki jego umieszczano na spinkach, tabakierkach, fajkach, chustkach do nosa, szyldach i t. d. Każde pismo ilustrowane zamieniało mu się w zwierciadło, odbijające twarz jego jakby „do golenia.“

Mimo bogactwa i uznania czuł się Homunkulus bardzo często nieszczęśliwym, znudzonym, zdenerwowanym; nieraz pożądał asafetydy, nieraz pragnął, by go kto obił, znieważył. Doktorowie opłacani przecież kupami złota przetłomaczyli mu cierpienia jego na język grecki, bo więcéj nic zrobić nie mogli. W końcu Homunkul ogłosił, że da korzec złota lekarzowi, co go zrozumie. Wiadomość ta doszła i do uszu jego twórcy—chemika. Dotychczas nie chciał mu tenże odsłaniać tajemnicy jego pochodzenia, lecz teraz postanowił pośpieszyć mu z pomocą. Wyspowiadał się przed nim ze stanu swéj duszy „Człowieczek,“ oprowadził go po swym pałacu, w którym żywa służba wszelkiego rodzaju (aktorzy, śpiewacy, wirtuozi) zastąpiona była po większéj części przez sztuczne automaty, a przeciwnie sprzęty, u innych martwe, przez żywe istoty (np. figury szachowe, kopuła wsparta na żywych wężach-boa). Pokazał mu też swój zbiór osobliwości — doskonały w karykaturze wzorzec tych kolekcyj starożytniczych, jakie gromadzą naprędce świeżo wzbogaceni. „Tu oto—mówił do swego gościa—kamień filozoficzny, niestety zbyt późno odnaleziony, już zwietrzały i rozsypujący się; tu zaś płaszcz Fausta, źle przechowany, dziurawy, więc też bez siły polotu; tu n i e b i e s k i k w i a t romantyki, niegdyś często wspominany, teraz bez zapachu, zgnieciony, zeschły; tu róg Oberona, co tak cudnie rozbrzmiewał po wąwozach i dolinach za złotéj doby miłości, teraz brzmi ochryple i głucho; tu oto stary kapelusik Fortunata; używam go teraz niekiedy za szlafmycę tylko. Niepodobna było odszukać starego prawdziwego rogu obfitości; prawda, w naszych czasach róg obfitości zastąpiła obfitość rogów. A tu rzecz najkosztowniejsza: czasza świętego Grala, rznięta ze szmaragdu. Nieoszacowana! Mam ją od pewnego żyda, co ją odkrył u jakiegoś węglarza w Pirenejach pod staremi rupieciami, zasnutemi pajęczyną, kurzem i prochem; żyd wziął ją od węglarza za dziesięć realów, ja nabyłem od Hebrajczyka za pół miliona: taka to wartość kamienia.“

Zimno, smutno, ze znudzoną miną pokazywał wszystkie swe bogactwa Homunkulus mądremu starcowi; ten wysłuchawszy opo-

wiadania i przypatrzywszy się opowiadającemu, wyjawił mu tajemnicę jego pochodzenia i radził mu solami i korzeniami opieprzyć obficie krew, ażeby mózg, serce i trzewia nie zgniły mu w żyjącém jeszcze ciele, ale wzmocnione i uzdrowione pomogły do całkowitego rozwinięcia jego istoty. Został tedy mędrzec nadwornym lekarzem Homunkula, który niebawem jako bimilioner doczekał się olbrzymiéj owacyi. Z jedną ogoloną, z drugą nie napoczętą jeszcze przez brzytwę połową twarzy — obraz komiczny połowiczności naszych czasów—musiał on przyjmować deputacye z najodleglejszych krajów, winszujące mu szczęścia. W czasie olbrzymiego pochodu z pochodniami, na cześć jego urządzonego, Homunkul pod wpływem nadludzkich wzruszeń dostał obłąkania; uroczystość zakończyła się zamknięciem go w domu waryatów.

Nazajutrz niespodziewanie „krach“ na giełdzie pozbawił go biliona, Homunkulus wrócił do przytomności, posłyszawszy o tém. Dla uniknienia wstydu ucieka na statku parowym po Renie płynącym. Rozmyślając nad nowém swém położeniem, dochodzi do rozpaczy i rzuca się z pokładu do rzeki. Lecz za nim podążyła jakaś postać niewieścia. Ta go uratowała; schroniła w rozpadlinie skał nadbrzeżnych. Była-to sławna rusałka reńska Lurlei — w nowożytném przeobrażeniu.

Oddawna już nie śpiéwała ona przy blasku księżyca na swéj skale, bo poszła w świat, by losów ludzkich zakosztować. Gazę welonu czarodziejek zamieniła na koronki brabanckie; od ludzi nauczyła się nowych tonów i nowych melodyi, w operach europejskich zbierała żniwo złota i sławy. Rusałkom wogóle zbyt silną robiły konkurencyą półświatek i aktorki. Wszystkie te gardła, ochrypłe od pochłaniania piwa, co przepływając koło skały nadreńskiéj śpiewały heinowską Lurlei; wszyscy ci podróżni filistry, co z czerwonemi Bädeckerami w ręku skałę tę lornetowali, tak się naprzykrzyli rusałce, że na wzór sióstr-czarodziejek, które dręczone nudami, przerzuciły się na stronę francuską i szukały szczęścia w Paryżu, i ona wyszła na aktorkę, zwłaszcza gdy jéj skałę przebito.

I w jéj usposobieniu tak samo jak u Homunkula leżał nieprzeparty pociąg do zmiany. Dziś więc dosiadała konia w cyrku, jutro tańczyła kankana, pojutrze z binoklem na nosie grała rolę „niebieskiéj pończochy,“ albo wyemancypowanéj kobiety-mężczyzny w butach ze sztylpami, albo nihilistki albo wreszcie doktorki.

Wszystko to przejęło ją przesytem; orgia życia nie zaspokoiła jéj ani nasyciła; zmęczona była życiem ale niém nie syta, tak, że przychodziło jéj czasami na myśl zostać pobożną i, jak to mówią, cnotliwą. Miłości próbowała często, przechodząc od bankiera do

druciarza słowackiego, którego chciała podcywilizować, a który uciekł do swéj Marynki. Mściła się téż potém na innych za to nieudane wychowanie dziecięcia natury, składając w ofierze bogu zemsty, hekatombę z mężczyzn. Powołaniem jéj było poszukiwać ideału mężczyzny: starając się ciągle kochać, nie kochała nigdy i kochała zawsze; nie należała do tych, co umierają kochając, owszem żyła z miłości.

Homunkul słuchając jéj opowieści, zaczął okazywać szczególne znaki niepokoju, nie zostające, jak się zdawało, w związku z tém, co Lurlei mówiła; tętno biło mu szybciéj, jakichś kurczowych drgań doznawał w końcach palców, przed oczyma mroczyło mu się, obejmował go zawrót. Przyznał się do tych objawów przed czarodziejką, dodając, że są one tajemniczemi symptomatami jego indywidualności, że oznaczają dziwne, chorobliwie podbudzone przeczucie. Cóż to za przeczucie!—pyta Lurlei zdziwiona.—Przeczucie złota w pobliżu — odpowiada Homunkul. Nie zawiodło ono sztucznego Człowieczka. Lurlei objaśniła, że istotnie w pobliżu znajduje się sławny skarb Nibelungów, który zabrać może taki tylko człowiek, co nie był przez ojca spłodzony. Homunkul jest właśnie takim człowiekiem. W myśli czarodziejki powstaje natychmiast zamiar zdobycia skarbu przy pomocy Człowieczka, podzielić się z nim musi, ale nie byłaby rusałką i kobiétą, gdyby drugiéj połowy nie miała odzyskać. Skarbu strzegł smok o małéj główce, ale za to o 36 ogonach. Lurlei śpiewając „*Wacht am Rhein*“ czy téż „*Sollen ihn nicht haben*“, pogrążyła go w stan hipnozy; a wówczas Człowieczek bez trudu mu wyciągnął ogony, gdyż były nader słabo osadzone. Skarb przeszedł w posiadanie dobranéj pary.

I tu następuje jeden z najświetniéj wykonanych ustępów poematu. I Homunkul i Lurlei pragnęliby posiąść skarb na wyłączną swą własność; używają więc wszelkich środków obałamucenia się: naturalnie wyznania miłosne stanowią środek główny. Jedno drugiemu nie dowierza i przebiegle stara się wyzyskać szanse na swą stronę. Czują oni pociąg do siebie, ale ślepo nie chcą mu się powierzyć, nie działają w nich już ani zmysły ani uczucia; za dużo w nich refleksyi i doświadczenia życiowego. Homunkul sądził, że „korzennemi goździkami wyszukanéj galanteryi“, „przenikliwém zapachem róż perfumowanych“, „paczulowemi słowy“ potrafi podziałać na zmysły czarodziejki. „Nigdym wyżéj się nie podniósł — woła on ogniście—jak gdym leżał u twych stóp. O szczęsny, kto kiedykolwiek widział na białym głazie czarodziejek powiewający jasny twój włos, i szczęsny, kogo czarowna potęga twéj pieśni ku tobie zwabiła, i szczęsny, kto w nurtach znalazł śmierć byle w two-

ich objęciach. Raz tylko, raz jeden chciałbym cię tak ujrzéć na twéj białéj skale w blasku księżyca, gdy ja w lekkim czółenku przepływać będę ku tobie patrząc, za tobą tęskniąc". Lurlei chłodno rozważała słowa Człowieczka. Nie łudziła się wcale: przenikała go na wskroś. Z uśmiechem odrzekła Homunkulowi: „chętnie życzenie twe spełnię, szlachetny Człowieczku!" I gdy Homunkul zeszedł po czółno na brzeg rzeki dla przewiezienia skarbu, ona podążyła na swą skałę, zabierając z sobą wszystko złoto. I Człowieczek istotnie mógł ujrzéć czarodziejkę na skale i patrzéć na nią i tęsknić. Nie stracił jednak przytomności; ukląkłszy na jedno kolano, wysławiał znowu jéj piękność i twierdził, że teraz daleko jest cudniejszą niż w czasach, gdy była rusałką; wówczas bowiem miała tylko złoty grzebień i „złote pieśni", a teraz cały skarbiec złoty. „Jeżeli w zamierzchłych czasach—mówił—nurt już pochłonął wielu z tych, co przepływając w łodzi ciebie postrzegli, ku tobie wzdychali, gardząc nawet gorzką śmiercią, to jakiż los temu przypadnie w udziale, co widzi cię w dzisiejszym blasku, o ty perło w złotéj muszli!... Dziś spoczywasz na skale pełniejsza łask od Madonny, jako bogini szczęścia z rogiem obfitującym we wszelkie dary. Wydaj wyrok na mnie, o najpiękniejsza rusałko! Czy ma mię połknąć fala, czy też wolno będzie żeglarzowi dotrzéć do ciebie, wyżynę twoją z tobą podzielić, bezpiecznie spocząć przy twym boku, gdzie brzmią złote dźwięki?". Lurlei skinęła z uśmiechem. Homunkul śpieszy ku jéj stopom; i porozumiewająco patrzą się sobie w oczy oboje. Z tych dwojga godnych siebie wyższych istot jedna drugiéj nigdy nie zwycięży przebiegłością. Mająż się nawieki rozłączyć? Nie! podają sobie ręce, zawierają związek, by w połączeniu używać i działać, nawet wobec świata chcą go zapieczętować przed ślubnym ołtarzem.

Zamieniwszy skarb Nibelungów na monetę kurs w kraju mającą, Homunkul i Lurlei wyprawili ucztę ślubną, którą Hamerling określa jako „literacką noc walpurgową", robiąc alluzyą do Fausta. Przesuwa tu przed nami całą galeryą spółczesnych działaczów duchowych, poczynając od poetów, których dzieli na cztery grupy: poetów wody, pesymistycznie usposobionych, uważających wszystko na świecie za nędzne prócz własnych swoich wierszy, poetów piwa i wina, zadowolonych ze świata, cierpiących tylko jednę chorobę: wodowstręt, oraz poetów absyntu, podzielających wraz z poprzednimi wodowstręt a z poetami wody zgorzkniały pesymizm i dla tego podwójnie nieszczęśliwych. Obok tych czterech grup osobno występują lirycy miłości, naśladujący poezyą perską, kradnący róże i owoce z Szyrazu i „womitujący następnie gazelami"; daléj

lirycy przybrani w stroje średniowieczne, bo „miłość chętnie chodzi w masce“, następnie lirycy opiewający „nagą prawdę“ i gardzący „przesądami moralnemi“, wielbiciele „wolnéj miłości“. W dalszym pochodzie widać było literacką wyprawę krzyżową dzieci, przezywających się wzajem partaczami i głupcami, drących się za włosy, tłum rozmaitych potworów i niedołęgów: osła z orlemi skrzydłami, świnię ze skrzydłami Psychy, tygrysa z wprawionémi przez dentystę zębami; wszyscy ci mieszańcy więżą w niewoli szlachetną, wysoką postać niewieścią, pełną czystéj piękności, szarpiąc jéj szaty i przywłaszczając sobie bezwstydnie wszystko, co ona wyśpiéwa. Pomińmy zastępy „niebieskich pończoch“, co umieją wszystko tylko “nie milczéć“, pomińmy emancypantki, socyalistki, zarozumialców, „niezrozumianych“, poetów narodowych, którzy tak dobrze przez historyków literatury zabalsamowani zostawali, że mało albo wcale nie śmierdzą, filistrów, krytyków, literatów, których kapłanką jest reklama i którym wydawcy wyprawiają niekiedy hekatomby nie z wołów wprawdzie, ale z raków, pomińmy powieściopisarza realistę, który studyuje chorobę wszawą, bo chce na tym motywie osnuć swój romans, profesora Jägera, który węchem rozczuwając zapachy przyjemne i nieprzyjemne, znajduje wśród ludzi wiele smrodu — ale mało duszy, pomińmy magnetystę, spirytystę, wegietaryanina, wędrownego rapsoda, dyabła, którego już ludzie nie potrzebują i który musi prosić o jałmużnę, kiedy niekiedy zabawiając sztukami jarmarcznemi gawiedź. Zatrzymajmy się tylko chwilkę nad wywoływaczem duchów, który na prośbę autora dostarczył mu do albumu kartkę, napisaną przez „ducha czasu“. Był to artykuł wstępny, wysławiający ducha niemieckiego, literaturę niemiecką, potęgę i wspaniałość języka niemieckiego, a napisany w najczystszéj parlamentarno-dziennikarskiéj gwarze. Przykład téj niemczyzny, która nasunęła autorowi porównanie obecnego „ducha czasu“ z duchem czasu przy budowaniu wieży Babel, warto poznać dla własnéj przestrogi i porównać w myśli z dziwolągami zebranemi przez Blizińskiego. Artykuł ów był najeżony „mit odiösen, ominösen, factiösen, querulösen, und scabresen, so wie auch minutiösen und irrelevanten Themen, Mal- und Tergiversationen, Opportun-inopportunem, Ingerenzen, Entrevuen, Plaidoyers und Pourparlers, Konciliant-, intransigenten Transaktionen, Kompromissen, Inkompatibilitäten, Velleitäten, Chauvinismen—mit so viel perhorrescirten Interims, Strikes, Brouhahas, Salemaleks, Tohubohus“...

Podczas téj olbrzymiéj i nadzwyczajnie urozmaiconéj zabawy o mało co nie rozeszło się świeżo zawarte małżeństwo. Lurlei, jako

prawdziwa czarodziéjka XIX stulecia, rządząca się chwilowemi kaprysami, zostawiła już była liścik do Homunkula z oświadczeniem, że przy uczcie weselnéj znalazła człowieka, który jéj tak przemówił do serca, jak dotąd jeszcze nikt i którego może pokochać zdoła; — ale po upływie półgodziny nabrała przekonania, że człowiek, za którym pójść miała, którego oszołomiona szampanem przedwcześnie wzięła za ideał, jest całkiem pospolitym jegomością. I na czas zdążyła jeszcze powrócić do ślubnego łoża.

Homunkul nie myślał swego skarbu i swoich talentów marnować w starym spróchniałym świecie; szukał więc nowego, gdzieby mógł urzeczywistnić „homunkulizm“ w najwyższym stylu. I on i Lurlei mieli subtelny nad wyraz zmysł do odszukania złota, dlaczegóżby nie potrafili odkryć krainy złota i szczęścia — Eldorada! I odkryli ten raj bez węża, w którym żadnéj nie było z tych plag przyrody i kultury, jakich my w starym świecie doznajemy. Ale za napływem kolonistów zniknęło to idyliczne szczęście, jakiém się cieszyli pierwotni mieszkańcy. Homunkul nie zraził się tém i postanowił urządzić tu państwo wzorowe. Przedsięwzięcie było trudne; sprawa posuwała się naprzód zwolna, tak zwolna jak „dojrzéwa perła w muszli, jak dyament w ziemi, jak pojednanie wśród ludów państwa austryackiego, jak kultura w Kamerunie, jak duch niemiecki w Alzacyi“.

Niepodobna tu powtarzać za autorem całego urządzenia państwowego w Eldorado; trzeba poprzestać na wydatniejszych rysach, lubo w drobnych nawet znalazłoby się dużo trafnéj i dowcipnie wyrażonéj satyry. Otóż przedewszystkiém za najwyższą władzę w państwie ogłoszono „prawo“ i wystawiono je ku powszechnéj czci w świątyni w postaci widzialnéj: miało ono kształt olbrzymiego paragrafu a zrobione było z kauczuku, na oznaczenie, że jest giętkie i nałomne i że daje się wywrócić głową na dół, a przecież formy nie zmienia. Stronnictwa parlamentarne nazywały się według trzydziestu dwu kierunków róży wietrznéj; każde z nich miało sześciu ministrów, którzy stosownie do sprowadzonéj przez kierunek wiatru łaski i niełaski, przychodzili i wychodzili, wychodzili i przychodzili, jak figurki z budek w niektórych przyrządach, wraz ze zmianą wiatru i pogody. Parlament dzielił się na Radę Starych, reprezentującą prawa przeszłości i na Radę Młodych reprezentującą prawa przyszłości; teraźniejszość nie miała przedstawicielstwa. Ucho małe a język duży — to były najpierwsze znamiona prawdziwego reprezentanta ludu. Głosów nie liczono, ale je ważono na olbrzymiéj wadze, stojącéj w środku izby wyższéj. Najwyższą instancyą w rzeczach prawodawczych był głos ludu, zbiérającego się

na rynku, albo też przy dżdżystéj porze w szynkach. Dni świąteczne były zniesione, z wyjątkiem jednego tj. święta ogonów małpich, kiedy na pamiątkę swego pochodzenia, tłum wesoło i bez więzów dniem i nocą tłukł się po lasach, poprzyczepiawszy sobie małpie ogony. Słuszność spraw sądowych rozstrzygała partya szachów między prokuratorem i obrońcą; czasami też boksowanie było w użyciu. Karanie występnych odbywało się według praw natury, ustalonych przez statystykę: dziesięciu złodziejów kieszonkowych dziennie uwalniano, gdyż była to cyfra normalna, ale jedenastego wieszano. Wojny prowadzono według praw mechaniki z zastosowaniem elektryczności; wodzami najwyższymi byli profesorowie chemii, fizyki i mechaniki. Zasadą handlu było zdanie, że każdy jest dla siebie samego bliźnim; fałszowane towary płacono fałszywemi pieniędzmi. Podatków ni ceł nie było; koszta zarządu państwo pokrywało całkowicie pożyczkami. W rzeczach religijnych panowała tolerancya, ale natomiast wprowadzono znowu świętą inkwizycyą w sprawie co chwilowych opinij naukowych; kacerzów tego rodzaju palono bez miłosierdzia. Życie rodzinne oparte było na doborze hodowlanym; noworodków sprzedawano handlarzom dzieci, a kto chciał, mógł wybierać z pośród wielkiego mnóstwa nagromadzonego w handlach.

Homunkul nie doczekał się własnych dzieci, kupił więc sobie dwa piękne egzemplarze, chłopca i dziewczynkę Eldo i Dorę, chcąc na nich wypróbować nowych metod wychowawczych na zasadzie równoprawności mężczyzn i kobiet.

Nie mógł atoli rozwinąć tego wychowania, gdyż żądza złota pod hasłem powszechnéj równości wywołała bunt mniejszości pod dowództwem „Lwa-Zająca“ (Leo-Hase) przeciw większości i zwyciężyła. Lurlei przeszła do obozu zwycięzcy, a Homunkul ledwie się zdołał uratować na lichém czółenku wraz z dziećmi.

Teraz już nie myślał o działaniu na spółczesną ludzkość, zwiędłą i zepsutą do szpiku kości, lecz postanowił zwrócić się do małp, ażeby krótszą, szybszą, umiejętną drogą przeprowadzić przez proces uczłowieczenia i tę resztkę staréj, czcigodnéj rasy. Dla swéj myśli zjednał Homunkulus znaczniejsze grono ludzi, które się związało w towarzystwo akcyjne, mające na celu wykształcenie małp“. Jak niegdyś dla nawrócenia upartych pogan wyruszano z biblią i mieczem, tak teraz z elementarzem i laseczką robiono wyprawę, by pozyskać małpy dla raju wykształcenia“.

Małpy okazały się pojętne, nauczyły się mówić, czytać, pisać, śpiewać, grać, fechtować się, tańczyć. Gdy się wykształciły, stały się potężnemi współzawodnikami ludzi we wszystkich dziedzinach

pracy. Do sztuk pięknych były dzielnie przygotowane wskutek swego talentu do naśladowania. Niezrównane były oczywiście jako aktorzy: farsa, komedya, operetka, parodya miały w nich znakomitych przedstawicieli. Małpy-niewiasty przewyższyły niebawem ludzi-niewiasty w sztuce kokieteryi, bo „któż potrafi lepiéj od małpy ubierać się zawsze według mody?“ Nie brakło naturalnie i takich, co pisały książki, były recenzentami i redaktorami. Nawet na wszechnicach wykładały, a jedna z nich nazwiskiem Koczkodan (*Krallfratz*) z prywatdocenta został rektorem uniwersytetu.

I tak człowiek spadał coraz niżéj, coraz wyżéj wznosiła się małpa, łatwo wdrapując się na wysokie stanowiska ze zwinnością właściwą swéj rasie. Doszło do tego, że niejeden człowiek dla karyery udawał małpę i wślizgiwał się na urzędy, póki się w końcu nie wykryło, że był z rodu człowiekiem; wtedy zazwyczaj spychano ze stanowiska, wstydem i hańbą go pojąc. Małpy bowiem niezadowolone z równouprawnienia przemyśliwały, zrazu pocichu potém jawnie, o wyniesieniu się nad człowieka i protestowały stanowczo przeciwko doktrynie o pochodzeniu jego od małpy. Zrazu zdawały się skłonne do odwrotnego twierdzenia, lecz niebawem zaczęły wywodzić swój ród wprost od bóstwa i przezywać się Sylwanami, Satyrami, Faunami, bogami leśnemi. Nasze wyrażenie „zwierzęcy“ zastąpiły wyrazem „ludzki“, „humanitarny“ na oznaczenie swéj dla ludzi pogardy, jako dla wyrodków swego boskiego plemienia. Ofiarą téj dumy małpiéj (dodajmy w nawiasie, téj zarozumiałości krańcowych doktrynerów) padł mistrz retorty, ów chemiczny ojciec Homunkulusa; niebawem i sam „Człowieczek“ doznał podobnegoż losu. Wychowane przezeń pokolenie małpie, które go niedawno czciło jako Prometeusza narodu Sylwanów, przezywało go teraz ignorantem, głupcem, nieukiem; toż on przecie bądź-co-bądź człowiekiem tylko, daleko mu do małpy!

Powstanie małp pod dowództwem przybysza z Benares, czczonego tam jak bóstwo, powiodło się: Homunkulus i ludzie pokonani zostali, na tronie zasiadł ów dowódzca „Długoręki“, ale nie na długo; dzikie pokolenie Indyan, mieszkające w pobliżu, wcale nie rozumiejące i nie ceniące kultury małpiéj, odebrało naprzód żywność małpom a potém na wygłodniałe napadło, a te poczuwszy w koszach jedzenie porzuciły broń i zabrały się do gryzienia; wszystkie jednak owoce były zatrute; Indyanie wybili małpy; tylko króla „Długorękiego“ sprzedali wędrownemu właścicielowi wielkiéj menażeryi. Król musiał teraz pokazywać sztuki pospólstwu; co w nim było rozumem, wysoką kulturą, głupi tłum poczytywał za tresurę. Dotknęło to boleśnie „Długorękiego“. Przypominając sobie swe

ubóstwienie w Benares i swe królowanie, powstrzymał się od pokarmu i umarł z godnością, usiadłszy na dwu łapach: „i siedział tak umarły i wyprostowany, jak siedzi cesarz Karol w grobie cesarskim w Akwizgranie“.

Homunkulus tymczasem skorzystał z wielkiéj nienawiści, jaka się w Europie do żydów nanowo przejawiła, zorganizował emigracyą ich do Palestyny. Ciągnęło go coś do rasy semickiéj. „Żydowski zmysł i żydowska istota, bystrość rozumu żydowskiego, gryząca jak kwas saletrzany, przebiegle-śmiała energia i inne jeszcze cechy żydowstwa w blizkim były, jak mu się zdawało, związku z jego własną istotą, z homunkulizmem“. Gdy cały świat chrześciański ogłosił się poprostu za niewypłacalnego względem żydów, pomogło to wielce do ostatecznéj decyzyi wywędrowania do Jerozolimy. Homunkulus został żydem, przezwał się Gotthold Efraim Munkel i został wodzem wyprawy, a następnie i królem narodu żydowskiego. Lurlei, która po przejściu różnych przygód stała się w końcu dewotką i przybyła do Jerozolimy w gronie chrześciańskich pielgrzymów, dała się przez Homunkula namówić do podzielenia jego tronu i łoża. Więc i Lurlei została żydówką i państwo „nowego Izraela“ czuło się na chwilę szczęśliwe. Ale niebawem wystąpiły na jaw niedogodności. Żydzi nie mieli na czém i na kim swojego sprytu doświadczać; byli „pokrywą bez garnka“. Napróżno król starał się zużytkować ich przedsiębierczość w założonéj przez siebie „giełdzie towarowéj“, w któréj wszystko było kupowane na to tylko by zaraz być sprzedaném; igraszka ta nie mogła starczyć nadługo. Własne tylko towarzystwo dokuczało żydom w najwyższym stopniu. Rotszyld popadł w obłąkanie, odprzysiągł się tabliczki mnożenia, rzucił się do kabały, plótł apokaliptyczne głupstwa na rynku i na giełdzie; podawał się za proroka Jeremiasza; lud go unikał jako szalonego żebraka. Ahaswer wydał się teraz symbolem przekleństwa ciążącego na narodzie żydowskim, który się przesycił istnieniem ziemskiém. Ale w tymże czasie i Zachodowi źle było bez żydów; gdy ich zabrakło, okazało się, że wiele narodów ani żyć ani umrzéć bez nich nie może. Żydzi zbuntowali się przeciw Homunkulowi i po staremu powiesili na krzyżu, a sami wezwani przez Zachód opuścili Jerozolimę co do jednego. Lurlei z pewnym emirem pojechała do Konstantynopola. Homunkul na krzyżu prowadził pesymistyczne z Ahaswerem rozmowy, ale umrzéć nie chciał, pragnął bowiem wyłożyć jeszcze ludziom wyższość „niebytu“, pragnął opowiedziéć „wielką ewangielią śmierci“. Wyswobodzony przez Ahaswera, z nim razem powędrował w świat jako apostoł pesymizmu.

Nudy, przesyt, rozczarowanie, splin, rozdwojenie w sobie i ból wszechświatowy dawniejszych pokoleń ludzkich wydały się tylko niewinną przygrywką, gdy zaczęła grasować wielka zaraza pesymizmu; gdy wyrostki już byli hipochondrykami, a dziewczęta w trzecim roku życia cierpiały na histeryą, gdy w końcu nawet zwierzęta zaraziły się od ludzi newrozą, a woły przeżuwały Schopenhauera.

Homunkul rozpatrywał różne sposoby, ażeby życie, a więc i cierpienia ze świata usunąć. Myślał o nowych piorunujących zarazach, o wielkich walkach narodowych i rasowych, o zupełném odosobnieniu płci; ale te środki działały za powolnie; trzeba było zwołać kongres powszechny gardzących bytem; porozumienie się było już ułatwione przez wynalezienie volapüku, a za pośredników między światem ludzkim a zwierzęcym wybornie służyć mogły papugi wraz ze srokami, szpakami i dzięciołami. Kongres przyszedł do skutku; po wypowiedzeniu mnóstwa mów, w których wyśmiewano się z marności życia i wiedzy ludzkiéj i podawano różne sposoby wygubienia żyjących, przyjęto w końcu projekt doktrynera niemieckiego, że jedynym skutecznym środkiem jest, żeby w jednym czasie wszystkie istoty wyrobiły w sobie chęć nie życia. „Zaprzeczenie samego siebie", „powszechne zaprzeczenie samego siebie", oto lekarstwo radykalne—wołała papuga, rozwodząc się w cytatach ze wszystkich książek we wszystkich językach. Termin oznaczono na 1 kwietnia (*prima aprilis*) i w tém popełniono omyłkę, bo wiosna bynajmniéj nie przyczynia się do obudzenia niechęci do życia. Jedna kochająca się para, Eldo i Dora, unicestwiły plan uczonego kongresu pesymistów.

Homunkulus, zawiedziony w téj ostatniéj nadziei dokonania czegoś wielkiego, pozostawił oporny świat nędzy dalszego istnienia; sam z trudnością wynalazłszy pustynię, w samotności poświęcił się pracy dotychczas przez siebie nie podejmowanéj, tj. wiedzy. Zaprzągł wszystkie siły przyrody do roboty i dokonał wielkich wynalazków. Zbudował maleńką maszynkę do myślenia, którą można było nosić w kieszeni jak zegarek, potém wielką maszynę tegoż rodzaju a przy jéj pomocy wynalazł powszechny środek leczniczy, i powszechny środek uprzyjemniający; oraz wiele narzędzi, podnoszących bystrość każdego ze zmysłów naszych. Wpadł nawet na pomysł, że walki umysłowe, ścieranie się stronnictw mogłyby dostarczyć olbrzymiego zapasu ciepła, któreby daleko lepiéj dały się zużytkować w sposób mechaniczny do poruszania maszyn. Wyrabiał też ludzi daleko szybciéj, *à la minute*, aniżeli jego ojciec chemiczny; dużo człowieczków biegało koło niego. Te wszystkie je-

dnak wynalazki nie zadawalniały go, bo „człowiek choćby wszystko co najwyższe na ziemi osiągnął, zawsze dąży w dal, z ziemi aż do gwiazd krainy“. Zbudowanie więc statku powietrznego, któryby zabezpieczony był od wszelkich przypadłości a zawierał w sobie wszystko co do życia potrzebném, stało się jego wyłącznem życzeniem. Spełnił je i obejrzał ziemię z góry. „Pustynie lodowe smutnie tam sterczały bez końca około biegunów, pustynie lodowe, pustynie piaszczyste, pustynie wodne—a między niemi cokolwiek ziemi dla człowieka“. Rzucił ziemi, księżycowi i planetom słowa pogardy, lecz niebawem przekonał się, że wszechmocnym nie jest: błyskawica uderzyła w jego statek, zajęło się wszystko płomieniem, czego nie zrobił z materyału niepalnego. On jednakże w swym balonie pozostał nietkniętym a przesuwając się koło klasztoru zakonnic, poznał trupa Lurlei, i wziął go z sobą na bezustanną wędrówkę wśród najwyższych regionów eteru.

Stamtąd dopiero ziemia ukazała mu się w ujmującéj postaci, jako piękna, jasna gwiazda, pełna cudnego blasku; stamtąd dojrzał Eldo i Dorę opromienionych szczęściem, jako obraz siły pierwotnéj ludzkości duszą obdarzonéj, który chociaż zaciemniony i osierocony, utrzyma się nazawsze aż do końca dni wszystkich; stamtąd zobaczył bohaterów, męczenników, co walcząc za ideały, poświęcają siebie ochoczo, zobaczył bohaterów swobodnego badania, bohaterów wiedzy, którzy „czystém“ okiem unoszą zasłonę Izydy i u których światło w głowie łączy się w parę z ciepłem w sercu. Wtedy zdjęła go tęsknota za ziemią: i wolałby żyć w ciasnych tam szrankach, aniżeli czuć się wiecznie nieszczęśliwym wśród nieskończoności. Ale tęsknota jego nie mogła być zadowolniona; stał się Ahaswerem przestrzeni wszechświata i ciągle będzie krążył w odwiecznych odległościach niebos, nawet wówczas gdy Ahaswer ziemski przybije do portu ukojenia.

Dlaczego tak? W odpowiedzi na to pytanie tkwi zarazem dodatnia myśl satyrycznego poematu. „Komu natura—mówi Hamerling, ta święta, tajemnicza matka nie dała życia przez miłość, nie dała życia w miłości; temu odmawia także śmierci, a przedewszystkiém śmierci najpiękniejszéj: zamierania w miłości; żaden grób błogiego pokoju, żadne miejsce wiecznego spoczynku nie znajdzie się dla niego w szerokiéj przestrzeni wszechbytu“.

Tęż samę myśl wyraził poeta i w epigrafie swego utworu: „Duch—powiada tu—i zmysły dręczą się wiecznym niepokojem; tylko w sercu kiełkuje pokój, kiełkuje radość, żyje miłość, żyje święta chęć życia“.

Poznajemy w téj radzie romantyka, który widzi panaceum tam, gdzie jest tylko jednostronny środek leczniczy. Miłość tak samo niepokoi i dręczy człowieka, tak samo zatruwa mu życie, jak rozum i zmysły; jest ona dźwignią życia ale i narzędziem jego zniszczenia. Tylko harmonijne połączenie żywotnéj działalności zmysłów, rozumu i uczucia może ludzkość uchronić choć w części od cierpień, którym podlega; lecz jest-to ideał, dotychczas na ziemi nieosiągniony. Homunkulus dostrzegł go na ziemi, ale dopiero z eterów podniebnych, za pośrednictwem swoich cudownych teleskopów. Wskazówka przez Hamerlinga dana dobrą jest jedynie jako protest przeciw krańcowemu, doktrynerskiemu uwielbieniu rozumu, nie zaś jako recepta zbawienia powszechnego.

Jeżeli jednak w wyrażeniu dodatniéj myśli poematu nie znajdujemy zupełnego zaspokojenia, to w satyrze przyznać należy poecie mistrzowstwo. Od czasu „Don Juana" Byronowskiego nie było podobno tak wielostronnie i tak dowcipnie przeprowadzonéj krytyki dzisiejszych stosunków i chorobliwości ogólnéj, gorączki złota, wyziębienia serc, poniżenia literatury, zmechanizowania społeczeństwa, plagi głupich krańcowych naśladowań idei wielkich, jak „Homunkulus".

Piotr Chmielowski.

Z DZIEDZINY NAUK POLITYCZNYCH.

Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj. Napisał dr. Antoni Okolski (Warszawa, 1887, str. 596).

W roku 1887 ukazała się praca prof. Okolskiego, pod powyżéj wymienionym tytułem. Autor był już od lat dwudziestu z górą znany w literaturze polskiéj prawniczéj a ślady sumiennéj jego pracy spotykamy w prawie i procedurze cywilnéj, w procedurze kryminalnéj, a najczęstsze w prawie administracyjném. Ostatnie dzieło jest pierwszym występem prof. Okolskiego w dziedzinie prawa państwowego, chociaż nadmienić wypada, iż przedmiot powyższy wykładał dawniéj, a więc był z nim obeznany, i obecnie wydana praca może służyć tylko za jeden dowód więcéj, jak gorliwie spełniał swe profesorskie obowiązki.

Jakkolwiek nauki państwowe mało u nas posiadają pracowników i zaledwie kilka nazwisk trwaléj się zaznaczyło w specyalnéj literaturze polskiéj (pr. Oczapowski i pr. Kasparek) a jedno tylko polskie nazwisko w literaturze niemieckiéj (pr. Gumplowicz), rok 1887 można nazwać wyjątkowo szczęśliwym, albowiem pojawiły się dwa traktaty prawu państwowemu poświęcone, i rzec można, że się uzupełniają wzajemnie, nie przypominając łacińskiéj zasady „*non bis in idem*". Prawo bowiem polityczne pr. Kasparka zostało wywołane potrzebą młodzieży uniwersyteckiéj i stanowi podręcznik ograniczony celami oraz wymaganiami uniwersytetu. Tymczasem pr. Okolski, tak przynajmniéj pozwalam sobie przypuszczać, rozszerzył zakres swéj pracy, chcąc ją uprzystępnić dla większych kół inteligencyi, nie zajmujących się specyalnie prawem publicznem.

Zagraniczne literatury polityczne posiadają już od dość dawna tego rodzaju prace, przeznaczone dla wykształconych obywateli

(*Bücher für Gebildete*). W Niemczech Bluntschliego próba uznana została za udatną i pożyteczną, a we Francyi ukazują się coraz częściéj podobne publikacye, z których pozwolę sobie wymienić jednę, bardzo udatną pp. Bard et Robiquet, p. t. *„La constitution française de 1875, etudiée dans ses rapports avec les constitutions etrangères“* (1878). W obecnéj chwili zatém, gdy rozwój nauki prawa państwowego postępuje niezmiernie szybko i gdy coraz szersze koła społeczne używane są do udziału w życiu i ciężarach publicznych, zbytecznémby chyba było dowodzenie, że praca pr. Okolskiego jest na czasie, lub że zdoła obudzić interes po za szczupłém gronem zwolenników nauki. Mniemam też, że nie nadużyję zbytecznie cierpliwości czytelnika, jeżeli uwagę jego zajmę pokrótce oceną dzieła, będącego owocem pracy sumiennego i doświadczonego badacza.

Prof. Okolski, jak się łatwo o tém przekonać można, wykonał dopiéro połowę zamierzonéj pracy. Książka bowiem, którą opublikował, zawiera jedynie ustrój władzy prawodawczéj i wykonawczéj. Opisanie zaś ustroju władzy sądowéj, oraz instytucyi prowincyonalnych miejskich i gminnych, a wreszcie wyjaśnienie stosunku pojedyńczych obywateli do państwa wypełni w przyszłości tom drugi. W książce, oddanéj już pod sąd publiczny, pr. Okolski przedstawił ustrój państw następujących: 1) Anglii, 2) Austro-Węgier, 3) Belgii, 4) Czarnogórza, 5) Danii, 6) Francyi, 7) Grecyi, 8) Hiszpanii, 9) Holandyi, 10) Niemiec, 11) Portugalii, 12) Rosyi z Finlandyą, 13) Rumunii, 14) Serbii, 15) Szwajcaryi, 16) Szwecyi i Norwegii, 17) Turcyi z krajami hołdowniczemi (Bulgaryą, Rumelią i Egiptem), 18) Włoch i 19) Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj.

W przedstawieniu ustroju politycznego wymienionych państw, trzymał się sz. autor jedynie porządku alfabetycznego krajów, czyli wyraźniéj mówiąc, dał w pracy swéj dziewiętnaście luźnych, obok siebie stojących obrazów ustroju politycznego. Podobny system trudno uważać za odpowiedni i pożyteczny. Przedewszystkiém bowiem wpływa na nużącą rozwlekłość pracy i na częste powtarzanie opisów instytucyi podobnych do siebie lub różniących się błahemi tylko szczegółami. Następnie, alfabetyczny porządek nie pozwala, nawet ogólnie ukształconemu czytelnikowi zoryentować się w pracy i znuży go raczéj, niż zachęci do dalszych studyów. W dziewiętnastu opisach ustroju politycznego, trudno bowiem zauważyć podobieństwa lub różnice, czy to zasadnicze, czy formalne. Pogląd porównawczy, dozwalający wniknąć w istotę państwa nowożytnego, przytłumiony zostaje ogromem szczegółów, oznaczających odmienną nazwą, często rzecz zupełnie tę samę.

Porównawczy pogląd winien być jednak danym przez badacza, i trudno wymagać od czytelnika, aby z mozołem i bez doświadczenia naukowego porównywał z sobą dziewiętnaście luźnych obrazów ustroju państwowego.

Nie ulega żadnéj wątpliwości, że w ubiegłych wiekach zarówno jak i XIX stuleciu, trzymali się niektórzy ze statystów, systemu przyjętego przez pr. Okolskiego. Zwykle jednak fakt ten mógł być uzasadniony specyalnemi motywami. Jeżeli np. de Réal w słynnéj swego czasu „*Science de gouvernement*“ (1762) dał w tomie drugim luźne obrazy współczesnych konstytucyi, to dla tego prawdopodobnie, że naówczas wiadomości o ustroju państw były trudniejszemi do nabycia a więc pożądańszemi, można było zatém w wielotomowéj nauce państwowéj, poświęcić jeden tom wiadomościom więcéj informacyjnym. W XIX wieku przypominają mi się w téj chwili dwaj uczeni angielscy rozgłośnego imienia, Hallam (*View of the state of Europa during the middle ages*) i May (*Histoire de la démocratie en Europe* tł. Fargues), którzy bez zachowywania alfabetycznego porządku krajów, trzymali się podobnego co pr. Okolski systemu. Przypuszczalnie wszakże obu angielskim uczonym chodziło o dzieła wykończające historyą konstytucyi państw europejskich a więc posuwające naukę państwową naprzód; tymczasem zadaniem pracy pr. Okolskiego, jak przypuszczam, było popularyzowanie nauki prawa państwowego, a popularyzowanie wymaga z natury rzeczy tego systemu, który najbardziéj ułatwia nie zaś utrudnia poznanie przedmiotu.

Że system, przyjęty przez sz. autora, okazał się dla niego samego niewygodnym, przekonywa najlepiéj rozdział VII jego pracy, w którym aby wykazać różnicę, zachodzącą między rządami parlamentarnemi w Anglii a konstytucyonalizmie w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, zmuszonym jest mówić o Ameryce na str. 98, kiedy właściwie powinien się konstytucyą tegoż państwa zajmować dopiero na str. 520. Konieczność zmusiła zatém pr. Okolskiego do dwukrotnego porzucenia wybranego przez siebie systemu. Naprzód bowiem porządek alfabetyczny musiał być gwoli niektórym wyjaśnieniom złamany a następnie tenże sam porządek alfabetyczny skłonił sz. autora do przekroczenia granic nauki prawa państwowego i do przywołania na pomoc nauki polityki. Uwagi bowiem, dotyczące porównania rządów parlamentarnych z konstytucyjnemi, należą nie do prawa państwowego, ale do téj ostatniéj nauki. Wątpić jednak należy, czy przyjęty przez sz. autora sposób załatwiania się z trudnościami, płynącemi z przyjętego systemu jest dobry i odpowiada celowi. Nasamprzód

wtrącone uwagi z dziedziny innéj nauki i z powodu innego państwa, wprowadzają do książki pewne zamieszanie, a bynajmniéj nie przyczyniają się do wyczerpania przedmiotu.

Uwagi też sz. autora wykazujące różnicę między parlamentaryzmem angielskim a konstytucyonalizmem północno-amerykańskim pozostawiają i w szczególności i wogóle nieco do życzenia. W szczególności bowiem odwołując się do nauki polityki, nie uwzględniono téj ważnéj okoliczności, że Stany Zjednoczone, dawniéj jako związek państw, a dziś jako państwo związkowe, nie mogły przyjąć systemu parlamentarnego wobec części państwowych, posiadających prawie zupełną autonomią. Wogóle więc, trzeba było, czyniąc już raz zbyteczne dla dzieła porównania, wybrać, które z państw europejskich zbliżone przynajmniéj w zasadach głównych więcéj do Anglii. Królestwo Pruskie zanim stało się częścią składową odrodzonego cesarstwa Niemiec, miało konstytucyą i reprezentacyą narodową, a nie miało ani systemu parlamentarnego ani było państwem związkowém. Porównanie zatém Anglii z Prusami byłoby już w ostateczności odpowiedniejszém, gdyby wogóle tego rodzaju porównania można uznać za należące do przedmiotu. W każdym razie żałować należy, że sz. autor, tak dokładnie obeznany z literaturami politycznemi i posiadający niezaprzeczenie bogate doświadczenie naukowe wraz z sumiennością w pracy, nie szedł śladami wytkniętemi przez Bluntschliego oraz pp. Bard et Robiquet. Ci ostatni zwłaszcza przedstawili systemem porównawczym, ustrój państw europejskich w sposób jasny, treściwy i wyczerpujący, tak, że każdy wykształcony czytelnik, bez nadzwyczajnego mozołu, dużo zapamiętać i nauczyć się z ich dzieła potrafi.

Drugi zarzut, jaki ośmielam się uczynić sz. autorowi jest ten, że nie zamknął się należycie w przedmiocie studyów przez siebie wybranym, lecz włączył do książki historyą prawa państwowego, która jako dodatek do dziewiętnastu obrazów, musiała przepełnić książkę mnóstwem szczegółów, utrudniających zapamiętanie a nawet dostrzeżenie rzeczy ważniejszych. Zwłaszcza przy systemie alfabetycznym, traktującym nie porównawczo, lecz zestawiającym obok siebie ustrój rozmaitych państw, dołączenie historyi prawa państwowego musiało być bardzo uciążliwém. Pr. Okolski nie zaznaczył bowiem głównych różnic, jakie między ustrojem stanowym a konstytucyjnym panowały, lecz starał się razy dziewiętnaście przedstawić genezę pojedyńczych ustrojów. Użyłem naumyślnie wyrażenia „starał się przedstawić“ dla tego, że istotnie okazała się znowu wybrana metoda autorowi zbyt niewygodną i poczynić musiał od niéj w toku pracy odstępstwa.

Historyą konstytucyi angielskiéj traktował autor wprawdzie dość obszernie ale w stosunku nieproporcyonalnym do innych państw. Pr. Okolski przytacza niewątpliwie ważne powody tego uprzywilejowania ustroju monarchii brytańskiéj, ale niemniéj jednak w historyi prawa państwowego innych krajów znajdujemy znaczne szczerby. Gdy sz. autor doszedł do historyi konstytucyi pojedyńczych państw niemieckich, zadowolnił się oświadczeniem, że zasady w nich panowały wspólne, a więc można je pominąć milczeniem. Nie sądzę aby to było szczęśliwém usunięciem trudności. Ustrój bowiem „*Sacri Imperii Romani Nationis Germanicae*“, już od XVII wieku, jak to późniéj Severinus de Mozambano (Puffendorf) zauważył, był monstrualnym, a środek ciężkości życia państwowego przeniósł się do części składowych, czyli t. z. państw terytoryalnych. Tymczasem książka pr. Okolskiego podaje obraz konstytucyi niedołężnego Cesarstwa, pomijając milczeniem ustrój pojedyńczych państw, który był trudny do uwzględnienia tylko przy alfabetycznym porządku.

Kończąc uwagi, odnoszące się do metody traktowania przedmiotu, wypada mi jeszcze słówko powiedziéć o sposobie przytaczania bibliograficznego materyału naukowego. Pr. Okolski uważał za stosowne trzymać się tego systemu, że przy początku rozdziału, poświęconego ustrojowi danego państwa, wymienia tytuły dzieł odnoszących się do traktowanego przedmiotu i na tém kończy rzecz bibliograficzną. Podobny sposób muszę uznać za nieodpowiedni, zarówno dla dzieł naukowych w pełném znaczeniu tego wyrazu jak i dla prac popularyzujących naukę. W pierwszéj kategoryi studyów, autor winien się usprawiedliwić bardzo szczegółowo: zkąd materyał czerpał i jak go rozumiał, a w drugiéj kategoryi prac, autor obowiązany jest objaśnić czytelnika, choć pokrótce o ważności materyału bibliograficznego. Nie należy, w żadnym razie, ukształconego ale nie fachowego czytelnika przerażać ogromem bibliograficznych cytat, lecz wypada raczéj oświecić i wskazać mu do jakich prac uciec się winien, gdy zapragnie bliżéj poznać się z przedmiotem. Sz. autor nie uważał za stosowne uczynić tego, chociaż w stosach dzieł, które przytoczył, jest dużo materyału przestarzałego, a natomiast nieznajduje się prac, bez których o ustroju pewnych państw trudno powziąć gruntowniejszéj wiadomości. Ponieważ jednak w specyalnych zarzutach przyjdzie mi powrócić jeszcze do téj kwestyi, przeto obecnie nie będę się nad nią rozwodził, przechodząc do treści samego dzieła.

Usprawiedliwiając rozległy obszar poświęcony konstytucyi angielskiéj, która zajmuje więcéj niż $^1/_6$ książki, sz. autor nadmie-

nia, że jak prawo rzymskie wywarło znakomity wpływ na rozwój prawodawstw cywilnych, tak angielskie prawo państwowe oddziałało podobnie na rozwój instytucyi państwowych europejskich, zwłaszcza od XVIII wieku, kiedy zaczęto baczniejszą na nie zwracać uwagę. Nie dziwię się bynajmniéj temu, że pr. Okolski, jak każdy zajmujący się gruntownie prawem państwowém, pozostawał pod urokiem Anglii, jako kolebki europejskiego konstytucyonalizmu, lecz zdaje mi się, z tém wszystkiém, że wpływ instytucyi państwowych angielskich na kontynentalne znacznie przecenił, porównywając go z wpływem prawa rzymskiego. Prawo rzymskie, nie tylko służyło za modłę w pewnéj części prawu kanonicznemu, w znaczniejszéj prawu cywilnemu i państwowemu, w całym szeregu krajów, lecz nawet tam, gdzie nie zdołało otrzymać przewagi, jak w Anglii, po nienawiści, jaką ściągali na siebie jego zwolennicy, można wnosić, jak potężném było oddziaływanie tegoż prawa, jako zwiastuna cywilizacyi na ogólny rozwój państwowych instytucyi. — Słusznie też mógł zauważyć Ihering w pomnikowém dziele „*Geist des römischen Rechts*“ (Tom I. Wstęp), że Rzym starożytny podbił trzykrotnie świat, a narzędziem trzeciego podboju było prawo.

Takiego wpływu prawu państwowemu Anglii, ani dawniéj ani dzisiaj przyznać nie podobna, nie chcąc wpaść w bezowocną przesadę. W ubiegłych wiekach wpływu jakiegokolwiek instytucyi angielskich na kontynentalne trudno dowieść, zwłaszcza że rozwijały się, rzec można, w przeciwległych kierunkach. — Konstytucya angielska wyrabiała w sobie coraz dokładniéj zasady państwa nowożytnego, zwanego praworządném (*Rechtsstaat*), gdy tymczasem kontynentalne konstytucye oparte były na odrębności stanowéj, albo przeistaczały się, dzięki prawu rzymskiemu, w formę oświeconego absolutyzmu. Pomimo też, że narodowi uczeni skłonni są do optymizmu na rzecz własnego kraju, jednakże Hallam, nie mówi nic o owym wpływie Anglii na kontynent i tylko zaznacza, że począwszy od XV wieku, Anglia posiadała w Europie reputacyą rządzenia się dobremi prawami, które wolność obywateli zabezpieczały (1).

Jeżeli też czytelnik zada sobie trud przejrzenia w dziele de Réala (*Science du gouvernement*), swego czasu cenioném, ustępu odnoszącego się do konstytucyi angielskiéj, ujrzy wprawdzie wyrażenie podziwu, ale podziw ten wywołany został duchem politycznym, jaki ogarnął nawet najniższe warstwy społeczeństwa angielskiego. Wzmianki zaś o wpływie instytucyi angielskich na kontynentalne

---

(1) Die Geschichte der Verfassung von England. Tłóm. Rüdera. Część I. Str. 4.

dostrzedz trudno (1). W wieku XVIII zauważyć można istotnie we wszystkich literaturach kontynentalnych, zajęcie się instytucyami państwowemi W. Brytanii, lecz wpływu bezpośredniego tychże instytucyi na konający *„ancien regime“* także nie ma. Dzieła Montesquieu'go, de Lolme'a zaznaczyły niewątpliwie pewne korzyści ustroju brytańskiego. Również w dziele Konarskiego „O skutecznym rad sposobie“ (2) znaleść można ciekawy fragment o konstytucyi brytańskiéj, redagowany głównie przez księcia Adama Czartoryskiego, który się z niemi zapoznawał na miejscu.

We wszystkich pracach ówczesnych, poświęconych Anglii, nie doszuka się badacz zrozumienia zasad parlamentaryzmu, lecz zaznaczoną jest jedynie dodatnia, formalna strona ustroju parlamentarnego, która dla kontynentu mogła przynieść tylko drugorzędne korzyści. Wreszcie konstytucyonalizm kontynentalny w XIX wieku, urobił się głównie pod wpływem zasad wielkiéj rewolucyi francuskiéj, przeszczepianych w różne strony Europy przez jéj zwiastuna mieczowego Napoleona I (3). — Konstytucyonalizm kontynentalny był téż żywym protestem przeciw przeszłości w imię praw natury, tymczasem konstytucyonalizm brytański był dalszym i spokojnym téj przeszłości rozwojem. W prawie państwowém, powstałém skutkiem wielkiéj rewolucyi, Anglicy dostrzegali tylko metafizykę, arytmetykę i geometryą, połączone w spekulacyjną teoryą (4), w swoich zaś instytucyach widzieli powoli i bez przerwy rozwijający się rozum stanu. Jakim sposobem wreszcie miał kontynent europejski, w pierwszéj połowie XIX-go stulecia, korzystać z instytucyi brytańskich, kiedy nie posiadał do tego odpowiednich podstaw. Uwłaszczenie włościan nie było jeszcze faktem dokonanym, a bez uwłaszczenia samorząd istniéć nie był w stanie. Tymczasem siła niespożyta konstytucyi angielskiéj tkwiła w *selfgovernmencie* lokalnym, a parlament brytański miał najtrwalszą podstawę w parafialnych instytucyach. Rzeczywiście téż dopiéro w drugiéj połowie XIX-go stulecia dostrzeżono, głównie, dzięki pracom Gneista, donosłość instytucyi państwowych brytańskich. Odtąd poświęcono im bardzo pilną na kontynencie uwagę, jako kolebce konstytucyo-

(1) Tom 2. Str. 334: „le moindre bourgeois, le plus petit marchand, un artisan croit avoir sa part à la querelle génerale de la Nation“ i t. d.

(2) Część IV. Str. 37 i dalsze (1763).

(3) Najlepszy dowód znaleść można w memoryale Hardenberga, który przedrukował Ranke w dziele „Hardenberg und die Geschichte des preussischen Staates.“

(4) Burke „Betrachtungen ueber die französische Revolution“ Tłóm. Gentza. Tom II. Str. 34.

nalizmu europejskiego i wywarły one rzeczywiście wpływ na nauki państwowe. Pośrednio więc także i na instytucye. ale tylko pośrednio, albowiem już Vincke zauważył, że instytucye brytańskie zdają się być przyrośniętemi do wyspy i miejscowych ludzi (1).

Mówiąc o władzy skarbowéj w Anglii (str. 40), pr. Okolski utrzymuje, że jednym z głównych powodów powstania parlamentu, zwłaszcza zaś izby niższéj, była potrzeba uchwalania podatków. Zdanie sz. autora odnaleść można w Gneiscie (2) i u innych autorów rozgłośnéj powagi. Zdaje się wszakże, że większe prawdopodobieństwo przemawia za poglądem Riessa (3), który na mocy bardzo starannie zebranych materyałów dowodzi, że izba gmin powstała najprzód z powodu konieczności kontrolowania administracyi prowincyonalnéj, następnie, że administracya finansów potrzebowała ludzi zaufania, których jéj wygodnie było brać z izby gmin w charakterze poborców podatkowych, a dopiero późniéj izba gmin okazała się potrzebną do uchwalania podatków. Ostatni ten przywiléj izby gmin był jednak przez dość długi czas czysto formalnéj natury.

Pr. Okolski pominął w rozdziale o skarbowości angielskiéj, historyą tak zwanych „*tacked bill*," które Gneist określa terminem „*bepackter bill*," a Biliński w systemie skarbowości zwie „bilem przeładowanym." Nie chodzi mi bynajmniéj o jeden szczegół więcéj w pracy pr. Okolskiego, jeżeli téż czynię mu z powodu tego opuszczenia zarzut, to jedynie dla tego, że nic tak nie uwydatnia różnicy między konstytucyą angielską a stanowemi instytucyami kontynentalnemi, jak właśnie dzieje owych bilów przeładowanych, mocą których reprezentacya chciała pozbawić władzę wykonawczą samoistności.

Wreszcie z drobniejszych przeoczeń wymienić należy na str 38, opuszczenie trzeciéj formy, jakiéj monarcha używał, zgadzając się na bile prywatne. Forma ta brzmiała „*soit fait, comme il es desiré*." Prócz tego ośmielę się zwrócić uwagę sz. autora na porównanie rozwiązania parlamentu (*dissolution*) ze śmiercią cywilną (str. 60), którego nie uważam za zbyt fortunne. Fikcyi śmierci cywilnéj służy za podstawę pojęcie kary, tymczasem rozwiązanie parlamentu nie jest bynajmniéj karą, lecz odwołaniem się władzy wykonawczéj od reprezentacyi narodu do wyborców, którzy nowym wyborem swe przekonania zamanifestować powinni. Wreszcie na za-

---

(1) Darstellung der innern Verwaltung Grossbritanniens. Str. 7.

(2) Englische Verfassungsgeschichte. Str. 360.

(3) Geschichte des Wahlrechts zum englischen Parlamente. Str. 14.

kończenie przeglądu konstytucyi brytańskiéj powtórzyć winienem, że pożyteczniejby było dla czytelnika miéć wykazane różnice, jakie zachodziły między parlamentem brytańskim a reprezentacyami stanowemi, aniżeli czytać szeroki opis instytucyi, zawierający dużo szczegółów, nie wrażających się, lecz przeładowujących pamięć.

Dopiero jednak, gdy pr. Okolski załatwił się z ustrojem angielskim, a przeszedł do innych państw, rozpoczynając od Austro-Węgier, występuje w całéj pełni na jaw, niepraktyczność włączania historyi prawa państwowego do książki, poświęconéj ustrojowi politycznemu istniejącemu. Dopóki téż była mowa o Anglii, można było, odrzucając na stronę odcienia szkocko-irlandzkie, dać jakikolwiek obraz instytucyi państwowych, lecz gdy koléj przyszła na Austro-Węgry, nie posiadające jednolitéj reprezentacyi i gdzie trzeba było przechodzić kolejno konstytucye prowincyonalne, wówczas system przyjęty przez sz. autora okazał się niemożliwym do ścisłego przeprowadzenia. Omawiając téż historyą prawa państwowego austryackiego, sz. autor nie uważał za stosowne nadmienić choćby jedném słowem o starożytnéj konstytucyi Czech, oryginalnéj Tyrolu, a wzamian za to dał szczegóły wzięte z historyi politycznéj krajów austryackich, które w pracy, prawu państwowemu poświęconéj, są zupełnie nie na miejscu. Czytelnika bowiem, pragnącego poznać historyą instytucyi politycznych w Austryi, mało może pouczyć wiadomość, że np. kraje nad Dunajem w pierwszym wieku po Chrystusie zostały podbite przez Rzymian, którzy utworzyli z nich cztery prowincye etc. Sądzę, że sz. autor niepotrzebnie a przynajmniéj bez pożytku dla kogokolwiek, trudnił się przeglądaniem historyi politycznych Austryi. Lepiéjby było w każdym razie uwzględnić pracę Ulbricha p. t. *Lehrbuch des oesterreichischen Staatsrechts*, która do dziś dnia przedstawia najlepiéj prawo państwowe austryackie.

Historya konstytucyi węgierskiéj nie doczekała się u pr. Okolskiego większych względów. Kilka pobieżnych wiadomości o bulli złotéj Andrzeja II i izbie magnatów, nie zastąpi ciekawych szczegółów o zasadach reprezentacyi sejmowéj, które można było przytoczyć z wiadomego sz. autorowi dobrego podręcznika Virozsil'a „*Das Staatsrecht des Königreichs Ungarn*.

Ciekawéj historyi konstytucyi niderlandzkiéj, którą de Réal porównywał z dawną polską, nie poświęcił pr. Okolski ani jednéj całéj kartki, obliczając razem rozdziały o Belgii i Holandyi traktujące. Jednakże np. taka konstytucya Brabantu szczyciła się swego czasu z posiadania gwarancyi swobód osobistych, znanych tylko w Anglii i w téj to prowincyi znana była z dawien dawna zasada

„pauvre homme dans sa maison roi est.“ Jeżeli ośmielam się czynić wymówkę sz. autorowi za to, iż nie znajduję w jego pracy uwzględnionéj historyi konstytucyi niderlandzkiéj, czynię to jedynie dla tego, że jakkolwiek uważałem historyą prawa państwowego za zbyteczną, aleź w ostateczności lepiej było znaleść historyą tegoż prawa, aniżeli wiadomość, że np. „kraj znany dziś pod nazwą Belgii, zawdzięczał swą nazwę ludowi belgów, który za czasów Juliusza Cezara“ etc. etc. Tego rodzaju bowiem niewątpliwie cenne wyjaśnienia, powinny znaleść gdzieindziéj odpowiedniejsze pomieszczenie.

Nie będę po szczególe przechodził wszystkich państw, którym pr. Okolski poświęca uwagę, zatrzymam się tylko na chwilę nad Francyą, która po Anglii doznała w jego pracy najobszerniejszego uwzględnienia. Na str. 192 czytamy co następuje: „Każdy stan wybierał swoich posłów oddzielnie. Deputowani dostawali od wyborców instrukcyą i t. d.“ Wyrażenie, powyżéj przytoczone a późniéj nie rozjaśnione należycie, może wzbudzić pewne wątpliwości. Szlachta bowiem we Francyi nie wybierała deputowanych, ale każdy posiadacz lenna (*possesseur de fiefs*) był osobiście wzywany przez monarchę do uczestniczenia w *etats generaux* (1). Zasada podobna panowała zresztą w dawnéj konstytucyi hiszpańskiéj, niderlandzkiéj, niemieckich terytoryalnych, a nawet szkocka szlachta w 1426 roku otrzymała prawo osobistego stawiennictwa w parlamencie (2). Jakkolwiek są ślady, że późniéj zamierzano we Francyi zaprowadzić reformę w duchu reprezentacyjnym, nie mniéj jednak przywiléj osobistego stawiennictwa posiadaczy lenna, był zasadą dawnéj konstytucyi francuskiéj.

Zarzuty, jakie pozwoliłem sobie uczynić pracy pr. Okolskiego, nie są bynajmniéj téj doniosłości, aby ją mogły pozbawić uznania i zasługi w literaturze polskiéj. Niewątpliwie pr. Okolski pisząc traktat naukowy, przeznaczony dla sfer kultywujących naukę prawa państwowego, byłby daleko umiejętniéj spożytkował swe doświadczenie, wiedzę i gorliwą pracę. Na polu popularyzowania jednak nauki prawa państwowego nie zdołał w tym stopniu rozwinąć przymiotów, jakiemi odznaczały się poprzednie jego prace, zwłaszcza z dziedziny prawa administracyjnego. W każdym razie dzieło pr. Okolskiego jest poważną naukową publikacyą, którą wykształconym czytelnikom usilnie zalecić należy.

A. Rembowski.

---

(1) Thibaudeau: Histoire des etats generaux. T. I, Str. 205.

(2) May: Das englische Parlament. Tłóm. Oppenheima, Str. 25.

PRZEGLĄD LITERATURY.

Teorya celowości ze stanowiska naukowego. Studyum filozoficzne przez Adama Mahrburga. Kraków, 1888, str. 176. (Osobne odbicie z XXII tomu Rozpraw i spraw. wydz. filozof.-hist. Akad. umiejetności).

W początkach grudnia r. z. reporter „Kuryera Warsz.“ zaraportował kilkukroć stu tysiącom swoich czytelników o wyjściu z druku warszawskiego „Ateneum“. W raporcie tym stało wydrukowane czarno na białém, że „Ateneum jest pismem poważném, naukowém, dla małego koła uczonych przeznaczoném, że mieści wiele drobnych szczegółów, szczegółków i szczególików, że miewa artykuły ołowiane, i że ktoby chciał, by praca jego utonęła w zapomnieniu, tamby ją powinien wydrukować. Była to niby informacya o treści pisma dla kilkukroć stu tysięcy czytelników, a jednak nie informacya; była-to niby pochwała, a jednak nie pochwała. Ale d l a c z e g o ten raporcik najpoczytniejsze z pism polskich umieściło? Jaki miało c e l? Gdym się tak biédził nad odgadnięciem celu owego artykuliku przysłała mi redakcya „Ateneum“ do sprawozdania książkę o celowości. W to mi grajcie; pewnie się dowiem, jeżeli nie o celu, jaki miał reporter Kuryerowy, gdy setkom tysięcy swoich czytelników prezentował „Ateneum“, to przynajmniéj o celowości wogóle. I oto dzięki skojarzeniu się celu kuryerowego z teoryą celowości p. Mahrburga urodziło się niniejsze sprawozdanie.

Co to więc za ptak owa celowość? Czytelnik chciałby prawdopodobnie mieć zaraz krótką i węzłowatą odpowiedź, a tu tymczasem trzeba przebrodzić stokilkadziesiąt stronic, a wszystko metodycznie i metodologicznie, bo filozofowie to naród wyszkolony i nim do szturmu przystąpi, robi długo podkopy i aprosze, poczém dopiero na pewniaka zbitemi kolumnami argumentów przypiera wroga. Tak też i nasz autor, chcąc zdobyć i zburzyć twierdzę celo-

wości, zaczyna od przypomnienia, jak to już Arystoteles odróżniał cztéry przyczyny wszech rzeczy, mianowicie, formalną, materyalną, sprawczą i celową, które wziął z podmiotowéj obserwacyi, czyli, że jego pojęcie przyczyny było antropomorficzne. Tak np. nim zbudowano dom, wprzód plan jego (przyczyna formalna) był w głowie budowniczego, daléj materyał na budowę (przyczyna materyalna), potém sam budowniczy wraz z wykonawcami (przyczyna sprawcza) a nareszcie dom jako cel (przyczyna celowa). Słusznie autor zauważył, iż ten podział i pojęcie przyczyny są wzięte z obserwacyi podmiotowéj i noszą charakter antropomorficzny. Być może, iż dałoby się to prościéj wyrazić mianowicie, że człowiek, uważając siebie za miarę wszech rzeczy i widząc jak bliźni jego, o ile nie są dziećmi lub waryatami, wszystko robią w pewnym dobrym lub złym celu, przenosi to osobiste postrzeżenie ze stosunków ludzkich do ogółu zjawisk wszechświata, w których poszukuje także celu i pyta się od dzieciństwa, a po co to, a na co to, a dlaczego to? Taką jest niewątpliwie droga myślenia, gdy pojęcie celu podmiotowego uogólniamy i rozciągamy do wszechświata, pytając się jaki może być jego cel obiektywny, przedmiotowy.

Po tych wstępnych uwagach autor przystępuje do definicyi celu, celowości i teleologii. Cel, jest-to rzecz, stan lub działanie, które chcemy osiągnąć zapomocą odpowiednich środków. Celowość, to pojęcie oderwane, wyrażające stosunek między wyobrażeniem celu a uszykowaniem środków do jego zdobycia. Teleologia, jest to teorya, usiłująca wyjaśnić część lub wszystkie zjawiska świata za pomocą pojęcia celowości, to jest uważająca zamierzony cel, lub pewną ilość celów za przyczynę danego zjawiska. Dokonawszy téj analizy psychologicznéj z pojęciem celu i celowości, p. Mahrburg przechodzi do historycznego objaśnienia swojéj tezy.

Rozważało ją w ciągu wieków mnóstwo ludzi, ale autor dwóm tylko z nich poświęcił dłuższy, może zadługi rozbiór. Są-to mianowicie filozof francuski Janet i ks. Morawski. Pierwszy z nich wydał przed kilkunastu laty dzieło pod tytułem *Les causes finales* (t. j. Przyczyny Celowe, 1876), drugi Celowość w naturze (1887). Objaśniać pewną sporną kwestyą za pomocą analizy dzieła, które ją specyalnie traktuje, może być rzeczą pożyteczną, zwłaszcza gdy dzieło jest powszechnie znane. Otóż, dzieło Janet'a nie zdaje nam się być tak bardzo upowszechnione wśród naszych czytelników, i dlatego sądzimy, że drobiazgowa jego analiza, dająca w końcu rezultat ujemny, mogła się była zamknąć w ciaśniejszych ramach. Że to jednak typowy autor w tym dziale spekulacyi metafizycznéj, nie chcemy winić p. Mahrburga za przydługą z nim konwersacyą.

Zamiarem naszego autora było wykazać za pomocą argumentacyi, na jak kruchych podstawach zbudował Janet swoję teoryą celowości. Czy jéj wyznawców przekonał o kruchości podstaw, nie można orzec; tyle jest bowiem przykładów w świecie organicznym, przemawiających za pozorną celowością, iż obrońcy jéj nie dadzą za wygraną, chociażby się im dowiodło jak najoczywiściéj, że pojęcie celu ze stosunków ludzkich przenieśli na zjawiska świata organicznego i nieorganicznego. Ponieważ jednak celowość dopatrują tylko w pewnéj grupie zjawisk, która w porównaniu z ogromem wszechświata zaledwie maleńki ułamek stanowi; więc do objaśnienia reszty posługują się przypadkiem. Okoliczność ta prowadzi p. Mahrburga do długiego rozstrząsania pojęcia przypadku. Tam, gdzie ludzie nietylko wierzą, ale przekonani są, że zjawiskami władną prawa niezmienne, o przypadku, w znaczeniu obiektywném, mowy być nie może; właściwie zatém przypadek świadczy tylko o naszéj nieznajomości warunków, wśród których zjawiska zachodzą, o ograniczoności naszego poznania.

Dotychczas jesteśmy jeszcze z autorem w zakresie polemiki z pisarzami innego, niż on sam zdania; jeszcze musimy się przyjrzéć, jak krytykuje pojęcie najwyższego rozumu, który według teleologów, naprzód wszystko przewidział i wytknął cele dla wszech rzeczy. Krytyka p. Mahrburga redukuje się do twierdzenia, że teleolodzy utworzyli sobie „antropomorficzną koncepcyą najwyższego rozumu“ (104), przenosząc na ów rozum własności umysłu ludzkiego i wyrażając je w stopniu najwyższym, czyli jak autor nazywa, za pomocą s u p e r l a t y w i z m u.

Ze wszystkiego, co powiedziano widać, że p. Mahrburg jest przeciwnikiem celowości jako pewnéj kategoryi myślenia, w którąby spirytualiści chcieli wtłoczyć cały wszechświat; uważa naukowe uzasadnienie owéj teoryi za zadanie niełatwe, a być może urojone (?) (str. 52). Jeżeli zaś jedne rzeczy wydają nam się celowemi, inne zaś bezcelowemi, objaśnienia tego faktu należy szukać w subiekcie (str. 45). Swoje wyznanie wiary pod tym względem tak formułuje:

„Zrzekając się jałowéj pewności siebie teleologów, możemy tymczasowo poprzestać na hypotezie, zgodnéj z faktami dotąd wyjaśnionémi i coraz bardziéj sprawdzającéj się na nowych, że stan rzeczywisty natury tak wogóle jak w szczegółach w każdéj danéj chwili jest n i e u n i k n i o n y m w y p a d k i e m odwiecznych własności tych elementów, z których się poznawany wszechświat składa oraz ich wzajemnych na siebie oddziaływań... Objaśniać coś w przyrodzie—to znaczy: analizować, klasyfikować, i wykrywać

zależności przyczynowe“ (93 i 94). Tłómacząc zaś rozmaite znaczenie terminu mechanizm, autor wymienia „doktrynę determinizmu przyczynowego, według któréj zjawiska z koniecznością warunkują się wzajemnie na mocy praw stałych“ i dodaje: definicya ta formułuje ów determinizm najszerzéj rozumiany, którego właśnie my bronimy; czy chodzi o stałość związków chemicznych, czy o prawa, według których wzjemnie warunkują się zjawiska psychiczne, wszędzie mamy do czynienia z mechanizmem tj. z determinizmem według praw stałych, jakiekolwiek one są i czegokolwiek dotyczą“ (107 i 108).

Jeszcze w kilku innych miejscach książki autor powtarza to swoje *credo*, że przyroda nie zna celowości, że zjawiska jéj ulegają prawom stałym, że kategorya przyczynowości wystarcza do zrozumienia świata. Co najwięcéj dopuściłby celowość prowizorycznie, o ile pojęcie celu ułatwiałoby badaczowi rozumienie zjawisk i faktów, ale i to z zastrzeżeniem wielkiéj baczności na termin celowość, który nawet zdecydowanych ewolucyonistów, jak Darwin i Haeckel, doprowadził do frazeologii będącéj wodą na młyn teleologów. „Przyroda, mówi p. Mahrburg, z naukowego stanowiska nie jest ani teleologiczną, ani dysteleologiczną; przyroda jest, dla naukowego poznania przynajmniéj, ateleologiczną“ (145).

Nie mamy tedy powodu wątpić, iż autor stoi po stronie ateleologii i jest przeciwnikiem celowości w naturze; przypuszczanie celu po za sprawami i dziełami ludzkiemi, prowadziło zawsze przyrodników, zwłaszcza biologów, do mylnych tłómaczeń zjawisk przyrodzonych, dlatego powinno być zaniechane.

Póty wszystko pięknie; nikomu nie można brać za złe, gdy naukowe jego wiadomości skłaniają go do obrony poglądu, który uważa za jedynie prowadzący do rezultatów dodatnich w nauce; trzebaby tylko nie poprzestawać na saméj dyalektyce, lecz zgromadzić dostateczną ilość faktów typowych mogących przeważyć szalę na stronę ateleologii. To, że p. Mahrburg zaznaczył swoje wyznanie wiary, jeszcze sporu nie rozstrzygnie; uczynił to daleko dawniéj Bakon, którego autor cytuje (135), a pomimo tego nie brak dotychczas teleologów ani między metafizykami, ani pośród przyrodników. Fakta, jak we wszystkich sprawach, tak i w teoryach naukowych są decydującą instancyą. Przed ćwiercią wieku czytałem w kwestyi celowości takie rozumowanie faktami: Stronnicy celowości w naturze, dobierają sobie kilka lub kilkanaście faktów, nadających się do ich teoryi, np. budowę oka, i następnie uogólniają te swoje postrzeżenia rozciągając je do wszechświata. Ale niechże celowością objaśnią taki fakt: pies liże rękę swojego pana i nie

przynosi mu tém żadnéj szkody. Nagle ten sam pies dostał wścieklizny skutkiem jakiegoś procesu chemiczno-życiowego, którego, nie rozumiemy i ślina jego od téj chwili mieści jad mogący się zaszczepić ukąszonemu. Co ważniejsza, pies równocześnie rzuca się na wsze strony i p r a g n i e kąsać, jak gdyby owa przyczyna nietylko jad w nim wyrobiła, lecz także obmyśliła sposób, żeby jad bez skutków nie pozostał. Jak tu wytłómaczyć tę osobliwszą celową przyczynę? Albo inny przykład: Obok istot organicznych, żyjących same przez się, widzimy gatunki pasorzytne, mnożące się niezliczonemi gromadami w innych zwierzętach. Są-to tak zwane wnętrzaki. Spotykamy je we wnętrzu owadów, ryb, ptaków, ssaków, w człowieku, oku, krwi, jelitach, wątrobie, mózgu, mięśniach. Zarodki ich są wszędzie, i byle się grunt nadał, rosną jak na drożdżach, odbywają wędrówki z organizmu do organizmu, zmieniając przytém do niepoznania swoje formy, żyjąc kosztem i na zgubę właściciela lokalu. Przykładów podobnych jest moc wielka i zdaje mi się, że one skuteczniéj przekonywają umysł, niż dyalektyka, logika i psychologia. Wyznawca celowości napoci się, nim dla nich wymyśli przyczynę celową, ale że wymyśli, tego można być pewnym, bo metafizycy zwykle dziury i szczeliny w budowie wszechświata łatają strzępkami swoich szlafmyc i szlafroków.

Na tych uwagach o książce p. Marburga moglibyśmy poprzestać. Wiemy, że jest przeciwnikiem teoryi celowości w naturze. Obrońców jéj, osobliwie Janet'a i ks. Morawskiego, zapewne nie przekonał, ponieważ punkt wyjścia obu walczących kierunków jest odmienny. Być może, iż nawet kierunki te—teleologiczny i ateleologiczny—nigdy się nie spotkają na wspólnym gruncie, chociażby dlatego, że teza przewyższa swoją rozciągłością środki naszego poznania. Co my możemy powiedzieć o celowości lub bezcelowości wszechświata, kiedy samego przedmiotu dyskusyi tj. owego wszechświata nie znamy? Możemy mówić o celu zegarka lub armaty Kruppa, wogóle o celu dzieł i spraw ludzkich; gdy zaś tę sferę dociekań porzucimy, następuje pukanie w palce, czy wszechświat ma cel i jaki, czy nie ma żadnego. Spirytualista Janet wie na pewno, że ma a celem tym jest „bezwględna moralność" (46); p. Mahrburg przeciwnie utrzymuje, że „teleologiczne wyjaśnianie zjawisk przyrody nie ma żadnéj wartości (136 i 144). Musimy im wierzyć.

Co się tyczy redakcyi całéj książki i języka mamy jeszcze tyle do powiedzenia: Autor rozciągnął zbytecznie swoję pracę przez dygressye w strony, dotykające wprawdzie głównéj tezy, ale nie wymagające tak szczegółowego traktowania. Mamy na myśli wyboczenia w stronę dyskusyi o przypadku, mechanizmie, doborze natu-

ralnym. Zbytecznêm jest powtarzanie analizy celu i celowości na początku książki i ku jéj końcowi (od str. 127).

Za *lapsus calami* uważany zbyteczne podnoszenie metody i metodyczności, a to tak dalece, że metodyczność ma być istotnym naukowości warunkiem (99) Odpowiadamy: jeżeli brak treści i to treści rzeczowéj nie słownéj, metoda żadnego systemu nie ocali. Autor zaś chce, żeby nawet treść była metodyczną, gdyż gani niemetodyczną (144); otóż przyznamy się, że treści niemetodycznéj nie rozumiemy. Jest téż niezgodném z całym duchem książki utrzymywać, iż kompetencya nauki nie rozciąga się do ustanawiania lub odrzucania dogmatów wiary (98); skoro w imie nauki już zakwestyonowano pojęcie rozumu najwyższego i celowości w naturze.

Język książki dużo pozostawia do życzenia pod względem czystości, zwięzłości i najniepotrzebniejszych, a chromających neologizmów. Oto przykłady: racyonalizować n a d pojęciami, operować n a d ideami, obiektywizować pojęcia, peryodyzacya historyi, antropomorficzna koncepcya, w z o r o w o (?) fałszywy wniosek, wychodząc z samych siebie, a już słowo z d r a d z a ć tak się często powtarza, iż wolelibyśmy nie czytać go ani u p. Mahrburga, ani u żadnego z naszych autorów. Np. autor pisze: organizmy zdradzają popędy (125); wybornie można powiedzieć: o k a z u j ą. Wątpię, czy się utrzyma przy życiu noworodek nazwany superlatywizmem (102). Albo co znaczy wyrażenie: biologia i socyologia w y m i e n i a j ą s i ę płodnemi analogiami? (106). Wogóle sposób pisania p. Mahrburga jest jeszcze niewyrobiony, ociężały rozwlekły i pod względem polszczyzny niezawsze poprawny. Są przecież w jego książce i miejsca porządniéj zredagowane a nawet retoryczne jak np. zakończenie.

K.

ZŁY DUCH W WIEKACH ŚREDNICH.

Kosmiczne pojęcie ludów staréj Europy o złym duchu ciemności, zniszczenia, po przyjęciu przez nich chrześciaństwa spotkało się z rolą kusiciela, którą tradycya biblijna mu przyznawała. Zależny od Jehowy, zdeptany przez odkupiciela, szatan stanął obok bardzo potężnego, często groźnego ducha, wybujałego w germańskich lasach i górach (1). Pomieszaniu tych dwóch elementów przypisać może należy ważną rolę, odegrywaną aż do naszych czasów w wyobraźni gminu przez szatana.

W dziełach pierwszych ojców kościoła czytamy podania o dyable. Duchowieństwo, pragnące wytępić pogańską mitologią, widziało nader poważną dla ziszczenia zamiarów swoich przeszkodę w zabobonach społeczeństwa, które, chętnie zapominając o dobrych bóstwach, zastępując je niekiedy świętemi, nie mogło w żaden sposób pozbyć się myśli o ciemnéj falandze złych duchów, prześladującéj swe ofiary zaciekle i—świadomie lub nie—zastąpiło ją przez podrzędnego w nauce Chrystusowéj szatana, rozwinąwszy funkcye jego do ostatecznych granic specyalizacyi. Stąd działalność złego ducha przybrała nader charakterystyczne formy. Nie wahano się nierzadko przypisywać mu dobrych i korzystnych dla ludzi uczynków. Naturalnie bardzo trudno bliżéj określić proces stopniowego przekształcania się pojęć o złym pierwiastku w umysłach ludów średniowiecznych: wskazówki, które przechowały się, są nader szczupłe i przez duchownych zapisane—a jednak i ta

(1) Jakkolwiek—powiemy nawiasem—istnieje teorya, która germańskie i skandynawskie złe bóstwo (Loki) wyprowadza z chrześciaństwa, poważniejszą w naszych oczach jest inna, przyznająca przedchrześciańskie pochodzenie tegoż, zwłaszcza, że do zwolenników jéj należą, pomiędzy innemi powagami Jakób Grimm (*Deutsche Mythologie*) i Ruskoff, autor wyczerpującego studyum *Geschichte des Teufels*, 1869, 2 tomy).

skromna stosunkowo ilość faktów świadczy o doniosłości wpływów, wywieranych przez złego ducha w wiekach średnich. Wiadomo, że w procesach inkwizycyi i innych, wytaczanych przez kościół heretykom, potępianą naukę przypisywano zawsze dyabłu, a Luter nie wahał się walczyć z nim kałamarzem.

Zły duch pokaźną ma rolę w historyi dramatu i sztuki; żadna szopka nie obchodzi się bez jowialnego czarta, a w średniowiecznych misteryach jest on na zawołanie. W widowiskach teatralnych zjawił się w końcu w XII w. Na obrazach dotąd się widzi dyabła deptanego przez N. Pannę, św. Jerzego etc. Wśród przechowanych do naszego czasu tradycyi historycznych o tym ciekawym z wielu względów kulcie złego ducha mamy jeden punkt wydatniejszy. Nie o ilości jednak faktów mówimy—im późniejsza epoka tém więcéj ich nam zostawiła,—ale o ich barwności i doniosłości. W chwili, kiedy dyabeł straciwszy swą władzę przestał być strasznym, a stał się śmiesznym, krotochwilnym, narzędziem satyry, zaczyna się upadek wiary w niego. Chwilą taką jest początek XIV w. Już w Boskiéj komedyi widzimy komicznych i brutalnych a bezsilnych dyabłów, mistrzowską ręką naszkicowanych. O ile sądzić możemy, krucyaty znacznie wpłynęły na postęp ludzkości w kierunku wyzwolenia umysłów z pod wpływów męczących i groźnych duchów.

Przed Odrodzeniem jednak władza szatańska jest tyranią. Jak eter otacza on wszystko i przenika mózg człowieka do utraty rozumu i zmysłów. Gnieździ się i w pałacach królów, i pod strzechą biedaka, i w celach klasztornych—a wszędzie jest silnym i nieubłaganym. Biada temu, kto się mu opiera pomocy N. Panny, lub świętych!

Wiek trzynasty—kulminacyjny punkt wiary w szatana—charakteryzuje nadzwyczaj szeroka sfera działalności złego ducha i głęboka weń wiara ludzi rozmaitych sfer i stopnia wykształcenia. Wiara ta u gminu przyjęła formy potworne i stała się manią, komiczną dla obserwatora, a przygnębiającą umysły przez nią opanowane; ludzie słabi, nerwowi, wrażliwi, na każdym kroku widzieli obecność potwornego wroga i spędzali całe życie w ustawicznéj, rzadko skutecznéj, z nim walce.

Umysły zdrowe, znajdując w nauce chrześciańskiéj otuchę, wierzyły wszystkiemu, co się o czartach opowiadało, z pewną obojętnością, jak o rzeczach zwyczajnych, słuchając o figlach szatańskich. Uczony średniowieczny, czerpiąc zasób swojéj wiedzy w sferze nauk przyrodniczych z dzieł ojców kościoła, czasem się kusił o wytłómaczenie tego lub owego zjawiska, przypisywanego dyabłu,

przyczynami naturalnemi. Atoli próby te były bardzo nieśmiałe i mało popularności zyskały.

Za przedstawiciela chorobliwych i pospolitych umysłów, wiecznie męczących się mniemaną obecnością szatana, może służyć opat Richalmus (1). Aczkolwiek człowiek to uczony, ale nader fantastycznie usposobiony, rzadko liczący się z wymaganiami rozsądku, śmiało więc można powiedzieć, że reprezentuje on większość, pozbawioną zdolności krytycznych w najmniejszym stopniu.

Dzieło Cezarego z Heisterbachu (2) obfituje w ciekawe opowiadania o dyable, które autor z zimną krwią przytacza, jako rzeczy zwyczajne. Uczony biskup-naturalista Tomasz z Cantimpre (3) stara się okiem krytycznem patrzeć na figle szatańskie, ale unoszony ogólnym prądem, staje na połowie drogi z obawy zajścia za daleko.

Rozmaitość form, przybieranych przez nieprzyjaciela rodu ludzkiego, tłómaczy się nader licznemi funkcyami, które musi spełniać. Często jest on niewidzialnym kusicielem, nastręcza swojéj ofierze powody do grzechu a prześladuje ją zręcznie i zaciekle; czasem przyjmuje postać ludzką i łączy się z synami i córami Adamowemi: owocem tych związków są ludzie dobrzy lub źli, a zawsze obdarzeni nadzwyczajnemi zdolnościami. Jako duch reprezentujący rozmaite żywioły, ukrywa się on w lasach, górach, wodzie etc.; tu bez wątpienia należy widzieć pogańskie reminiscencye, które uparcie trzymały się umysłów gminu.

Z cytowanych wyżéj dzieł Richalma, Cezarego i biskupa Tomasza, podajemy parę faktów, które za illustracyą wyżéj wypowiedzianych uwag służyć mogą.

---

(1) Beati Richalmi Speciosae vallis, in Franconia abbatis ord. Cisterciensis liber Revelationum de insidiis Daemonum adversus homines Dzieło to wydał Petz Thesaurus Anecdotorum novissimorum T. I, cz. II, col. 376 i 299. O życiu Richalma mamy skąpe wiadomości; we stępie do „Revelationes“ uczeń jego podnosi rozum i cnoty opata, podając niektóre szczegóły z listów osób, znających bliżéj tego pisarza; z innéj zaś strony „Biblioteka zakonu Cystersów“ (Bibliotheca ordinis Cisterciensis) nie mniéj pochlebne daje wskazówki; źródeł tych nie mamy prawo o fałsz pomawiać. Richalmus żył około 1270 r.

(2) Umarł w końcu XIII w. pozostawił kilka dzieł, najciekawsze „Rozmowa o cudach“ (por. Kaufmann: Caes. v. Heisterbach) Dialogus Miraculorum, 1860 r, wyd. Strange.

(3) Tomasz z Cantimpre urodził się w 1210 niedaleko Brukselli, był kaznodzieją w zakonie dominikańskim a w 1270 został biskupem. Rok śmierci nieznany. Główna praca jego „De natura rerum“ (napisana pomiędzy 1233 i 1247 r.) dotąd nie ogłoszona drukiem. Nieco późniéj napisał książkę pod tytułem „Bonum universale de apibus“, bo w niém spisał autor wiele wypadków z życia duchowieństwa, które spełnia w ulu-kościele rolę pszczół. Książka wydana r. 1605 (Duaci). Tomasz był znany jako wytrawny uczony i człowiek bogobojny. Książka jego nie zwróciła dotąd uwagi nawet takich pisarzy jak Roskoff.

Dyabeł-kusiciel najwięcéj się boi spowiedzi: „Nic tak nam nie szkodzi, jak częsta spowiedź"—powiada jeden z nich (Dial. Mir. XI, 38, por. III, 2. 35). Taki dyabeł szczególniéj duchownych napastować lubi—autorowie nasi najlepiéj swą sferę znali—ośmielając się zjawiać nawet w postaci anioła. Do pewnego pobożnego księdza, zlatuje taki anioł i przepowiada rychłą śmierć; ksiądz mówi o tém swemu spowiednikowi. Słowa mniemanego anioła nie sprawdziły się wszakże; ksiądz nie umarł. Dyabeł uroczyście oświadcza, że Bóg zmienił swój zamiar i postanowił przedłużyć żywot swego wiernego sługi gwoli zbudowaniu innych. Ucieszony zakonnik chętnie téż uwierzył i zapewnieniu, że Bóg mu zabrania pracować: „musisz siebie oszczędzać, żeby długo służyć Bogu". Zakonnik idzie za radą opiekuna i pozwoleniem przeora. Pewnéj nocy mniemany anioł budzi swego klienta: „Wstań, Bóg chce cię nagrodzić, idź i powieś się na pasie, żeby on mógł cię przyjąć na łono swoje, jako męczennika". Propozycya ta oburzyła księdza, który odtąd nie słuchał zdradnych rad.

Fakty jednak, podawane przez Cezarego i innych, maleją w porównaniu z temi, które na pożytek potomności spisał „błogosławiony Richalmus". Chętniebyśmy żadnéj wartości im nie przyznali, gdybyśmy mieli prawo lekceważyć tego pisarza; świadectwa współczesnych (1) przypisują mu naukę i bogobojność; chętnie go słuchano i długo namawiano, zanim pozwolił swe rozmowy spisać, a to jedynie dla miłości bliźniego. W każdym jednak razie, wahamy się uznać „*Revelationes*" Richalma za źródło poważne.

U Richalma dyabeł jest wszędzie. Nie ma słabości, nieszczęścia, lub przypadku, do których on nie przyłożyłby swéj ręki. Podczas komunii dyabeł szepce Richalmowi: „chętniebyś stał się magistrem", i tém zakłóca mu spokój. Kaszel, zdaniem R., jest rozmową czartów; świerzbiączka, niesmak, bóle żołądka, krzyżów etc. — to także sprawa dyabelska. Jak atomy otaczają oni człowieka „Ja sam ich widziałem w kształcie atomów" (?), powiada R. Czasem dyabli zawieszają się na wargach: „Widzicie, na téj wardze wisiał dyabeł 20 lat". Skutecznemi środkami przeciw dyabłu są woda i sól.

Rozstając się ze „świętobliwym" opatem, przytoczę jednę z charakterystycznych jego rozmów z nowicyuszem. Widząc, że młodzieniec przestał jeść, opat pyta go: „Dla czego nie jész?". — N (owicyusz). Bom nie głodny. — R. Strzeż się; słyszałem, jak się

(1) Dial. Mir. III, 87 (por. V, 47, 26; VII, 81; IV, 16 i t. d.).

dyabli zmawiali: Jak długo on żyje! Dla czego go jeszcze oszczędzamy?!"—N. „Mój Boże! Ależ ja mam brzuch napełniony".—R. „Oni-to sprawili".—N. „Niech i nadal robią, nie będę przynajmniéj potrzebował jeść".—R. „Zaprzestań żartów, radzę ci. Oni i mnie często pozbawiają apetytu. Najlepiéj skropić się wodą święconą".

Godną współzawodniczką Richalma jest Agnieszka Blambekin (1). Walcząc z dyabłem, omal, że nie postradała życia, ocalenie swe zawdzięczała N. Pannie (CCX). Raz w magicznèm lustrze widziała szatana; opisuje ona bardzo szczegółowo i długo jego powierzchowność. W ludzkiéj postaci dyabeł najczęściéj odgrywa rolę lubieżnego kochanka (*incubus*) lub kochanki (*succubus*); takim istotom brakuje pleców (D. M. I. 118). Jest on nader popularną postacią bajek ludowych i literackich nowel (np. „Belfagor" Machiavellego). Hunnowie, zdaniem niektórych średniowiecznych historyków, pochodzą od dyabłów i porzuconych w lesie brzydkich kobiét gockich. Prorok średniowieczny Merlin zawdzięcza swe życie inkubowi i świętobliwéj dziewicy, która raz idąc spać, zapomniała przeżegnać się. Po ojcu odziedziczył Merlin jasnowidzenie, po matce prawość i dobroć. Tacy dyabli po kilkanaście lat męczą swe ofiary — młode dziewice i mężatki (D. M, III, 7, 9). W postaci kobiety dyabeł najczęściéj napastuje mnichów. Opat Richalmus opowiada o pokusach dyabła-kobiety (Rev. XXIII i XXIV). Porywanie mniszek przez nieziemskich kochanków zdarzało się bardzo często; porwaną ofiarę zły duch zastępował przez jéj podobiznę, wypchaną słomą. Ciekawą nowelkę czytamy u Tomasza z Cantimpre (2). Pewien młodzieniec po długich poszukiwaniach znalazł gdzieś w ustroniu swą narzeczoną, którą porwał zły duch. Dla rodziców i domowników była ona umarłą, bo czart zostawił manekina, nader podobnego do młodéj dziewicy. Obdukcya wykazała, że mniemane ciało nic oprócz słomy i skóry nie zawierało (3). Inną mniszkę czart porywał w obecności krewnych i sióstr klasztornych, a nawet z rąk brata. Tomasz opowiada nam i o fałszywych prorokiniach, które swemi proroctwy chciały zgubić pewnego rycerza (4).

Istoty demoniczne, okazujące swą potęgę w zjawiskach natury, stanowczo są pochodzenia przedchrześciańskiego. Klasyfi-

---

(1) Venerabilis Agnetis Blambekin... vita et revelationes auctore anonymo etc. ed. Bernardus Pez, Viennae 1731. Książka bardzo rzadka, przechowana w kilku egzemplarzach; ja miałem egzemplarz biblioteki monachijskiéj.

(2) Bonum universale de Apibus, L. VII, 21.

(3) Ib. 18. (4) Ib. 61.

w tem za św. Augustynem) (1).

Najchętniéj ukazuje się dyabeł w ciele zwierząt, które niegdyś ofiarnemi były, np. kozioł, jagnię, kogut, a także i innych: wilk, żaba, świnia, kruk, czarny koń, wąż, pies i sęp. Często téż przybiéra postać murzyna, grubego chłopa, dzieci z ognistą twarzą i pięknych dziewcząt; nakoniec czarnoksiężnikom, wywołany przez nich, ukazuje się wśród piorunów i grzmotów, a głową po nad najwyższemi drzewami góruje. W fałdach szat nadobnéj pani gnieżdżą się małe, jak robaki, dyabełki, „bo suknia kobiety — to sieć szatańska", dodaje mnich od siebie.

Najdziwaczniejszym jest dyabeł, spełniający, w sprzeczności ze swoją naturą, funkcye dobrego geniusza. Sprzeczność tę można tylko wytłómaczyć przedchrześciańskiém pochodzeniem takiego ducha — niegdyś dobrego, potém niezupełnie słusznie dyabłem mianowanego. Często bywa on surowym cenzorem, karcącym fałsz i obłudę. Drażliwość swą posuwa on do tego stopnia, że na obiedzie u pewnego bogacza nie chce jeść pieczeni, ponieważ bydlę było prawnukiem ukradzionéj krowy (D. Mir. V, 38). Jako wierny sługa, szatan jest nieporównany. Służąc jakiemuś rycerzowi, uratował go od śmierci (przeniósł go przez wezbraną rzekę). Dla choréj żony swego pana, którą lwie mleko uleczyć miało, udaje się wierny sługa do Azyi i dostaje potrzebnego specyału. O sobie mówi, że jest jednym z tych „co strąceni zostali wraz z lucyperem". Wynagrodzenie za służbę przeznacza na dzwon do ubogiego kościołka (D. M. V, 37). Inny szatan pomagał we wszystkiém swému panu-rycerzowi; jedyną wadą jego było gadulstwo (D. M. V, 38) (2). Prześladowana przez dyabła, dręczona przez piekielne mary ludzkość z pewnością stałaby się pastwą ogarniającéj ją manii, gdyby nie miała głębokiéj wiary, w inną stronę skierowanéj. Wiarą tą była ufność w opiekę N. Panny. O cudach N. Panny zachowały się nader liczne w rozmaitéj formie podania; już w pierwszym dramacie ratuje ona od zatracenia winowajczynią, która do niéj gorące modły zanosiła, a szatan wszędzie się spotyka z jéj boską potęgą,

---

(1) 1) Neptuni — żyjący w wodzie, 2) Inkuby na ziemi, 3) Dusii w lasach i 4) duchy powietrzne. Spółczesny pisarz Gerwazy z Tilbury (Otia Imperialia, ed. Liebrecht, LXXXV, 6, 7, etc.) mówi i o innych duchach (kobiety—Lamiae, Gyant—duchy leśne).

(2) W książce L. Siemieńskiego „Podania, legendy polskie, ruskie i litewskie" Poznań, 1845, czytamy o wiernym ekonomie-dyable, który i gospodarstwem się zajmował i dzieci pilnował; w czasie niebezpiecznéj przeprawy, niewidzialny, czuwa on nad rodziną swego pana. Skoro termin służby minął, dobry sługa znikł na zawsze; próżne były usiłowania pana pozbycia się go wcześniéj.

o tyle zbawienną dla ludu, o ile jego moc jest zgubna (1). Z licznych jéj cudów, które nie mogą tu znaleść miejsca, zatrzymam się na historyi o malarzu i dyable.

W rękopiśmie biblioteki Św. Marka (Cl. III, Cod. CL III) nieznanego autora (prawdopodobnie z XV st.) czytamy na 10-ym arkuszu anegdoty „O malarzu i dyable“. „Malarz narysował dyabła bardzo brzydkim i nizkim, a N. Pannę w glorii i wysoko. Wówczas zjawił się dyabeł“. Tak się rozpoczyna opowiadanie. W dalszym ciągu dowiadujemy się, że kiedy namowy i prośby nie skutkowały, czart starał się zrzucić zręcznego artystę z rusztowania, ale „obraz rękę ku malarzowi wyciągnął i upadku go uchronił“.

Podobna anegdota zachowała się jeszcze z XII st.; na ten temat układano miniatury (2). Inna wersya (Méon Fabliaux II, 414) opiewa, że dyabeł zemścił się na artyście-mnichu. Namówił go do kradzieży skarbów klasztornych i uwiedzenia mniszki. Schwytany winowajca został skazany na śmierć i strącony do więzienia. Dyabeł przyrzeka go wybawić z tém zastrzeżeniem, że wstrętny dlań wizerunek będzie ręką malarza zniszczony; ten z radością chwyta się jego propozycyi, zły duch wypuszcza go z lochu a sam zastępuje jego miejsce, Kiedy o świcie bracia przyszli zabrać winowajcę, zobaczyli przykutego czarta; odtąd byli przekonani, że braciszek był bez skazy, a wszystko, co się stało, szatanowi przypisali.

Niezmierna rozmaitość podań o złym duchu w wiekach średnich nie wyczerpuje się nawet co do rodzajów „okazowemi“ opowiadaniami, które wyżéj podałem, wiara w złego ducha stanowi ciekawą kartę w dziejach umysłowego rozwoju społeczeństwa, i ignorowanie jéj równa się ignorowaniu prawdy historycznéj (3).

L. Szepielewicz.

---

(1) Legendy o cudach N. Panny dotąd, pomimo licznych prób, nie doczekały się historyi. Prof. Mussafia rozpoczął wydawnictwo, w którém dotąd materyały rękopiśmienne zestawia (Studien zu den mittelaltelrichen Marienlegenden, I. 1887. II. 1888. Wien).

(2) Por. Thomas Wright: Histoire de la caricature et du grotesque dans la litterature et dans l'art. Paris, 1875. od str. 58 sqq.

(3) W średnich wiekach pisano tysiące traktatów; z nowszych dzieł na wyróżnienie zasługują; Roskoff: Geschichte des Teufels (1869. 2 tomy). Gainos: La mortet le diable 1883, Meyer C. Der Aberglaube des Mittelalters 1885. Busłajew: Bies. 1884. O naszym dyable ustępy u Kolberga i Berwińskiego.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
WRAŻENIA LITERACKIE.

Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski. Tom V, wydany nakładem Akademii umiejętności w Krakowie. Opracowany przez członków lwowskiéj komisyi historycznéj téjże Akademii, Lwów W komisie księgarni Gubrynowicza i Schmidta 1888 r. str. 1170, in 8-vo.

Znakomite, przez nieodżałowanéj pamięci Bielowskiego rozpoczęte dzieło, posunęło się znowu o jeden krok daléj, a dla badaczy pierwotnych dziejów Polski przybyła spora wiązanka nowego, cennego, nieznanego lub w zapomnieniu będącego materyału. „Pomniki dziejowe“ rozpoczynają się znaném już z recenzyi p. Bostla *Memoriale ordinis fratrum minorum a Fr. Joanne de Komorowo compilatum*, wydaném przez dra Liskego i Lorkiewicza. Zbyt sumienną i wyczerpującą jest recenzya p. Bostla, byśmy mieli jeszcze co do niéj dodać, z obowiązku naszego jedynie, jako sprawozdawcy, nadmienimy, że wydawcy zamieścili jeszcze obecnie dodatek, w którym uzupełniają przedstawienie stosunku między kroniką Komorowskiego mniejszéj i większéj redakcyi, a kroniką Miechowity i cytowaną przez Komorowskiego *cronica Poloniae*.

Tom piąty, jak zaznaczono w nagłówku, liczy 1170 stronic, z czego na tekst przypada 1027 str., 143 str. zaś na Indeks. *Memoriale* samo obejmuje 418 str., reszta zaś 609 przypada na inne wydawnictwa w takim atoli stosunku, że wydawnictwa dra Kętrzyńskiego zajmują ich 559, inne zaś zaledwie 50. Zaczynamy od tych ostatnich. Pierwsze między niemi miejsce, idąc porządkiem stronic, przypada dla *Calendarium Landense* (461—8), wydanego przez p. Teod. Wierzbowskiego. Rękopis tego kalendarza pochodzi z XV wieku i przechowuje się w nadwornéj bibliotece w Wiedniu. Cechują go: pismo niedbałe i nader liczne opuszczenia. Interesują-

cym jest zabytek ten dla historyka, dlatego iż obok imion świętych, liczby porządkowéj dni, liter niedzielnych w odpowiednich rubrykach i liczb złotych, mieszczą się tu i zapiski treści historycznéj, które wydawca w odpowiednie cytaty i liczne komentarze zaopatrzył.

O sto stronic daléj zamieścił dr. Papée *Liber fraternitatis Lubinensis* (562—584). Jestto jeden z najstarszych zabytków historycznych w Polsce i jedno z najcenniejszych wydawnictw w tomie tym pomieszczonych, z rzadką opracowane sumiennością. Rękopis księgi bractwa klasztoru lubińskiego znajduje się w Petersburgu, zkąd go wydawca w drodze nadzwyczajnych zabiegów otrzymał. Składa on się z zeszytów; każdy taki zeszyt obejmuje 6—8 kart, których obecnie jeszcze znajduje się 174, niektórych bowiem brakuje. „Księga bractwa“ nie stanowi jednolitéj całości, lecz obejmuje w sobie kilka składowych części. Przedewszystkiém znajdujemy tu dwa szeregi braci lubińskich p. t. *haec sunt nomina fratrum huius ecclesie*, *quorum eleemosinis utimur*, wraz z dodatkiem *fratres de Gesou.* Część ta miała powstać w latach 1134 — 1150. Część druga jest starsza, przypada bowiem na drugi i trzeci dziesiątek XII wieku p. napisem *nomina defunctorum*, część ostatnia wreszcie zawiera imiona książąt i skład ówczesnego personalu kościelnego; powstanie jéj odnieść należy do ósmego dziesiątka XII wieku. Na tém atoli nie kończy się *liber fraternitatis*, jeszcze do XIV w. ciągnie się tu szereg zapisek wciągniętych w rozmaitych czasach i przez różne osoby. Wnosząc z charakterystyki zapisków pierwotnych, przyznaje autorstwo ich wydawca polakowi.

Znacznie daléj, bo dopiéro na str. 841—860, zamieszcza p. Saturnin Kwiatkowski opis życia klasztornego Mikołaja z Koźmina p. t. *Vita fratris Nicolai de Magna Kosmin.* Autor rękopisu, mieszczącego się w bibliotece petersburskiéj w oddziale rękopisów łacińskich (I. nr. 336), nie jest nam znany. Wiemy o nim zaledwie tyle, że był mnichem, pisał żywot Mikołaja po jego śmierci, tuż po r. 1490. Również i o samym Mikołaju z Koźmina nie wiele da się powiedzieć na podstawie opisu. Urodził on się w Koźminie między z 1427—9, był r. 1462 organistą w klasztorze świętokrzyskim i prowadził żywot, który za wzór stawiano. Oto wszystko, co można powiedzieć o tym świątobliwym mężu. *Vita Nicolai* nie wiele może obudzić zajęcia w czytelniku i historyku, podaje atoli kilka charakterystycznych rysów do poznania życia klasztornego benedyktynów świętokrzyskich w XV wieku. Na pochwałę wydawcy podnieść należy, iż wyzyskał w przedmowie co tylko wyzyskać się dało z tekstu, który sumiennie opracował.

Następne wydawnictwa są już wyłączną zasługą dra Kętrzyńskiego. Przejdziemy je w porządku, w jakim zostały pomieszczone w obecnym tomie. Rozpoczynają się one od I. *Castallaniae ecclesiae Plocensis*, *II. Thelonea Episcopi Plocensis*, *III. Villae Capituli Plocensis* (419—444).

Na wolnych kartach rękopisu pergaminowego z XIV w. (pod l. J. 31 w bibliotece kapitulnéj w Płocku się znajdującego), ktoś nieznany nam bliżéj przepisał jeszcze w w. XIV różne dokumenty i listy z XIII i XIV w., historyczne zdarzenia, a oraz podał i spis wszystkich dóbr i dochodów, jakiemi obdarzono biskupstwo płockie w chwili fundacyi. Spis ten w czasach następnych służył jako akt uwidoczniający stan posiadłości biskupstwa płockiego. Przybytki nowe i wszelkie zamiany uwidoczniano przez dopisywanie ich na końcu odnośnych ustępów, które doskonale od tekstu pierwotnego odróżnić i oddzielić się dają. Wydawca dowodzi starożytnego pochodzenia pierwotnéj redakcyi: wtrętami czynionemi przez przepisywacza i wskazującemi na istnienie jakiejś pierwotnéj innéj całości, tém że przedstawione są tu głęboko wstecz sięgające stosunki społeczne i prawne ludności, gdzie mowa jeszcze o małych tylko daninach i skromnych jeszcze bardzo prawach biskupich, które o wiele odmienniéj kształtują się już np. w w. XIII, a wreszcie i ustępem, dotyczącym grodu Rusck (Ruziec). W końcu wyjaśnia p. Kętrzyński czas powstawania biskupstwa płockiego, odnosząc takowy do lat po r. 1075 i przypisując fundacyą jego Bolesławowi Śmiałemu lub Władysławowi Hermanowi.

Tuż po *Castellaniae* etc. następuje *Calendarium Plocense* (str. 445—461). Rękopis tegoż znajduje się w bibliotece kapitulnéj w Płocku i pochodzi on wprawdzie z w. XIV, zawiera atoli i dorywcze notatki, pochodzące z czasów późniejszych. Są tu wiadomości odnoszące się do śmierci różnych osób, do różnych a ważnych wydarzeń miejscowych, krajowych i klimatycznych i t. d. Każdy miesiąc ma prócz nazwy łacińskiéj, także i polską, te ostatnie atoli pochodzą z XV w. i dość znacznie różnią się od obecnych. Styczeń zwie się tu luthy, luty—strompacz, kwiecień—lzykwiat, kwiecień lub lzykwat, czerwiec—ugornyk lub zok, sierpień—szyrpien lub czerwien, październik—listopad, listopad—grudzien, grudzień—proszien.

Na str. 468—500 znajdujemy *Liber mortuorum monasterii Landensis*, który nie stoi w żadnym związku z *Calendarium* i zawiera prócz spisu zmarłych, także i zapiski obce. Spis ten jest kopią powstałą r. 1681—oryginał jéj zaginął.

Liber morturorum B. M. de Oliva mieści się na dalszych stronicach od 500—536. Rękopis jego, przechowywany do dzisiaj w Oliwie, powstał dopiero po tém, gdy stary znacznym uległ uszkodzeniom. Po przepisaniu go r. 1615, prowadzono daléj spis zmarłych już na téj przepisanéj księdze. Tekst, jaki posiadamy w „Monumentach“, został sprostowany przy pomocy rękopisu pochodzącego z biblioteki dzikowskiéj, który stanowi drugą kopią *Libri Mortuorum*.

Liber mortuorum monasterii Leopoliensis Sancti Dominici (537—61), jaki tu znajdujemy, przechowywał się dotychczas w kodeksie starożytnym w bibliotece hr. Baworowskiego. Rozpoczyna on się z r. 1422 i ułożony jest wedle tygodni, w których każdy dzień z osobna odznaczono odnośną feryą, a niedziele wedle kalendarza kościelnego bez oznaczania miesięcy i dni pojedyńczych. Stąd téż wkradła się nie jedna pomyłka w datach. Tak samo datowano u nas roki sądowe a nieraz i dyplomaty, wciągając atoli w rachubę prócz niedziel i ważniejsze święta kościelne. Datowanie takie ma tę dobrą stronę, iż chociaż się znajdzie w nim jaka pomyłka, niemal zawsze da się sprostować.

Liber fraternitatis, ogłoszony przez dra Papéego, znalazł nie małe uzupełnienie w *Liber mortuorum monasterii Lubinensis ordinis sancti Benedicti*, który spotykamy na str. 585—652. Na podstawie dat tu odszukanych przychyla się stanowczo wydawca do zdania dra Papéego i Sokołowskiego, że benedyktyni polscy przybyli z za Renu, a nadto uzupełnia je dowodząc, że przybyli oni z dyecezyi leodyjskiéj z klasztoru Gemblaux po r. 1048. Wydawca dodał do przedmowy spis opatów lubińskich i tynieckich. *Liber mortuorum* ułożony jest miesiącami.

Bardzo skąpém w wiadomości, niestety jednak niemal jedyném źródłem do poznania dziejów klasztoru mogilskiego są *Suffragia monasterii Mogilnensis ordinis s. Benedicti*, ogłoszone w tomie tym na str. 653—666.

I tu także podaje dr. Kętrzyński spis opatów mogilskich.

Nader ważném źródłem do obznajomienia się z pierwotną historyą zakonów Norbertanów jest *Liber mortuorum monasterii S. Vincentii ordinis Praemonstratensis* (str. 667—718), służący niegdyś klasztorowi św. Wincentego pod Wrocławiem. Pod względem starożytności dorównywa nekrologowi temu współczesny z nim kalendarz krakowski. Atoli i to co posiadamy nie jest jeszcze oryginałem, lecz jeno odpisem z drugiéj połowy XIII w. Czas przepisania oznacza wydawca ściśle na r. 1265—6.

Przed r. 1180, a nawet przed 1125 r. istniał w tém miejscu zakon benedyktyński, Norbertanie zajęli go dopiero r. 1180, i z tym téż czasem rozpoczynają się o nich wiadomości u nas. W nekrologu mieszczą się daty i zapiski odnoszące się do klasztorów norbertańskich męskich a to św. Wincentego i pod Brzeskiem, późniéj w Hebdowie istniejącego; żeńskich w Strzelnie, Zwierzyńcu, Krzyżanowicach, pod Płockiem, w Busku (pow. Stopnicki), Czarnowąsie, Żukowie i Dłubni.

Rękopis tego ze wszech miar cennego zabytku znajduje się w bibliotece królewskiéj w Berlinie w oddziale rękop. teol. (pod l. 378).

Również do historyi zakonu Norbertanów się odnoszącém źródłem, nie tyle atoli ważném, co poprzednie, jest *Liber mortuorum monasterii Strzelnensis ordinis Praemonstratensis* (719—767). Rękopis jego znajduje się w Strzelnie i pochodzi z r. 1626, spisała Urszula Siemiątkowska, po któréj śmierci prowadzono go jeszcze do r. 1735. W skład jego wchodzą, jak się zdaje, aż dwa nekrologi: starszy przepisany przez Reginę Boskowską i nowszy.

Liber mortuorum monasterii Andreoviensis ordinis cisterciensis (str. 768—805) jest tylko niekompletnym odpisem, pochodzącym z XVII wieku. Nekrolog pierwotny, który nie posiadał żadnych dat rocznych wcześniejszych jak z XIV w., był, jak się zdaje, prowadzony do r. 1629, w tym bowiem dopiero roku założono nowy. Do tego téż roku drukuje go wydawca, dodając z późniejszych tylko ważne wiadomości. *Liber* poprzedza sprostowany ile możności spis opatów jędrzejowskich.

Do historyi zakonu Cystersów odnoszą się także dwa źródła następne t. j. *Excerpta e libro mortuorum monasterii Mogilnensis ordinis cisterciensis* (806—13) i *Series abbatum coenobii Byszoviensis seu Coronoviensis ordinis cisterciensis* (814—17). *Excerpta* zawierają zapiski nie datowane do XV w. *Series* znajduje się w rękopisie w kodeksie biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Spisano go w początkach XVII w., prawdopodobnie na podstawie nekrologu klasztornego i innych dobrych źródeł. Daty tu oznaczone, porównane ze znajdującemi się w innych źródłach, okazują się wiernemi. Na podstawie *Series* prostuje wydawca datę dokumentu, wydrukowanego w kodeksie dyplomatycznym wielkopolskim pod n-r 98, odnoszącego się do sprzedaży wsi Świniarzewo.

Jedną z najstaranniéj opracowanych monografii klasztornych są *Compilatoris veteris Trzemesznensis fragmenta* (818—40), spisana w w. XVII przez nieznanego nam zakonnika z imienia i nazwiska. O monografii téj pisał już obszerne studyum ks. dr. Łukowski.

Źródło, na podstawie którego monografia ta ułożoną została, ukrywa się dotychczas jeszcze przed nami, znamy atoli cały ustępy dosłownie z niego zaczerpnięte. Złożywszy cytaty te przekonywujemy się, iż rękopis pierwotnego kompilatora wynosił 58 kart i kończył się na dniu 17 lutego 1653 r., podczas gdy kronika obecna doprowadzona została do r. 1699. Kompilacya pierwotna nie była dziełem jednego człowieka, składało się bowiem na nią kilku autorów, co obecnie z łatwością da się wykazać. Ks. dr. Łukowski jest zdania, że autorem najstarszéj kompilacyi był ks. Stanisław Sierakowski, wydawca zaś po nad wątpliwość udowadnia, że ks. Sierakowski może nim być co najwyżéj w latach 1565—1617, do r. 1517 bowiem bezwarunkowo autorstwo kompilacyi pierwotnéj przypisać należy ks. Andrzejowi Drzążyńskiemu. Zakonnik ten, światły i uczony, powziął był myśl spisać kronikę klasztoru trzemeszeńskiego od najdawniejszych czasów i myśl tę zrealizował. W ciągu pracy téj atoli zaskoczyła go r. 1517 utrata wzroku. Od r. 1517 — 1526 prowadził kronikę daléj już kto inny, od roku zaś 1526—1565 nie wpisywano do niéj nic nowego. Najwymowniéj przeciw twierdzeniu ks. Łukowskiego przemawia zapiska, umieszczona przez samego ks. Sierakowskiego bezpośrednio po r. 1526, t. j. gdy kronikę napowrót podjął spisywać.

Źródła, jakich przy pracy swéj używał ks. Drzążyński, są: 1) katalog przełożonych klasztornych, 2) *annales*, które prócz wiadomości lokalnych mieściły i wiadomości historyczne, tudzież 3) *liber mortuorum* klasztoru trzemeszeńskiego.

Wydawca, ogłaszając kronikę tę, ograniczył się na podaniu wszystkich fragmentów z kompilacyi starszéj, które się znajdują w kronice, daléj ustępów po r. 1526, oraz wyimków, w których kronika cytuje *catalogus*.

Zapiski same są stosunkowo dość obszernie i barwnie skreślone, zauważyć atoli należy, że zapiska z r. 1522 odnosząca się do śmierci Drzążyńskiego nie została wpisana równocześnie ze zdarzeniem, lecz nieco, a może i dość znacznie późniéj.

Znaną jest sprawa ogłoszenia *Annales Lubinenses* przez ś. p. Augusta Bielowskiego (M. P. h. T. 2), znane zapatrywanie nań d-ra Wojciechowskiego, recenzya d-ra Kętrzyńskiego i uzupełnienie umieszczone przez p. St. Ł. w „Ateneum". Otóż obecnie p. Kętrzyński, otrzymywszy oryginał rocznika lubińskiego z Berlina, ogłasza go tu po raz wtóry (861 — 73). Cały rękopis tego tak cennego zabytku składa się z całéj jednéj pergaminowéj karty in folio i ułamka drugiéj; obydwie, t. j. tak karta główna jak i ułamek, są pisane jedną i tą samą ręką z XIII w. pochodzącą, mają atoli dodatki

również jednéj ręki, pochodzącéj z XIV w. Karty te są ułamkiem zaginionego już dzisiaj rocznika lubińskiego i to nie w oryginale, lecz jako kopia starego jakiegoś rocznika. Mają one wspólne wiadomości z rocznikiem Sędziwoja z lat 1143, 1144, 1147, 1153, 1154, 1157, 1163, 1165, 1166, 1167, 1170 i 1173. Obliczając ilością lat, dochodzi wydawca do wniosku, że karty te są częścią istniejącego niegdyś zeszytu pergaminowego, który obejmował 16 kart, z tych lata 1143—1176 stanowiły siódmą kartę, a ułamek dziesiątą. Jestto atoli hipotezą i pozostanie nią. Nie koniecznie każda stronica musiała zawierać tyle lat, co chce wydawca i co dają odnalezione, skoro już karty przedzielające ułamek i całą kartę, jak sam p. Kętrzyński zauważył, mają ich mniéj. A zresztą, czy można z pewnością powiedzieć od którego roku rozpoczęto rocznik? Zapiski tu pomieszczone odnoszą się do Lubina, Poznania, Gniezna i w ogóle do Wielkopolski, a zaledwo dwie z nich do Mazowsza.

Na dalszych stronicach kodeksu od 874—881 znajdujemy *Annales posnanienses*. Rękopis ich, pisany ręką z XIV w. przechowuje się w bibliotece seminaryjnéj w Poznaniu i jest najprawdopodobniéj kopią składającą się z dwu części. Część pierwsza obejmuje lata 929—1079, druga 1276—1341, którą spisał człowiek żyjący roku 1341 w Poznaniu. *Annales* mają niektóre wspólne wiadomości z rocznikiem kapitulnym krakowskim, wielkopolskim, dawnym świętokrzyskim, spominkami gnieźnieńskiemi i rocznikiem kamienieckim, możliwém jest przeto, że podstawę swą we wspólném mają źródle.

Od następnego wydawnictwa, począwszy tom V Monumentów, zawiera krótkie tylko urywkowe ustępy i tak inne *Annales posnanienses* (882—4) z początkiem XVI w. spisane, przeważnie na kronice wielkopolskiéj i Janku z Czarnkowa oparte; *Annales Cuiavienses* (885—9) jedno ze źródeł, które wcieliła w siebie kompilacya znana u nas pod nazwą „Rocznik świętokrzyski;“ *Annales Mansionariorum cracoviensium* (890—96) o nader szczupłych tylko i jałowych wiadomościach; *Diarium cuiusdam domestici Petri Tomicki* (897—904) ze szczegółami nader ciekawemi, do życia Piotra Tomickiego się odnoszącemi; *Notae Cracovienses* (905—9) zawierające kilkanaście wiadomości z XIII, XIV i XV wieku; *Notae de universitate studii Cracoviensis* (907—8) o trzech zapiskach z r. 1515 współczesną wypisanych ręką, odnoszących się do uniwersytetu krakowskiego i miasta Krakowa; *Notae Gnesnenses* (909) z kilku zapiskami z lat 1454—9; *Notae Zarnovecenses* (910—12), z których korzystała średnia kronika oliwska; *Visitatio in Almania de tempore domini Roberti abbatis* (913—16), legenda o Kazimierzu I, jako zakonniku w Klunia-

ku. *Rationes Zbignei a Nasiechowice Archidiaconi Cracoviensis* (917 25) rachunki Zbigniewa z Nasiechowic z lat 1389—90; *Registrum damnorum a Cruciferis in Mazovia anno 1413 factorum fragmentum* (926—30) opis szkód wyrządzonych na Mazowszu przez Krzyżaków r. 1413; *Consecratio ecclesie et altarium monasterii Paradysensis* ordinis cisterciensis (931 — 3), notatka z r. 1397 spisana spółcześnie o konsekracyi kościoła paradyskiego i tamtejszych ołtarzy; *Consecratio ecclesie et altarium monasterii orloviensis ordinis S. Benedicti* (934—5), opis konsekracyi kościoła i ołtarzy klasztoru benedyktynów w Orłowie z r. 1466; *Inventaria ecclesie collegiatae S. Marie Visliciensis* (936 — 948), inwentarze kościoła wiślickiego z lat 1480, 1483, 1486; *Inventaria ecclesiae Cathedralis Gnesnensis* (949—53) dwa inwentarze z 1318 i 1450 r. do kościoła katedralnego w Gnieznie.

D-r Kętrzyński kończy swoje wydawnictwa publikowaniem znalezionych przez się zapisek, rozmaitéj treści. pobieżnych, wziętych z okładzinek kodeksów starożytnych i t. d.

Są p. t. *Varia e variis codicibus*. Są one: 1) *e codicibus Gnesnensibus* z XIII, XIV i XV w.; 2) *Posnaniensibus* z XII, XIII, XIV, XV i XVI w.; 3) *Cornicensibus* z XIV i XV w.; 4) *Trzemesznensibus* z XV, XVI i XVII w.; 5) *Plocensibus* z XIV, XV i XVI w.; 6) *Vladislaviensibus* z XV w.; 7) *Varsaviensibus* z XV w,; 8) *Kielcensibus* z XV w.; 9) *Sandomiriensibus* z XIV, XV i XVI w.; 10) *e codice Dzikoviensi* z XV w.; 11) *e codicibus Cracoviensibus* z XV w.; 12) *Leopoliensibus* z XV i XVI w. Na str. 1027—1168 znajdujemy indeks nazw. napotykanych w tym tomie sporządzony przez p. H. Kopię. Ogólne wrażenie, jakie się odnosi po przejrzeniu tego tomu jest dla wydawnictwa korzystne, zauważyć atoli musimy, że prócz rzeczy pierwszorzędnéj wartości spotyka się tu także ustępy najmniejszéj dla historyi nie mające znaczenia, które bez szkody dla niéj mogły pozostać i nadal w rękopisach. *Z. L.*

= *Wacław Woysym Antoniewicz*: **Zygmunt August król polski, dramat historyczny w pięciu aktach a sześciu odsłonach** (Kraków, nakład autora, 1888, str. 73). Dawniéj, za doby romantycznéj, poczytując twory fantazyi ludowéj za niewyczerpany skarbiec pomysłów i barw, snuto nie tylko pieśni liryczne, ballady i legendy ale także poemata epiczne i dramata z wątku pojęć fantastycznych, wyrobionych wiekami. Okazało się to w części tylko odpowiedniém dla twórczości artystycznéj; pieśni bywały bardzo piękne, ballady i legendy już mniéj, a większe utwory—zazwyczaj nader nieudatne. P. Antoniewicz zna niewątpliwie te próby; więc téż postanowił ina-

czéj pierwiastek ludowy do poezyi artystycznéj zastosować: nie fantastyką ludu lecz jego psychologią się posługując, chciał przedstawić, jak się w duszy jego odbiły albo odbić mogły wypadki dziejowe. Ponieważ nie znalazł wśród ludu wskazówki odnoszącéj się do tematu, jaki sobie obrał, tj. do Zygmunta Augusta i Barbary, utworzył więc sam, na wzór podobnych, rzeczywiście wśród ludu istniejących, opowieść o losach tych dwojga kochanków, starając się uwydatnić w nich i ich otoczeniu rysy główne, wybitne, najważniejsze i najcharakterystyczniejsze, o ile je fantanzya ludowa pochwycić mogła. Więc w urobionéj przez autora klechdzie jest król bardzo stary mający żonę daleko młodszą od siebie, złą, niegodziwą, przewrotną, która zań zarządziła i chciała nawet po jego śmierci rządzić; jest syn tego króla, żeniący się z piękną księżniczką, którą stara królowa, nie mogąca już tak swobodnie się rozporządzać jak dawniéj, struła; jest czarnoksiężnik umiejący wywoływać duchy, który téż i duch otrutéj pokazał smutnemu królowi; jest i niewiasta bardzo podobna do owéj nieszczęśliwéj żony, lubiona przez króla dlatego podobieństwa; jest i widoczna sprawiedliwość boża, karząca złą matkę, co uciekłszy do krajów dalekich, otruta tam została przez spólnika poprzedniéj swéj zbrodni. Ani wątpić, że i z téj osnowy, nie mieszczącéj w sobie nic z pierwiastków politycznych; mógłby gienialny dramaturg urobić rzecz piękną, wzruszającą, pełną siły dramatycznéj; są w niéj bowiem żywioły podatne do przeprowadzenia procesu psychicznego w duszy bohaterów; są wielkie namiętności, są charaktery, są zbrodnie, są nieszczęścia, tylko należy je w ruch wprawić. P. Antoniewicz, jak się zdaje, téj ostatniéj umiejętności, to jest rozwinięcia akcyi, nie posiada jeszcze i dlatego figury jego są wielce do jasełkowych podobne, zwłaszcza w akcie II, gdy Bona podczas przemów Tarnowskiego, Maciejowskiego i Boratyńskiego to wstaje to siada jakby sprężyna poruszana, oraz w akcie III, gdy taż Bona rozmawia ze swym synem, podobnież się zrywając i siadając. Ta jasełkowość postaci nie była przecież zamierzona przez autora, boć tworzył on swój dramat nie dla ludu lecz dla oświeconych, wynikła zaś zapewne wskutek dążenia do nadania jaskrawéj typowości osobom występującym w utworze. Dramat p. Antoniewicza obejmuje przeciąg czasu 24 lat, ale w nich, zgodnie zresztą z założeniem główném, mamy przedstawione tylko życie prywatne Zygmunta-Augusta, jego stosunek do Barbary i do Bony; raz jedynie i to bezpośrednio po ślubie i po otruciu małżonki, co się odbywa u autora jednego dnia, słyszymy, iż się wybiera na czele 200000 przeciwko wrogom. Pewną spójność mają 3 pierwsze akty: mówi się tu bowiem o niechęci matki do syna, o małżeństwie Zy-

gmunta i otruciu jego żony; akt IV-y i V-y są luźnie dołączone do poprzednich; mają na celu wystawić żal króla, chciwość Bony i karę, jaką ją spotkała. Ogólnie mówiąc, sposób traktowania wątku jest raczéj powieściowy niż dramatyczny. Dyalog jest mieszaniną prostoty a nawet prostactwa z wyrażeniami warstw wyżéj wykształconych. Bona zazwyczaj wyraża się bardzo nie podworsku, lubo nie unika bynajmniéj zwrotów i wyrazów, nieznanych nie tylko ludowi, ale i wykształconemu towarzystwu dworskiemu w XVI wieku (romanse i d e a l n e, kochanka i d e a l n a). Inne osoby przemawiają ani zbyt górnie, ani zbyt prostaczo: „gadanie“ ich, mówiąc ulubioném wyrażeniem Bony w tym dramacie, nie razi, ale téż niczém na siebie uwagi zwrócić nie może; do wypowiedzenia uczuć silnych nigdzie nie znalazł autor potrzebnéj mocy, w wyrażeniu tkliwości jedno możnaby zaznaczyć miejsce jako najlepsze w całym utworze, gdy Zygmunt przemawia do otrutéj żony; kilka wreszcie zwrotów poetyckich ładnie wypowiedzianych; oto i wszystko, co o dykcyi dramatu powiedziéć się daje. Za błąd w utworze opartym na pojęciach ludowych uważam przedstawienie Twardowskiego jako filozofa wyższego nad wiek, gdy mówi: „O tak! nie pora jeszcze ludziom poznać wszystkie zakryte tajniki natury: Więc po dawnemu niech ich skrytość łudzi I t a j e m n i c a c z a r o d z i e j s t w o m a m i a“ (str. 51). Jak w myśli autora taka postać czarnoksiężnika mogła się pogodzić z pomysłami klechdy ludowéj, nie potrafiłbym objaśnić; wydaje mi się ona wziętą z zupełnie innego zakresu poglądów. Zwrócić téż muszę uwagę na niewłaściwość użycia takich wyrazów jak s z e z l ą g, s z a m b e l a n w odniesieniu do wieku XVI, oraz dodać, że słowo s z a r z a ć s i ę znaczy tułać się, włóczyć nie zaś panoszyć się, jak autor widocznie sądzi (str. 38).

═ Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa: **Jak się uczyć i jak uczyć innych,** *napisał Adolf Dygasiński* (Warszawa, 1889, dotąd dwa zeszyty, str. 48). Dziełko to zagaja szereg „treściwych, popularnych podręczników *we* wszelkich gałęziach wiedzy ludzkiéj, w ten sposób napisanych, aby pragnący nauki mógł się zupełnie obyć bez nauczyciela“. Podręczniki te, układane przez specyalistów, wychodzić mają co tydzień wychodzącemi zeszytami dla uprzystępnienia prenumeraty; cena każdego zeszytu kopiejek 10 w Warszawie, kop. 12 na prowincyi. Jakkolwiekby się kto zapatrywał na potrzebę osobnych książek dla samouków a osobnych dla tych, co zostają pod kierunkiem nauczycieli, musi przyklasnąć myśli wydawania dziełek pisanych jasno, przystępnie dla najszerszego ogółu, a jednak gruntownie. Autor wstępnéj w szeregu owych dzieł książki, znany zaszczytnie ze swych prac na polu wychowawczém, p. Adolf Dyga-

siński określa okres samouctwa na czas wyjścia ze szkoły, kiedy młodzieniec bierze się już do jakiejś pracy zawodowéj a nie chce pozostawić umysłu swego bez dalszéj uprawy. Bardzo rozumną stawia na samém czele swego wykładu przestrogę dla chcących się kształcić, mówiąc, że prawdziwą wartość ma tylko takie myślenie, które umysł nasz wypracował na podstawie samodzielnéj obserwacyi i doświadczenia", oraz że tylko „dobre" książki czytać należy. Przechodzi następnie do skreślenia najgłówniejszych zjawisk umysłowych, jako to działań rozumu, fantazyi, uczuć i pożądań, wskazując jakie poszczególne nauki zajmują się bliższym tych zjawisk wykładem. W rozdziale XIII przystępuje do zaznajomienia z językiem, jako środkiem wyrażania myśli. Na tém kończy się zeszyt drugi. Nie oceniając tu książki p. Dygasińskiego pod względem metodycznym, gdyż ocena taka będzie możliwa dopiero po jéj ukończeniu, zauważyć jednak należy już tutaj, że rozdział VIII w innym jest trzymany tonie niż 7 poprzednich; w tamtych rozwijał myśli i wskazówki, w tym wdaje się w szczegóły np. takie jak wyliczanie prowincyonalizmów, barbaryzmów itp. to jest rzeczy, które w gramatyce i stylistyce muszą być uwzględnione szczegółowo; a tu zaledwie wspomniane chyba być mogły. Wykład sam jest jasny, ale wolelibyśmy widzieć w nim mniéj wyrazów cudzoziemskich, mniéj pojęć niewyjaśnionych przez autora (subiektywizm, obiektywizm), oraz mniéj niepoprawnych wyrażeń, do których mianowicie liczymy bardzo często przez p. Dygasińskiego używane połączenia przyczynowe zdań przez d l a t e g o p o n i e w a ż zamiast d l a t e g o ż e, połączenie skutkowe przez d z i ę k i tam nawet, gdzie niéma za co dziękować, oraz zupełnie zbyteczny zwrot łacińsksi *nominativu cum infinitivo* („wydają nam się być niepodobieństwem" itp.). Sądziłbym téż, że unikanie frazesów łacińskich, np. *caeteris paribus*, powinno należéć do obowiązków autora piszącego dla samouków; nie każdy bowiem kończący szkoły umie połacinie; a posługiwanie się neologizmami tak zwłaszcza brzydko brzmiącemi jak: „uzwiązkowanie" „uzwiązkowany" (zamiast skojarzenie, skojarzony) trzebaby wielce ograniczyć.—Niezależnie od tego wydawnictwa dla samouków, p. Dygasiński ogłosił **Wskazówki do ćwiczeń stylistycznych polskich** (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1889, str. 171). Rzecz-to bardzo potrzebna, bo dotychczasowe stylistyki, jak praktyka okazała, nie przynosiły uczącym się i uczącym prawie żadnego pożytku. Ale cóż, kiedy autor jest sceptykiem a raczéj nihilistą w przedmiocie, o którym pisze. Według niego „prawideł stylistycznych niéma żadnych; są tylko prawa myślenia" (str. 11), z czegoby wypadało, że stylistyka wogóle nie posiada prawa bytu w szeregu nauk, że jakby

do wielu innych tak i do sztuki pisania potrzebna jest jedynie logika, psychologia i wprawa. Z takiego sposobu zapatrywania się wypadło, że p. Dygasiński uwagi teoretyczne o stylu i rodzajach literackich ograniczył do minimum, a zwrócił natomiast głównie uwagę na wzory i dyspozycye ćwiczeń. Wzory te są prawie bez wyjątku dobre, ale zbyt jednostronne, bo przeważnie odnoszą się do przedmiotów i zjawisk przyrody. Rozumiem bardzo dobrze, iż ćwiczenia tego rodzaju są wielce nauczające, bo zaprawiają umysł do rozwinięcia zmysłu spostrzegawczego; lecz nie sądzę, żeby na nie tak silny nacisk kłaść należało i żeby odpowiednie pod względem ilości wzory wypracowań z zakresu opowiadań, rozpraw, porównań, charakterystyk były rzeczą mniéj ważną. Przytém same wzory nie wystarczają; owszem mogą poprowadzić do zupełnie bezmyślnego naśladownictwa, coby przecież było przeciwne i zasadom pedagogiki i dążności p. Dygasińskiego. Potrzebne więc były zasady teoretyczne wyłożone szerzéj i jaśniéj. Niewątpliwie stylu indywidualnego i prawdziwie pięknego nie podobna nauczyć nikogo, kto nié-ma potemu zdolności; ale można przecież doprowadzić ucznia do tego, żeby pisał poprawnie nie tylko pod względem gramatycznym, lecz także i stylistycznym; nie można sprawić, żeby ktoś bez talentu wynajdował piękne i nowe zwroty, lecz można i należy wdrożyć w umysł młody zwroty znane, utarte i sprawić, żeby się niemi stosownie umiał posługiwać. Pożądanąby więc było rzeczą, ażeby autor przy drugiém wydaniu swego dziełka, usuwając niektóre, nieliczne zresztą błędy językowe i stylowe, rozszerzył i to znacznie część teoretyczną wykładu stylistyki.

= Utwory beletrystyczne są u nas jak i gdzieindziéj najobfitsze. Nie mogąc poświęcać wszystkim ukazującym się nowościom rozbiorów obszerniejszych, większość musimy charakteryzować ogólniéj. Pomysłowość jest tu po większéj części najsłabszą stroną; nowe zjawiska życia mało kto umie podpatrzyć; forma a mianowicie czynniki opowiadania: żywy dyalog, dowcip, humor muszą zastępować niedobory treści; niejednokrotnie zaś i jedno i drugie szwankuje. Prawdziwie wykwintnym stylistą równie w poezyi jak w prozie jest p. Wiktor Gomulicki, który niedawno puścił w świat dwa zbiorki swoich obrazków i nowel, jeden p. n. **„Przy słońcu i przy gazie“** (Warsz. Lewental, str. 237 z ilustracyami), drugi p. n. **„Róże i osty“** (Warsz. Gebeth. i Wolff, str. 374). W obu nie znajdzie się ani jedno chyba zdanie źle zbudowane, źle brzmiące, pospolite, ani jedno wyrażenie wytarte, bezmyślne, chociaż tu i owdzie napotka się jakiś wyraz lub frazes z francuska przykrojony. Wynika to z ogólnego wzorowania się tego pisarza na literaturze

francuskiéj i jego sposób wypowiadania swych spostrzeżeń, jego dowcip, sam nawet tryb myślenia ma cechę francuską. Tak np. „Przy słońcu i przy gazie“ ukazuje nam p. Gomulicki różne szczegóły życia warszawskiego. Zdawałoby się, że tu obserwacya powinna była odgrywać pierwszorzędną rolę; tymczasem u autora gra ona dość niewielką, a fantazya i dowcip, wykształcone lekturą francuską, występują tu głównie. Nie z natury zaiste wzięty jest ten ulicznik warszawski, przypatrujący się wystawie przez szparę, który według p. Gomulickiego w „dziewięcioletniéj“ swojéj „głowinie“ wyobraża sobie, że stopy żółte, powleczone skórą cielęcą i tępo ucięte jak kopyta widziane przezeń, należą do bożka „Apisa o wyzłacanych rogach, którego wśród nagromadzonych cudów oprowadzają w tryumfie“. Nie! to myśli samegoż autora, dlatego włożone w „dziewięcioletnią głowinę“, aby módz w dalszym ciągu kazać jéj wygłosić satyryczny koncept: „jest to z pewnością albo wół święty, albo téż święte... cielę!“ (str. 39) Francuskie piętno tkwi na frazesie. „Katarynka i fortepian to dwa nieszczęścia naszych czasów, wiodące za sobą: niedokrewność panien, spazmy mężatek, idyotyzm dzieci, a wreszcie histeryą, szał lub nawet... wiarołomstwo“ (str. 49). Francuskiém téż, przepełnionémi wyrazami cudzoziemskiemi, jest zdanie: „Reklama jest matką szyldów ekscentrycznych, które nietylko informują przechodnia, ale pragną go nadto — ambetować“ (str. 106). Nie myślę powiększać liczby dowodów przejęcia się autora wzorami francuskiemi: wspomnę tylko, że poprzednicy p. Gomulickiego w tym rodzaju szkicowania: J. I. Kraszewski („Obrazy z życia i podróży“), Szymon Bogucki i Wacław Szymanowski, lubo się także na obce przykłady zapatrywali, więcéj przecież swojskości wykazali w swych utworach, lubo mniéj wykwintnym odznaczali się stylem. U p. Gomulickiego najwięcéj pierwiastku spostrzegawczego widać w obrazkach przedstawiających szwaczki, stróżów i ustronne teatrzyki („Muza w negliżu“). „W Różach i ostach“ znajduje się jedno arcydziełko dowcipnego stylu („Grzech śmiertelny“), przedstawiające rozmowę dwu przyjaciółek na temat niewiary małżeńskiéj, jedno ładne opowiadanie, żartobliwie szydercze („Potrawka z gołębi“), powstałe widocznie pod wpływem szkicu Juliana Bartoszewicza o podróży Załuskiego do Portugalii a wystawiające chytrość ajentów św. Inkwizycyi, oraz 12 innych krótszych i dłuższych nowel różnéj wartości, po większéj części dużo przedstawiających fantazyi, niemało dowcipu, niewiele zaś głębokiego, szczerego uczucia. Dwa z tych szkiców („Co widział promień wiosennego słońca“, „Gadająca brzoza“), pod względem pomysłu należące już dzisiaj do archeologii estetycznéj, mo-

gły być śmiało wypuszczone. „Mundur“, malujący życie urzędnika małomiasteczkowego zawieszonego w urzędowaniu, ma sceny wyborne, ale grzeszy przesadą w swém zakończeniu, które miało być tragiczném a jest tylko psychologiczną niespodzianką.—Niezbyt wielkie ma o styl staranie p. Klemens Junosza, który obecnie wydał nowy zbiór swych obrazków p. t. **Wilki** (Warszawa, Paprocki, str. 334), ale za to prawie wszystko czerpie z obserwacyi, obrabiając głównie życie małomiasteczkowe i wiejskie, a w niém maluje przedewszystkiém żydów. Wiele jest prawdy, wiele rzetelnego humoru w opowiadaniach p. Junoszy, chociaż nie brak tu i ówdzie naciągania charakterów i sytuacyi do pewnéj dążności zgóry zakreślonéj i stąd niektóre wyglądają jakby były nauczką moralną dla starych dzieci; szczególniéj znać to w obrazach żydów gospodarujących na wsi („Nowy dziedzic“, „Miód niekasztelański“). Bardzo piękny, lubo szczupłemi rysami skreślony jest szkic starego, rozumnego „Froima“; znakomitym nazwać można maleńki obrazek zubożałéj kobiety grającéj po restauracyach, któréj na wspomnienie dawnych lepszych czasów, na wspomnienie zmarłych dzieci, serce pęka, gdy gra „Wesołego“; ładnym, rzewnym, wzruszającym szkicem jest pamiętniczek młodéj suchotnicy, marzącéj o wiośnie i szczęściu z lubym „Gdy konwalie zakwitną“.—Historyą niedawnego ruchu cukrowniczego na Ukrainie, przeciwstawiającą niezaradność, próżniactwo, skłonność do libacyi i łatwych rozkoszy starszego pokolenia pracowitości młodszego oraz sprytowi i zdolności wyzyskiwania u różnych przybyszów obcych, opowiedział autor, ukrywający się pod pseudonimem Es-em-er w szkicu p. n. **Starzy i nowi.** Styl a nawet język w tym utworze jest zaniedbany; fantazyi plastycznéj nie rozwinął autor w wyższym stopniu, układu trzymał się wadliwego; zaledwie parę scen mianowicie restauracyjnych ma cechę nowości.

= Znany czytelnikom naszym nowy przekład Fausta, dokonany przez p. Ludwika Jenikego, wyszedł obecnie w osobnéj, ładnie wydanéj książce p. t. **Faust, tragedya Göthego** (Warszawa, Paprocki, 1889, str. 244). Jest to, jak wiadomo, piąte z kolei tłómaczenie tego arcydzieła. Poprzednicy p. Jenikego: Walicki, Krajewski, Jezierski, Paszkowski, wiele się niewątpliwie przyczynili do ułatwienia pracy nowemu tłómaczowi, zarówno przez piękne i udatne miejsca, jako téż niemniéj i przez usterki, ponieważ w tym drugim razie ustrzegli od popełnienia błędów. Nie potrzebujemy tu podnosić wartości nowego przekładu, ponieważ czytelnicy go znają dodać więc tylko wypada, że gdy „Ateneum“ tłómaczenie to wydrukowało, pojawiły się obszerne jego oceny. Skorzystał z nich tłomacz, a dodając poprawki, powstałe pod wpływem ponownego

przejrzenia tekstu i porównania go ze swym przekładem, udoskonalił swą pracę i naprawdę wzbogacił literaturę naszą wiernêm myślowo i estetycznie odtworzeniem arcydzieła niemieckiego w języku ojczystym. Życzyć mu z całego serca należy jaknajszerszego rozpowszechnienia.

— *Hirschberg Aleksander*. **Hieronim Łaski**. Lwów. 1888. Jednym z najzasłużeńszych między tymi, co niepowołanie sławę polskiego imienia na najdalsze roznieśli szlaki, był niewątpliwie Hieronim Łaski. Natura niestała, niespokojna, gorączkowa prawie, a obdarzony w wysokim stopniu ambicyą dostojeństw, bogactw i stanowiska, nie mógł się pomieścić Łaski w Polsce Zygmunta I, rządzonéj przez nieprzyjaznych rodowi jego Tomickiego i Szydłowieckiego. Chociaż więc już 27-letnim młodzieńcem będąc, miał w senacie krzesło wojewody sieradzkiego, niejedno bogate starostwo, a przez znakomite małżeństwo z Anną Kurozwęcką, ułatwioną drogę do najwyższych w kraju godności, wcześnie opuszcza Polskę i usługi swe ofiaruje dorabiającemu się korony węgierskiéj Janowi Zapolyi. W jego służbie prowadzi Łaski szeroko rozgałęzione intrygi polityczne, traktuje o przymierze między Francyą, Polską, Węgrami i Bawaryą, zwrócone przeciwko domowi habsburskiemu, dla Zapolyi przeprowadza prawdziwy *coup d'état* tj. sojusz z Solimanem, inaugurowany spotkaniem na Mohackich polach, kilkakrotnie jeździ do Konstantynopola i t. d. Jednêm słowem jest on łącznikiem przeciwników domu austryackiego. Starania jego odnoszą tylko najbliższe skutki, trwalszych nie zostawiają śladów. Nie jest to charakter piękny; jedyną podnietą w nim do sławionych współcześnie czynów jest tylko ambicya. Tak więc, gdy widzi, że sprawę Zapolyi zaczyna znaczyć przegrana, przechodzi do obozu jego przeciwnika, króla rzymskiego Ferdynanda, u którego jednak nie znajduje wielkiego zaufania, ani nie osiąga swych daleko idących zamiarów. Ostatecznie zadowolnić się musi tylko szumnie dźwięcznym tytułem bana Chorwacyi i Slawonii. W sile wieku jeszcze, umiera w Krakowie w 1541 roku. Z ogromną pracowitością i mozołem, ze względu na mnóstwo porozrzucanych wszędzie źródeł, napisana przez p. Hirschberga biografia Hieronima Łaskiego, nie pod wszystkimi względami zadawalnia czytelnika. Autorowi zarzucamy zbyteczne wciąganie źródeł do tekstu i wyręczanie się niém w opowiadaniu. Po odrzuceniu całéj masy cytowanych *in extenso* aktów, zmalałaby ta pokaźna co do objętości książka, a nie tracąc nic na gruntowności, zyskałaby wiele w przejrzystym układzie i jednolitéj budowie. Uniknąłby téż autor niejednego powtarzania. Tak jak jest, dzieło p. Hirschberga nie jest przyjemną le-

kturą ani też zbiorem materyałów, bo źródła swe podaje autor w tłómaczeniu. Zdaje nam się również, że autor zanadto się rozbił w szczegółach, wskutek tego może nie znajduje czytelnik choćby w szerokich rysach nakreślonéj lecz głębiéj pojętéj charakterystyki Łaskiego. Sama kronika życia jego jest opracowana wyczerpująco, dzięki źródłom mozolnie zebranym we wszelkich archiwach i bibliotekach. W końcu podnieść należy typograficzną stronę téj książki, która zaszczyt przynosi lwowskiéj drukarni.

= **Kronika uniwersytetu jagielońskiego** od r. 1864 do r. 1887 i obraz jego stanu dzisiejszego. Wydanie senatu akademickiego na pamiątkę otwarcia Collegium novum. Kraków 1887, str. 251+LXXV i spis, 4⁰. Obchodzony uroczyście w roku zeszłym akt otwarcia nowego gmachu uniwersyteckiego w Krakowie uczczono kilku pamiątkowemi publikacyami. Jedną z takich jest wydana staraniem senatu akademickiego powyższa księga. Spodziewano się powszechnie, że przy sposobności doniosłego tego zdarzenia, uniwersytet ogłosi całkowitą historyą starożytnéj szkoły, ogrom jednakże materyału i krótki czas do jego opracowania pozostający, nie dozwolił urzeczywistnić tego zamysłu. Na rok tedy 1900 t. j. rocznicę pięćsetną powtórnego założenia uniwersytetu postanowiono odłożyć ogłoszenie całkowitéj monografii uniwersytetu a na razie zadowolono się wydaniem wzmiankowanéj kroniki. Publikacya powyższa obejmuje jeden z najciekawszych okresów jagielońskiéj *almae matris*, mianowicie dobę ostatnią od r. 1864, aż do dni dzisiejszych. Ważną jest ona z tego względu, że w tym przeciągu czasu dźwigać się począł uniwersytet rzeczywiście z dwuwiekowego uśpienia, i że ona to właśnie przywróciła mu ostatecznie blask dawnéj sławy i powagi. W obecnym swym stanie uniwersytet przedstawia się w porównaniu z r. 1861 nadzwyczaj zasobnie. Liczba katedr zwyczajnych na czterech wydziałach pomnożyła się z 37 na 46, liczba nadzwyczajnych wzrosła z 2 do 12, a zamiast 8 docentów prywatnych, ma ich obecnie uniwersytet 29. W podobny sposób pomnożyły się także zakłady uniwersyteckie, których w r. 1864 było 19, dziś zaś 26 wskutek czego liczba asystentów i adjunktów wzrosła z 11 na 26. „Kronika“ pomieszcza następnie szczegółowy wykaz wszystkich profesorów i docentów według porządku wydziałów, wraz ze wzmianką biograficzną o każdym z nich, oraz wyliczeniem ich prac naukowych, opisuje stan pomocniczych zakładów naukowych, gabinetów, laboratoryów, biblioteki, wreszcie fundacyi stypendyalnych, zostających pod zarządem uniwersytetu. Ostatni rozdział obejmuje tabelę statystyczną frekwencyi studentów od

r. 1864 do 1887, wielce ciekawą ze względu na stopniowy wzrost cyfr. Podczas gdy w r. 1864 liczył uniwersytet zaledwo 327 studentów, rok 1887, wykazuje poważną cyfrę 1171, która jest najwymowniejszém świadectwem rozwoju uniwersytetu. Rzecz o stowarzyszeniach akademickich, ich organizacyi i celach dopełnia treści ostatniego działu „Kroniki“. Ze wszech miar ciekawą i interesującą jest dołączona do téj publikacyi rozprawa d-ra A. Karbowiaka „O rektorach uniwersytetu Kazimierowskiego i Jagielońskiego w Krakowie, wraz ze spisem wszystkich rektorów od r. 1400 do obecnéj chwili. Poprzedzony on jest ogólnym wstępem, rozjaśniającym genezę, zakres i znaczenie władzy rektorskiéj wogóle, od najdawniejszych czasów aż po dzień dzisiejszy. *P.*

= **Pisma prozą Kajetana Koźmiana.** Kraków 1888. Nakład Żupańskiego i Heumanna str. 420. Literatura nasza zna Kajetana Koźmiana jako poetę, pamiętnikarza, wybitnego wreszcie przywódcę klasyków w epoce pamiętnéj walki dwu kierunków, nie znała jednak dotychczas polityka i publicysty. Tę stronę działalności jego rozświeca niniejszy, wydany przez St. Koźmiana (wnuka) tom nieogłoszonych dotąd pism autora „Stefana Czarnieckiego“, który obejmuje resztę pozostałych po nim rękopismów a tém samém dopełnia obrazu literackiéj jego działalności. Nie jako cenny nabytek dla piśmiennictwa, ale raczéj jako przyczynek do charakterystyki poglądów i przekonań politycznych i społecznych autora, spuścizna ta zasługuje na uwagę. Świadczy tom niniejszy, że w całéj swéj rozległéj na tylu różnorodnych polach działalności, Koźmian występuje przedewszystkiém jako mąż stanu, polityk i myśliciel, którego cząstką był tylko poeta a jego zachowawcze przekonania literackie, wypływem głęboko wkorzenionych pojęć politycznych i społecznych. Przeciwnikiem romantyzmu był on nie tyle ze stanowiska literackich poglądów, ile ze stanowiska myśliciela, który prąd ów uważał za zgubny dla polityki narodowéj. Za życia nie odzywał się Koźmian głośno z tém wyznaniem wiary, przeczuwając nie bez słuszności, że zwiększyłoby to siłę pocisków miotanych nań z przeciwnego obozu, ale natomiast w spuściźnie swéj, któréj może nie przeznaczał do druku, nie krępował się wcale i nierzadko z fanatyczną niemal zaciekłością wyraża się o ludziach i stosunkach współczesnych. Znamienny ten rys do charakterystyki Koźmiana, nie jest bez znaczenia dla historyi literatury. Na całość niniejszego tomu pism prozą złożył się bardzo różnorodny materyał. *P.*

= *Lubin F. W. Ilasiewicz.* **Z nurtów życia.** Zbiorek poezyi z teki dziennikarza. Lwów 1888. Nakładem autora. Str. 109. W liczbie ogłoszonych ostatniemi czasy zbiorów poetyckich niniejszy nie zaj-

muje wybitniejszego miejsca. Jestto wiązanka rymów najróżnorodniejszego nastroju, potrącających zarówno o bieżące kwestye polityczne i społeczne, jakotéż obracających się w dziedzinie liryki, i satyry. Autor nie należy ani do zwolenników czułych sielankowych westchnień ani do gwałtownych reformatorów społeczeństwa, a wyraźniejszéj jakiejś myśli przewodniéj dopatrzéć się u niego trudno. Utwory jego są bezpretensyonalnemi płodami, zrodzonemi w chwili obudzenia się w autorze weny poetyckiéj, i mają wybitną cechę szkiców dorywczych pisanych pod wpływem danéj chwili i warunków. Zaletą ich jest pewna świeżość i oryginalność w ujęciu pomysłu i wykonaniu, wsparta miejscami dowcipem i werwą. Miłosne i liryczne wiersze, z wyjątkiem kilku bardzo słabych (np. str. 80), nie pozbawione są wdzięku, podobnie jak z kilku drobiazgów polityczno-satyrycznych domyślać się można w autorze dziennikarza. Do poetyckiéj wartości zbiorek p. Hasiewicza prawa rościć sobie nie może.

= **Wisła**. *Kwartalnik etnograficzny.* — Zeszyt 3-ci „Wisły“ dorównywa swym poprzednikom, jeżeli ich nie przewyższa, tak pod względem wartości poszczególnych artykułów, jak i urozmaicenia ich w doborze. Rozprawa p. L. Krzywickiego p. t. „Antropologia w historjozofji i socjologji“ znajomi nas z poglądami naukowemi, przedstawianemi w dziełach Penki i Lapouge'a. Rzecz to pełna interesu, lubo uogólnienia tych uczonych uważamy po większéj części za przedwczesne; o ile zaś mają pretensye wpływać na politykę praktyczną, budziłyby niejaką obawę, gdyby życie mas od widzimisię jednostek w zupełności zależało. P. Krzywicki posługując się nowotworami językowemi, jak „odziedziczka“ (str. 454), „śródziemcy“ (448), lub „śródziemnowcy“ (457), „spadkowanie“ (464), powinien był czytelnika objaśnić, w jakiém znaczeniu ich używa; nie jeden bowiem spotykając się z nowoukutym wyrazem, mniemać może, że ma do czynienia z nowém jakiémś pojęciem, co nie zawsze byłoby słuszne; boć „spadkowanie“ to toż samo zupełnie, co dziedziczenie, spadkobranie. Nazwa śródziemców nakazywałaby, zdaje się, szukać ich w głębi jakiego wielkiego lądu; u autora zaś wprost przeciwnie, jeśli się nie mylimy, jest to nazwa oznaczająca całą grupę ludów mieszkających nad brzegami morza Śródziemnego. „Międzyrzeczy“ jest na świecie bardzo wiele; jaśniej by więc było powiedziéć po staremu M e z o p o t a m i a, bo o nią, jak się zdaje, autorowi chodziło (str. 465). U Niemców znane było niegdyś „prawo macierzyste“ *(Mutterrecht)*, według przeto klasyfikacyi, podanéj przez autora (str. 464), Niemcy byliby ludem biernym, pokojowym, rolniczym. Żeby wypadki 1871 r. wydobyły „z pośród ludu

całe tłumy talentów“, — o tém, przyznamy się w pokorze ducha, wcale dotąd nie wiedzieliśmy.—Dr. J. Talko - Iłgowski - Hryncewicz mówi pokrótce o badaniach antropologicznych na Zachodzie i u nas, a w dalszym ciągu przedstawia wyniki swych poszukiwań antropologicznych w powiecie Zwinogródzkim. — „Kronika gieograficzna“ p. Nałkowskiego zaczyna się od oznaczenia zakresu wiedzy, jaki nauka gieografii obejmować winna, poczém następuje zarys historyczny pojęć gieograficznych od czasów najdawniejszych i stopniowego wytworzenia się nauki w dzisiejszym jéj stanie. — Pp. S. Ciszewski, J. Karłowicz, W. Pławińska, J. Poliwka, W. Weryha, A. Zakrzewski i inni dostarczyli także do tego zeszytu „Wisły“, prac swoich, o których dla braku miejsca nie możemy uczynić obszerniejszéj wzmianki. Zrobimy wszakże wyjątek dla interesującéj wiadomości, dostarczonéj przez p. C. Neymana o tajemniczéj mowie lirników w okolicach Winnicy, niby jakimś języku „tarabarskim“ (1). Zdaje nam się, że najprawdopodobniéj byłoby szukać źródła téj mowy w języku rumuńskim, z którego, za pośrednictwem Hucułów i Cyganów, lirnicy zapożyczać się mogli. — Zeszyt 3-ci „Wisły“ zdobią liczne drzeworyty.

— **Rys dziejów czeskich** skreślił według źródeł *Justyn Feliks Gajsler*. Warsz. skład. gł. w księg. E. Wendego i S-ki, 1888, 8-vo, str. 281. Czechy i Polska, jako kraje graniczące z sobą, zostawały od najdawniejszych czasów w stosunkach ścisłych, już to pokojowych, już wojennych. Bardziéj na zachód wysunięte Czechy, wcześniéj zetknęły się z wyżéj ucywilizowanemi krajami Europy, wcześniéj przyjęły kulturę chrześciańską i daléj ją ku wschodowi rozszerzały. W ten sposób wpływy czeskie działały w pierwotnych czasach na państwo Piastów. Następnie dwa pobratymcze narody staczały z sobą długie boje albo o przewagę w Słowiańszczyznie zachodniéj, albo o pograniczne ziemie. Walka toczyła się ze zmienném szczęściem. Pod koniec XIII i na początku XIV wieku Czechy stanęły górą, w sto lat późniéj przewaga polityczna znalazła się po stronie polskiéj, ale ruch umysłowy husycki otworzył sobie pole działania i nad Wisłą. W drugiéj połowie XV stulecia na tronie czeskim zasiadła dynastya Jagiellonów. W późniejszych czasach

(1) Język tarabarski, „tarabarszczyna“ — wyrażenia używane dotąd przez Rosyan na oznaczenie języka dziko brzmiącego, niezrozumiałego, dziwnie przypominają zagadkowe wyrażenie w romancy Wilhelma z Poitiers z początku XII wieku: „Tarrababart“ (ob. Antologią Prowansalską E. Porębowicza, str. 23). O mowach tajemniczych na półwyspie Bałkańskim, pisał przed czterma laty dr. Konst. Jireček w *Arch. f. slav. Philol. VIII*, 99.

nasi Lisowczycy walczyli przeciw protestantom czeskim. Kiedy Czechy utraciły późniéj znaczenie polityczne, stosunki nasze z tym krajem osłabły; dopiero w bieżącym wieku, odrodzenie się Czechów najprzód na polu naukowém i literackiem, w końcu zaś i w sferze politycznéj, dało powód do zadzierzgnięcia nowych węzłów i wskrzeszenia dawnéj znajomości. Pomimo tego wszystkiego w piśmiennictwie naszém nie wiele jest prac, z którychby można było powziąć wiadomości o naszych najbliższych sąsiadach. Dziejów np. czeskich nie mieliśmy dotąd obszerniéj opracowanych. Brakowi temu postanowił zaradzić p. Gajsler i wydał pierwszy tom swéj pracy, doprowadzony do śmierci Jana Husa. W 18 rozdziałach autor przedstawia zmienne losy państwa Przemyślowiców, uwzględniając zarówno wypadki polityczne jak i sprawy wewnętrzne, kościelne, społeczne, prawne, literackie. Dzieło to, ozdobione kolorowaną mapą Czechii w XV wieku, a wydane z zapomogi kasy pomocy imienia D-ra Józefa Mianowskiego, znajdzie u nas bezwątpienia licznych czytelników.

— **Watażka** *dramat w 3 aktach na tle dziejowém przez Aurelego Urbańskiego.* Lwów, 1888, str. 94. Zarówno dla powieściowéj jak scenicznéj literatury naszéj niewyczerpaną kopalnią motywów są krwawe dzieje rozruchów hajdamackich z końca XVIII wieku. Jedną z tajemnic owego uroku, jaki one na umysły piszących wywierają, jest bezsprzecznie zespolenie się ścisłe w motywach owych pierwiastku czysto ludowego z wypadkami dziejowemi. Kilkowiekowe owo szamotanie się ludu ukraińskiego, obałamucanego zgubnemi wpływami, nie zdolnego zdać sobie sprawy z swych własnych dążeń i pragnień, opłacającego tylokrotnie krwawo swe zapędy—nie mogło nie pozostawić trwałego śladu w poezyi ludowéj a następnie w literaturze. A więcéj niż dla któregokolwiek innego rodzaju literatury nadają się temata owe dla autorów scenicznych. Dziarska natura ukraińskiego ludu dostarcza wybitnych i charakterystycznych typów, jaskrawe i niepozbawione siły dramatycznéj tło dziejowe, daléj ścieranie się prądów ludowego i szlacheckiego, poddają tu podostatkiem szczegółów zarówno do akcyi scenicznéj jak i charakterystyki obyczajowéj, która odrębnością swoją i oryginalnością dziwnie pociąga. Na podobnych motywach osnuł p. Urbański swój dramat. Lubo na dziejowych faktach oparty, nie jest jednak utwór ten dramatem historycznym, lecz raczéj ludowym obrazem obyczajowym, przedstawiającym w dosadnych barwach i jaskrawém oświetleniu rozterkę przekonań w dziedzinie wierzeń i wyobrażeń ludu ukraińskiego. Rzecz się dzieje na kresach w chwili zawieruchy politycznéj, gdy ludność obałamucana z jednéj strony zgubnymi wpły-

wami wichrzycieli, z drugiéj wstrzymywana siłą wiekowéj tradycyi od porywów, rozdzieliła się na dwa wrogie stronnictwa. Na ponurém tle buntu hajdamackiego rozsnuł autor smutne dzieje opanowanego przez przewrotną damę kozaka, którego pani owa, zostająca w ścisłych stosunkach z partyą przewrotu bałamuci, aby zeń uczynić powolne dla swych celów politycznych narzędzie. Młody watażka Omelko, usidlony czarem wdzięków przebiegłéj kobiéty, przystaje do hajdamaków i przyjmuje na siebie rolę agenta politycznego. Odepchnięty jednak i wzgardzony przez dumną panią w chwili, gdy stał się jéj już nie potrzebnym, w uniesieniu zemsty wpada z watahą swą do zamku zdrajczyni i morduje ją. Zbrojna odsiecz, którą wprowadza rodzony ojciec kozaka, widzący w synu zdrajcę—oddaje nieszczęśliwego fanatyka w ręce sprawiedliwości a następnie pod miecz katowski. Od téj sromotnéj śmierci ratuje Omelkę narzeczona Nastia, zadając jemu i sobie truciznę. Jasny i konsekwentny rysunek charakterów, staranne podmalowanie tła dziejowego i zachowanie kolorytu ludowego, stanowią niepoślednie zalety utworu, który w całém przeprowadzeniu budowy scenicznéj znamionuje rękę wprawną i doświadczoną. Jędrny dyalog pełen siły i wybitnéj charakterystyki, oraz umiejętne i poprawne użycie w kilku miejscach narzecza ludowego, dodaje wiele cech oryginalności i świeżości utworowi p. Urbańskiego.

= **O kancyonale puławskim** napisał Karol Łepkowski. Kraków, 1887 (Nadb. z Pam. Uczn. Uniw. Jag). str. 16. Rozprawka powyższa uzupełnia wiadomość podaną niegdyś przez Lelewela w t. I ksiąg bibliograficznych, o znajdującym się w Now. Aleksandryi (Puławach) zbiorze pieśni z XVI wieku. O zbiorze rzeczonym, przezwanym utartą nazwą „kancyonału“, posiadali wiadomość Wiszniewski i Jocher i wymieniają go pierwszy w swéj „Historyi literatury“ (tom VI, str. 427), drugi w „Obrazie bibl. hist. lit. i nauk w Polsce“ (tom III), wszelako nie mając go w rękach, nie podali o nim bliższych szczegółów. List Łukasza Gołębiowskiego pisany do Lelewela, a zawierający opis szczegółowy rzeczonego zabytku, pozostał też jedynym śladem istnienia owego kancyonału. Dopiero w r. 1869 odszukał prof. Józef Łepkowski kancyonał ów zagubiony, w bibliotece Czartoryskich w Sieniawie, w dziale ksiąg weterynaryi i ztąd dostał się on do zbiorów biblioteki Czartoryskich w Krakowie. P. Łepkowski podaje szczegółowy opis zabytku tego. Zawiera on 18 broszur z pierwszéj połowy XVI wieku, z których niektóre tylko wymienia Bibliografia Estrejchera. Inne dotąd piśmiennictwu znane nie były. Drukowane one były w latach od 1545—1567. Mieszczą się tu wiersze Mikołaja Reja, Zofii Oleśnickiéj,

Andrzeja Trzecieskiego, Jakóba Lubelczyka, Marcina Lutra i innych. Większa część pieśni opatrzona jest nutami podznaczonemi cyframi C. S. V. S: (Czesław Szamotulski) i C. G. Ponieważ autorowie zamieszczonych w tym kancyonale pieśni jak Rej, Lubelczyk lub nawet sam Luter byli protestantami, przeto kancyonał ten zdaniem autora za protestancki uważać należy. Oznaczoną cyfrą X pieśń, któréj autorem jest Luter, przełożył na język polski Casparus Gesnerus. Autorowie reszty pieśni są nieznani. Mało znany „kancyonał puławski" słusznie uważać należy za jeden z cenniejszych zabytków piśmiennictwa XVI wieku, nad którego znaczeniem i wartością zastanowić się winni badacze literatury. Jako zbiór pieśni, wydawanych oddzielnie i sprzedawanych po jarmarkach i odpustach, kancyonał rzeczony dzięki troskliwości jakiegoś amatora-zbieracza broszur, przypadkowo zachował się dla potomności i uratował tym sposobem od zatraty kilka bezsprzecznie ciekawych i dla historyi literatury ważnych zabytków poezyi polskiéj XVI wieku, tém pożądańszych dla badań naukowych w dziedzinie piśmiennictwa, że zwiększają niespodziewanie spuściznę złotego wieku literatury i to pisarzy téj miary jak Rej, Trzecieski i Lubelczyk.

P.

= **Józef Ignacy Kraszewski,** jego życie i zasługi skreślił *Aleksander Borucki.* Cieszyn 1888, nakładem E. Feitzingera str. 143. Przeznaczona dla użytku ludu i młodzieży książka powyższa zawiera jasno i treściwie przedstawiony obraz życia i działalność Kraszewskiego. Jest ona streszczeniem ważniejszych życiorysów powieściopisarza naszego a w szczególności dzieła d-ra Chmielowskiego „Józef Ignacy Kraszewski", z którego przejął autor podział ogólny i układ treści. Całość odpowiednio do założenia utrzymana w tonie popularnym, czyni w zupełności zadość wymaganiom, jakie tego rodzaju książce stawiać można. Od błędów faktycznych autor zdołał się ustrzedz a jedyny zarzut, jakiby mu uczynić można jest nadmiar melodramatycznych uniesień, tu i owdzie zauważyć się dający w opowiadaniu. Praca pisana językiem czystym i poprawnym zasługuje na rozpowszechnienie szczególniej między młodzieżą szkolną, dla której jest przeznaczoną. Ozdobą książki jest pięknie wykonany portret Kraszewskiego.

= **Kilka słów o Adamie Naruszewiczu** skreślił A. M. Kurpiel. Kraków. 1887 (Nadb. z Pam. sluchaczy Uniw. Jag.) str. 42. Praca powyższa, osnuta na źródłach rękopiśmiennych mianowicie na odnalezionéj w Archiwum bibioteki XX Czartoryskich w Krakowie korespondencyi Adama Naruszewicza z królem Stanisławem Augustem w latach 1776—1793, zawiera wiele ciekawych szczegółów

do charakterystyki smoleńskiego biskupa i stosunków jego z możnym królewskim protektorem. Z listów rzeczonych, które autor często w wyjątkach chronologicznie ułożonych przytacza, okazuje się, że stosunek Naruszewicza do króla był bardzo ścisłym i niemal przyjacielskim. Królowi pochlebiało, że może być mecenasem i protektorem uczonego historyka i poety, po którym spodziewał się, że i jego imię przekaże potomności w zaszczytnem oświetleniu, Naruszewiczowi zaś stosunek ów obok korzyści materyalnych był moralną opieką i podporą i zasłaniał go wobec licznych niechętnych mu głosów zawistnego duchowieństwa. Umiał jednak i starał się Naruszewicz wyzyskać na swą i krewnych swoich korzyść blizki ów z królem stosunek. Widać to z listów jego, których najznaczniejsza część zawiera prośby o udzielenie posad duchownych i świeckich licznym swym krewnym znajomym i przyjaciołom, daléj zabiegi samego Naruszewicza o biskupstwo żmudzkie, łuckie i krakowskie. Zwyczajnie król, pragnąc swemu historykowi osłodzić żmudną jego pracę nad historyą polską, którą mu sam narzucił, czynił zadość prośbom jego — a gdy wskutek przeszkód natury politycznéj, nie mógł czasem, jak np. przy obsadzaniu biskupstw: żmudzkiego i krakowskiego, życzeń jego uwzględnić, zasiłkami pieniężnemi, darami kosztownemi, wreszcie najpierwszym dobrym wakansem starał mu się doznany zawód wynagrodzić. Że miał Naruszewicz współcześnie przeważny wpływ na dworze królewskim i u saméj osoby króla, dowodem liczne listy dygnitarzy państwa do Naruszewicza z prośbą o wstawienie się do króla i wyjednanie różnych odznaczeń i dostojeństw. Te łaski królewskie sprawiły, że od chwili zbliżenia się do króla stał się Naruszewicz gorącym jego zwolennikiem. Szlachcic „z błot pińskich“ nieprzyjacielem był anarchistycznéj partyi i nie miał w sobie nic z owych pierwiastków francuskich, jakie napotykamy w charakterze wielu ludzi téj epoki; wierzy we wszystkiém królowi, w nim pokłada całe swe zaufanie i przechyla się zupełnie na jego stronę. Do polityki, jak z korespondencyi widać, nie mieszał się zupełnie, wystarczało mu zupełnie to pole, jakie sobie zakreślił — mimo to ambicyą sięgał daleko, bo po biskupstwo krakowskie, którego wpływowe stanowisko było dla niego największą ponętą. Ale snadź wiedziano w kraju dobrze, że nie posiadał Naruszewicz wszystkich w wymaganych na tém dostojeństwie warunków, gdy przy tylu jego zasługach, sławie i potężném poparciu króla, nie oddano mu infuły krakowskiéj. Korespondencya Naruszewicza zawiera nadto jeszcze liczne szczegóły, odnoszące się do podjętego dzieła układania historyi polskiéj — szczegóły o wyprawie Albertrandego o zasiłkach

kasy królewskiéj na przepisywanie dokumentów archiwowych i na utrzymanie licznych pomocników Naruszewicza. Praca p. Kurpiela zawiera materyał czysto biograficzny; krytycznéj ocenie stanowiska i działalności Naruszewicza poświęcił autor tylko kilka ogólnych uwag. Szkoda, że osłania autor troskliwie wszystkie, zdaniem jego, ujemne rysy w wizerunku tego pisarza i wyklucza z góry przypuszczenia, rzucające odmienne światło, obalając je gołosłownym frazesem. Mamy w źródłach współczesnych dowody, że Naruszewicz był czasami zwolennikiem wolnomyślniejszych poglądów swéj epoki, zarówno w postępowaniu jak i piórze. Tego rysu przy odtwarzaniu wizerunku pisarza bądźcobądź w imię prawdy nie należało pomijać.

P.

NEKROLOGIA.

† **Teofil Nowosielski** urodzony r. 1812 w Radomsku, otrzymawszy średnie wykształcenie, wstąpił do służby rządowéj w komisyi skarbu, ale niebawem gdy powstały projekt zakładania ochron dla ubogich dzieci pod opieką Towarzystwa Dobroczynności przyszedł do skutku r. 1838, oddał się całkiem téj sprawie. Wysłany przy końcu tego roku za granicę dla bliższego zaznajomienia się z urządzeniem ochron i metodami pedagogicznemi w nich praktykowanemi, za powrotem został przełożonym pierwszéj ochrony. Wtedy to przełożył z czeskiego dziełko Jana Swobody p. n. „Wykład praktyczny prowadzenia dzieci małych w ochronie“ (Warsz. 1840, str. XXVI, 384). *Była-to pierwsza u nas tak zwana* „nauka o rzeczach“, dopiero w lat wiele potém na szerszą skalę stosowana. Nie była to jednak pierwsza jego próba literacka; już poprzednio bowiem pisywał wierszem i prozą, poczynając od r. 1836 w ówczesnych noworocznikach i pismach literackich. Późniéj poświęcił swe pióro prawie wyłącznie literaturze dla dzieci i w przeciągu lat kilkudziesięciu wydał dużo książeczek orginalnych i tłómaczonych, jako to: „Bajki i powiastki“ (Warsz. 1842, późniéj parokrotnie nanowo wydawane), „Krzyżyk dla dobrych dzieci“, „Lalka dobrze wychowana“, „Nagroda dla dobrych dzieci“, „Świat dziecięcy“ (3 tomiki), „Towarzysz domowy dla pilnych dzieci“ (od r. 1846 siedem wydań), „Złote nasionka“, „Wybór bajek i przypowieści“. „Mali ludzie i ich świat“. Przekładał powiastki Fr. Hoffmana, de Foego, Gumperta, Arnolda, Wintera. Z Halma przetłómaczył „Kamoensa“ w r. 1845. Cichy i skromny a pracowity żywot zakończył 26 grudnia 1888 r. w Warszawie.

† **Karol Rogawski**, archeolog, poseł na sejm i do rady państwa wiedeńskiéj, mąż zasłużony na różnych polach działalności publicznéj, zmarł w Krakowie w ostatnich dniach listopada r. z. Brał on udział w Towarzystwie rolniczém i w organizacyi Towarzystwa ogniowego; czynnym był przy założeniu i w redakcyi *Correspondan-*

ce de Nord-Est; gorliwie zajmował się rozkopywaniem starożytnych mogił i uroczysk i ogłosił rozprawy o wykopaliskach w Siedliszowicach oraz o zabytkach miasta Biecza.

OGŁOSZENIA.

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w Październiku, Listopadzie i Grudniu 1888 r.

1. *Sewer.* **Świat ludowy.** Nowelle. Dla świętej ziemi: I. Kasia. II. Hanka. III. Dola. Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1889. 8-o, str. 303.
2. **Wilki** i inne szkice i obrazki *Klemensa Junoszy.* Z illustracyami *Franciszka Kostrzewskiego* Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1889, 8-o, str. 335.
3. *H. Spencer.* **Zasady socyologii.** (Wydawnictwo Redakcyi „Głosu“). Zeszyt 2 (str. 161 - 224).
4. **Historya literatury polskiej** na tle dziejów narodu skreślona przez *Maryana Dubieckiego.* Warsz. nakł. M. Orgelbranda, 1888, 8-o, zeszyt X. (od str. 241—336).
5. **Owoc zakazany.** Komedya w I-ym akcie (wierszem). Przez *Ludwika Niemojowskiego.* Warsz. 1889, małe 8-o, str. 48 (cena kop. 15).
6. **Tragedye Sofoklesa.** (Ajas. Filoktet. Elektra. Trachinki. Edyp król. Edyp. w Kolonie. Antygona) w przekładzie *Kazimierza Kaszewskiego.* (Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej). Warsz. nakł. S. Lewentala. 1888, 8-o, str. 467.
7. *Dr. Paul Gibier.* **Spirytyzm.** Studyum historyczno-krytyczne i doświadczalne, objaśnione drzeworytami w tekście. Przełożył *J. Wł. Dawid.* Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1889, 8-o, str. 260.
8. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. Warsz. 1888, wielkie 8-o. Zeszyt I: A.—Ał. (str. VIII i 80).
9. **Sprawozdania meteorologiczne** za miesiąc Listopad 1887 r. (wyd. Oddział Warszawski Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Sekcya II). Warsz. 1888, str. 16.
10. **Rys dziejów czeskich** skreślił według źródeł *Justyn Feliks Gajsler.* Z zapomogi Kassy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Warsz. skład w księg. E. Wendego i S-ki, 1888. 8-o, Tom I, str. III i 281, z mapą litogr. (cena rsr. 1 kop. 20).
11. **O ojcowiznę** czyli jak sobie jeden chłop z Niemcami poradził. Z powieści *Bolesława Prusa* p. t. „Placówka“ skróciła z upoważnienia autora *Faustyna Morzycka.* Warsz. druk. J. Jeżyńskiego, 1889, 8-o, str. 125.
12. **Antologia prowansalska.** Wybór poezyj. Trubadurowie Przełożył *Edward Porębowicz* (Biblioteczka „Życia“. Arcydzieła poezyi wszechświatowej). Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1889, 8 o. str. 221 i II.
13. **Archiwum książąt Lubartowiczów Sanguszków w Sławucie,** wydane nakładem właściciela przez *Z. L. Radzimińskiego* i *B. Gorczaka.* Tom II z sześcioma tabl. litogr. 1284—1506. Lwów, 1888, duże 4-to str. XXXVI i 380.
14. **Z kulą u nogi.** Opowieść przez *Teodora Jeske-Choińskiego.* (Odbitka z „Echa muzycznego, teatralnego i artystycznego“). Warsz. 1888, 8-o, str. 154.
15. *Józef Bliziński.* **Barbaryzmy i dziwolągi** językowe. Kraków, nakład autora. 1888, 8-o, str. 79.
16. **Prace matematyczne.** Wydawane w Warszawie, przez *S. Dicksteina, Wł. Gosiewskiego, Edw.* i *Wł. Natansonów.* Tom I. Warsz. skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa 1888. 8-o, str. 229 (cena rsr. 2).

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Декабря 1888 г.